Irena Santor
Jestem wieśniaczką, z przekonania
▶20

Czego życzy Wajrak
nieludzkim istotom
▶2

WYSOKIE OBCASY
Sally Potter
Czy istnieje kobiece spojrzenie?

FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL, JOHN BROWN/GETTY IMAGES, DARREN GERRISH/GETTY IMAGES

MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BE

Lekarze

Pieniądze biegną za nimi, a nie za pacjentem ▶4

FOT. GETTY IMAGES

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 01>

Vincent V. Sewerski:
Bond nie znalazłby miejsca w służbach ▶10

Opowieść o miłości
z dużym udziałem zająca ▶17

Za co prezydentowa de Gaulle **nie lubiła Bardotki** ▶26

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 3-8 stycznia 2026 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 2.11101, 1 Nakład 68 tys. + **317 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl 35a35257f6

Życzenia noworoczne dla współmieszkańców Ziemi

Przesuńmy się

Wilkom życzę otwartych granic, jeleniom – niech nikt do nich nie strzela w czasie miłosnym. A dla ropuchy – śnieg

Wajrak

W grudniową niedzielę wracałem rowerem z okolic Hajnówki do domu w Teremiskach. Jechałem puszczańskimi drogami i choć już było ciemno, nie bardzo chciało mi się wracać prosto do domu. Było mi dobrze. Samemu w Puszczy. Noc była pochmurna i wilgotna. Ale w tych ciemnościach, wilgoci i ciszy było coś bardzo uspokajającego.

Dlatego pojechałem trochę na około, Nawet na asfaltowej Drodze Narewkowskiej nie było źle, choć pokryta twardą nawierzchnią i otwarta dla ruchu samochodowego to rana na dzikości Puszczy.

Nie przejechałem wiele, gdy nagle w rowerowym świetle tuż przede mną zobaczyłem coś, co wyglądało jak wielki szary liść. Ropucha – szybko zrozumiałem, kogo mam przed sobą. Uniesiona na przednich łapach tak, jak to robią ropuchy, gdy czują się zagrożone. Tak starają się pokazać, jak są duże, że będzie je trudno połknąć.

To może być dobra strategia, gdy ma się za przeciwnika węża, ale nie działa na samochody. Dlatego tyle ropuch ginie pod kołami. W dodatku, choć jak na tę porę roku było ciepło, ropucha była odrobinę spowolniona i zdrętwiała. Wyglądało, że zejście z drogi zajmie jej sporo czasu.

•

Patrzyłem na nią i robiło mi się coraz smutniej. Ta zamarła w bezruchu ropucha była kwintesencją wszystkich złych rzeczy, jakie my, ludzie, zrobiliśmy innym mieszkańcom naszej planety. W skali globalnej i lokalnej. A jedna skala napędza drugą, przez co zniszczenie jest większe i bardziej dotkliwe. Przecież susze to skutek nie tylko zmiany schematu opadów i większego parowania, ale również melioracji, osuszania bagien i torfowisk, naszej walki z bobrami, począwszy od odstrzału, po rozbieranie tam.

Przecież usychające lasy atakowane przez pożary, niszczone przez huragany i nielubiane przez nas owady to nie tylko efekt wzrostu temperatury, ale również tego, że naturalne lasy zamieniliśmy w sadzone plantacje drzew.

Powodzie to skutek nie tylko nawalnych deszczy, ale też zabierania rzekom przestrzeni, na których się rozlewały, prostowania ich i przyśpieszania spływu wody i betonowania żywych oraz wsiąkliwych powierzchni

I z ropuchą było tak samo. Gdyby nie pompowane przez nas do atmosfery gigatony dwutlenku węgla pochodzącego ze spalania paliw kopalnych oraz gospodarka leśna i rolna, to nie byłoby jej na drodze. Nie stałaby tak przede mną w połowie grudnia w północno-wschodniej Polsce, czyli najzimniejszej części kraju. Nie obudziłaby się głodna oraz na moje oko wychudzona. Nie wyszłaby na asfalt, gdzie miała wszelką szansę na utratę życia.

FOT. ADAM WAJRAK

• **Ta zamarła w bezruchu ropucha była kwintesencją wszystkich złych rzeczy, jakie my, ludzie, zrobiliśmy innym mieszkańcom naszej planety**

Gdyby była normalna dla tej części świata zima, siedziałby sobie gdzieś w jakieś wilgotnej jamie, może pod korzeniami drzewa, poniżej strefy przemarzania, a nad tą jamą niczym pierzyna powinna leżeć warstwa liści przykryta warstwą śniegu.

I siedziałaby tak do kwietnia, bo przecież nie tak dawno, czyli w latach 80. zeszłego wieku, mieliśmy tu śnieg przez 90-100 dni.

Gdyby nawet nadeszła ciepła zima, co przecież też co jakiś czas się zdarzało, ale nie byłoby tej drogi, ropucha poszwendałaby się po Puszczy, po czym przed kolejnym ochłodzeniem schowała w jakiejś kryjówce. Ale zamiast szwendać się wśród mchów i opadłych liści, wyszła na asfalt, bo ludzie postanowili sobie skrócić podróż samochodem przez Puszczę. I było tylko kwestią czasu, kiedy zginie pod kołami.

Delikatnie zdjąłem ją z drogi i odstawiłem parę metrów w głąb Puszczy. Życzyłem jej, żeby nie wróciła na asfalt, żeby szła dalej i znalazła jakąś kryjówkę. Żeby przetrwała.

Tyle mogłem dla niej zrobić.

•

Jeżeli czegoś mógłbym życzyć innym nieludzkim istotom mieszkającym z nami na tej jednej planecie, to tego, żebyśmy my, ludzie, zrozumieli, jak bardzo potrafimy być dla nich kłopotliwi, czasami zupełnie niechcący. I życzyłbym im, żebyśmy się poprawili.

Dżdżownicom życzę, żeby ludzie przestali jak szaleni grabić liście, bo – jak słusznie zauważa nasz przyjaciel pisarz, poeta i przyrodnik Michał Książek – one ich potrzebują tuż koło swoich norek. Potrzebują ich blisko, żeby je wciągnąć dalej pod ziemię i tak nakarmić oraz ożywić glebę. Poza tym liście chronią ziemię przed wysychaniem. Skoro nie ma śniegu, niech będą liście.

Wróblom i mazurkom – szczególnie tym z miast – życzyłbym szpar, w których mogą zakładać gniazda, i mnóstwa nieużytków, na których mogłyby znajdować owady potrzebne do karmienia młodych.

Wilkom i niedźwiedziom życzyłbym, żebyśmy je zaakceptowali. Zrozumieli, że nie tylko nie są straszne i groźne, ale też są bardzo potrzebne, aby nasze ekosystemy sprawnie funkcjonowały. Bez wilków nie będzie prawdziwych lasów, w których nic nie trzeba grodzić i sadzić, żeby ochronić drzewa przed roślinożercami. Bez niedźwiedzi nie będzie się rozprzestrzeniać wiele roślin – tak, tak, przenoszą nasiona blisko stu gatunków.

Wilkom, niedźwiedziom, ale też rysiom, łosiom i innym wędrującym gatunkom życzyłbym świata z mniejszą liczbą barier nie tylko takich, jak ta na naszej wschodniej granicy, ale też innych płotów, siatek, a także dróg.

Migracja może łagodzić skutki katastrofy klimatycznej, może być ratunkiem, ale musi być możliwa. W pofragmentowanym przez człowieka świecie to jest to bardzo trudne.

Bobrom życzyłbym, żeby wszyscy zrozumieli, jak ważna dla ogółu jest ich praca, że ich tamy łagodzą falę powodziową. Doceńmy to wreszcie!

Dzikom życzę końca prześladowań, bo chyba już widać, że masakra, jaką im urządziliśmy w związku z ASF, przynosi więcej szkody niż pożytku.

Gawronom, których coraz mniej, życzę ochrony. Tak, żeby nikt nie niszczył ich gniazd i kolonii. Ochrony też życzę ptakom, na które wciąż wolno polować.

Jeleniom życzę spokojnego rykowiska. Niech nikt do nich nie strzela w czasie miłosnym.

Pięknym naszym chomikom europejskim życzę, żeby jak najwięcej ludzi zrozumiało, jakie wspaniałe i ginące zwierzę mieszka w naszym kraju. A jak to już zrozumiemy – żeby poważnie zabrać się do ich ochrony. Nie zabudowujmy ich siedlisk, takich jak Górki Czechowskie w Lublinie, dbajmy o różnorodne pola.

Dzikim pszczołom i trzmielom życzę, żebyśmy je dostrzegli, a nie myśleli, że jedynym zapylaczem na świecie jest pszczoła miodna z ula.

Wielkim drzewom, które ze swoimi koronami, pniami, korą, szczelinami, dziuplami i zakamarkami są jak galaktyki, życzę ochrony, bo nie zastąpi ich zasadzenie tysiąca nowych.

Tym małym samosiejkom życzę akceptacji i podziwu, bo one w przeciwieństwie do tych posadzonych są najlepiej dostosowane do środowiska.

Mojej ukochanej Puszczy i jej mieszkańcom życzę ochrony w 100 procentach, bo tylko na to zasługuje po ponad 100 latach ranienia jej piłą, siekierą, a ostatnio harwesterami. Pora zapuszczać inne lasy. Pora dać bardzo wielu spokój, bo one nie potrzebują ani siekiery, ani sadzenia.

Żubrom życzę, żebyśmy docenili to, że z nami są. Że ich uratowanie to był cud, że wciąż mamy ich bardzo mało, bo na świecie żyje ich zaledwie 12 tys. W Polsce – 3 tys.

Świstakom i kozicom z maleńkich gór, jakimi są Tatry, życzę mądrej turystyki, takiej, która nie polega na utykaniu w tych wrażliwych górach kolejnych tras narciarskich i wyciągów.

Swobodnego rozlewania się i nieskrępowanego niczym nurtu życzę też Wiśle i innym polskim rzekom, małym i dużym, i ich mieszkańcom. Wisła płynąca wieloma korytami niczym królowa z rozpuszczonymi włosami to przyrodniczy unikat w Europie. Uwierzcie mi, nie ma drugiej takiej rzeki.

Bałtykowi też życzę dzikości. A fokom, ale też sieweczkom i zmieraczkom, czyli cudownie skaczącym kiełżom, miejsca obok nas na plaży. Przesuńmy się, dajmy im miejsce, co nam szkodzi! I powrotu podwodnych łąk Bałtykowi życzę.

Tym zwierzętom, które nas karmią, życzę mniej cierpienia. Chciałbym, żebyśmy dożyli czasów, gdy przemysłowe hodowle to będzie przeszłość.

Kotom życzę domów. Domów bezpiecznych, z których nie muszą wychodzić, bo wszystko będzie na miejscu. Psom życzę dobrych ludzi. Takich, dla których będą jak członek rodziny. A przecież kogoś z rodziny nie trzyma się w kojcu, a tym bardziej na łańcuchu. ●

Adam Wajrak

Kod dostępu do Wyborcza.pl

1 RP

eprasa.pl 35a35257f6

Agnieszka Kublik

Nawrocki obiecuje V RP

Co nam oznajmił prezydent Okrągłym Stołem? Znany na całym świecie mebel, symbol pokojowej zmiany ustrojowej, trafił z Pałacu Prezydenckiego do Muzeum Historii Polski. Tam sobie poczeka jakiś czas na swój czas. – Okrągły Stół nie powinien być symbolem, który będzie opowiadał o naszej przyszłości przede wszystkim, bo dziś, w XXI wieku, młodzi Polacy, ale też moje pokolenie Polaków, nie muszą iść na żadne układy z byłymi dyktatorami, komunistami czy z postkomunistami – tłumaczył Karol Nawrocki.

To znamienne słowa. Bo „młodzi Polacy", o których wspomniał, to dziś podstawowe zaplecze partii nacjonalistycznych. Nawrocki obiecał im obalenie III Rzeczpospolitej, bo za jednym zamachem przekazał do muzeum dwie okrągłostołowe narracje oraz zasygnalizował przyszłość.

Pierwsza – liberalna, centrowa i centrolewicowa, o kompromisie między wrogami, bezkrwawym obaleniu komunizmu, punkcie zwrotnym w postsowieckiej Europie, początku lepszej przyszłości. Druga – prawicowa, o dogadaniu się ze zdrajcami i przejściu „komuny" w „postkomunę" poprzez uwłaszczanie się ludzi partii komunistycznej, tak zwanej nomenklatury, i nierozliczenie agentów bezpieki. A sygnał jest taki, że żadnego kompromisu nie będzie, ani z rządem Tuska, ani z postkomunistami, czyli z lewicą.

To oznacza, że prezydent zasiądzie przed wyborami w 2027 roku przy stole z Mentzenem, Braunem i Bosakiem. Stole kwadratowym i brunatnym. A Jarosław Kaczyński będzie mógł to tylko obserwować ze swojego podstolika – nie w Pałacu Prezydenckim, a z Nowogrodzkiej, o ile go wcześniej jego ludzie nie odłącza od telewizora.

Obwieszczając usunięcie Okrągłego Stołu z Pałacu Prezydenckiego, Nawrocki zapowiedział, że „skończył się w Polsce postkomunizm". A co się zaczęło? To „coś" musi spędzać sen z powiek wszystkim poza brunatnymi nacjonalistami.

Bo Nawrocki jako lider obozu prawicowego popiera wszystkie piątki Mentzena. Tę starą, że Konfederacja „nie chce Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej". I tę nową, antyukraińską: „nic za darmo, bez polskiego żołnierza, Ukraina poza Unią Europejską, Ukraina poza NATO, koniec dodatkowych przywilejów".

Nacjonaliści rosną, bo to Kaczyński straszył wyborców Niemcami, Unią i migrantami. Te dawno temu obudzone i uparcie wzmacniane lęki dziś pobudzają nacjonalistów.

Ludzie oprócz „anty" muszą dostać także „pro". Dowiadują się, co zmieni się na gorsze, gdy wygrają nacjonaliści – ale chcą wiedzieć, co zmieni się na lepsze, gdyjzostaną powstrzymani.

Kaczyński miał mieć w Pałacu swojego prezydenta, a okazuje się, że narodowcy zainstalowali mu kogoś, kto ostatecznie pozbawi go wszystkiego: władzy i autorytetu. Właśnie Kaczyński traci TV Republikę, która, choć wciąż powiązana biznesowo i personalnie z PiS, staje się tubą nacjonalistów i samego prezydenta.

Ta słabość Kaczyńskiego – osobista i instytucjonalna – jest jego tragedią. Ale i naszą. Blok demokratyczny musi się jakoś do tego odnieść. Bo Nawrocki, Braun i Mentzen zmobilizują przestraszonych i zatroskanych demokratycznych wyborców, ale ludzie oprócz „anty" muszą dostać także „pro". Dowiadują się, co zmieni się na gorsze, gdy wygrają gospodarczo libertariańscy, obyczajowo obskuranccy nacjonaliści – ale chcą wiedzieć, co zmieni się na lepsze, gdy zostaną powstrzymani.

Jeśli się tego nie dowiedzą, Nawrocki nam zbuduje V RP przy kwadratowym brunatnym stole. ●

Andrzej rysuje

REKLAMA Kraj/34413559

Nastrojowa Szwajcaria – czekolada, wino i alpejskie szczyty

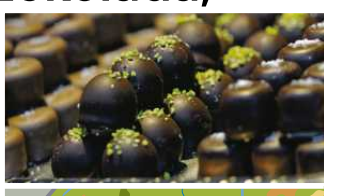

Wyjątkowa podróż do Szwajcarii – miejsca stworzonego dla miłośników malowniczych krajobrazów, historycznych miast i kultury prawdziwego celebrowania życia.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Przylot do Szwajcarii. **Dz. 2** Czekoladowe doświadczenie w Lozannie. **Dz. 3** Château de Chillon, Montreux i winnice Lavaux wpisane na listę UNESCO. **Dz. 4** Rochers-de-Naye. **Dz. 5** Dzień wolny lub opcjonalna wycieczka do Gruyères – sery, średniowieczny klimat i alpejska sielanka. **Dz. 6** Powrót z lotniska w Genewie.

6 dni | Wylot z Warszawy 01/05 2026 | od 8.698,–

NOWOŚĆI NA NOWY ROK!

Pełne wyżywienie

Nepal – od himalajskich szczytów po safari w dżungli

Odkryj z nami barwny Nepal w całej jego różnorodności, od himalajskich szczytów i zachwycającej natury po stare świątynie i uliczne stragany Katmandu.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Katmandu, Nepal. Relaks i zwiedzanie placu Durbar i dzielnicy Thamel. **Dz. 3** Kathmandu – Pokhara. Przejazd autokarem przez wiejskie tereny i spacer po Pokharze. **Dz. 4** Pokhara. Rejs po Jeziorze Phewa i Muzeum Wspinaczki Górskiej. **Dz. 5** Pokhara. Kultura tybetańska i wycieczka do Wielkiej Stupy Pokoju i wodospadu Davis. Możliwość wykupienia wycieczki helikopterem do Bazy Annapurny. **Dz. 6** Pokhara – Chitwan. Od górskich krajobrazów do dżungli Parku Narodowego Chitwan. **Dz. 7** Park Narodowy Chitwan. Przygody w dżungli i zachód słońca nad rzeką. **Dz. 8** Przejazd z Chitwan do Nagarkot. W stronę Himalajów. **Dz. 9** Nagarkot. Wędrówka przez małe wioski w otoczeniu pięknej przyrody. **Dz. 10** Nagarkot – Bhaktapur – Patan – Katmandu. Stare królestwa Nepalu. **Dz. 11** Katmandu. Wycieczka do wiosek Bungmati i Khokana. Kolacja pożegnalna. **Dz. 12** Katmandu – Warszawa. Powrót do domu.

12 dni | Wyloty z Warszawy 05/11 2026, 07/03 2027 | od 12.998,–

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.
Kod reklamy: GW01

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl 35a35257f6

WAŻNY TEMAT

Pacjent to klient

FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Leczenie to usługa. czy lekarze pamiętają o przysiędze Hipokratesa.

Z **DARIUSZEM KORTKO I JUDYTĄ WATOŁĄ**
ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

AGNIESZKA KUBLIK: Przeczytałam waszą książkę o profesorze Marianie Zembali. I zrozumiałam, że gdybym miała mieć operowane serce, to tylko u kogoś takiego.
DARIUSZ KORTKO: – Gdybyś trafiła do Śląskiego Centrum Chorób Serca, którym on kierował, byłaby to z pewnością bardzo dobrze zrobiona operacja.
JUDYTA WATOŁA: – Gdybyś tam trafiła w najlepszych czasach tego szpitala. W ostatnich latach jego szefowania w Zabrzu na kardiochirurgii szło tam coraz gorzej.

Chciałabym być pacjentką Zembali, bo opisaliście go jako lekarza zdolnego, wrażliwego, niezwykle dbającego o pacjenta. O takim lekarzu marzę.

D.K.: – Jesteś rozpoznawalna, więc pewnie byłabyś traktowana w sposób wręcz przesadny, bo profesor wobec osób znanych bywał trochę teatralny. Jednym to schlebiało, innych peszyło. Jednak o zwykłych pacjentów też bardzo dbał. Ale lekarze, którzy z nim pracowali, postrzegali go inaczej. Wielu traktował w sposób dziś niedopuszczalny, ocierający się o mobbing.

J.W.: – Każdy z naszych rozmówców podkreślał, że profesor potrafił niezwykle dbać o pacjentów, lecz oni sami pracowali pod niebywałą presją. Pamiętają tę presję, ale i to, że profesor miał niezwykłą intuicję, dodatkowy zmysł, który pozwalał mu zauważyć u chorego coś, jakiś sygnał, że coś może pójść nie tak. Dajmy na to, wszystkie wyniki były dobre, pacjent dobrze się czuje, wszyscy zadowoleni, a Zembala patrzy na niego i każe coś jeszcze zbadać. Lekarze pod nosem marudzą, ale wykonują polecenie i się okazuje, że profesor ma rację, że nie wszystko jest, jak należy, że człowiekowi grozi na przykład ciężkie powikłanie po operacji.

D.K.: – Pracownicy, w tym też lekarze czy pielęgniarki, mieli mu za złe, że rugał ich przy pacjentach. Widział na przykład, że pościel, w której leży chory, jest naddarta. Wtedy brał i darł ją na strzępy, żeby już nigdy nikomu nie przyszło na myśl jeszcze raz jej użyć. Pacjentom to imponowało, że tak o nich dba.

Bo dbał tak bardzo, jak bardzo nie dbały pielęgniarki, które podartą poszewkę zakładały, zamiast oddać do naprawy. I jak bardzo nie zauważali tego lekarze.
J.W.: – Mówimy o latach 90. W szpitalach była wówczas straszna bieda i naddarta pościel nie była żadnym skandalem. Przeciwnie, była codziennością, uchodziła za drobiazg, gdy brakowało tysiąca innych rzeczy.

D.K.: – Problem w tym, że on mógłby im zwrócić uwagę w dyżurce, a nie przy pacjentach.

Mnie się to podobało. Byłam świadkiem, jak w warszawskim szpitalu, na ortopedii, pielęgniarki poszwę zabrudzoną świeżą krwią po prostu przewracały, by plamy były od wewnątrz, więc niewidoczne. I nie działo się to w czasach, gdy w szpitalach brakowało pościeli. Rodzina pacjenta zauważyła krew na pościeli rano, po ponad 12 godzinach od krwawienia. Pielęgniarki były oburzone, że muszą zmienić poszwę.
J.W.: – W Śląskim Centrum Chorób Serca byłoby to nie do pomyślenia. Ale profesor dzikie awantury urządzał też pracownikom z innych, często błahych powodów, a czasem bez przyczyny. I przy pacjentach. Czuli się upokorzeni. A można inaczej. Współpracownik Zembali, profesor Lech Poloński, nie krzyczał przy pacjentach na lekarzy, a u niego też wszystko chodziło jak w zegarku.

Był empatycznym lekarzem i okrutnym szefem?
– Bywał też świetnym szefem, urodzonym liderem. I bywał szczodry. Na przykład asystentkom na święta prezentował bony na kosmetyki. Był człowiekiem pełnym kontrastów.

D.K.: – Pacjenci mogli czuć się niekomfortowo, gdy przy nich Zembala krzyczał na ich lekarza. Ale też mieli dowód, że opieprza lekarza, żeby się lepiej nimi zajął.

Gdy spotykam empatycznego lekarza, jestem w szoku. Bo standard to lekarz, dla którego chory jest petentem i trzeba go jak najszybciej spławić. Dwa świeże przykłady. Lekarka ponad 80-letniej pacjentce zdiagnozowała zaćmę. Zapytana, co radzi, rzuciła: – Nie jestem od dawania rad. Albo onkolog do 50-letniego pacjenta z właśnie zdiagnozowanym rakiem płuc: – Dwa lata i do piachu.
– To największa bolączka systemu opieki zdrowotnej w Polsce, że los pacjenta zależy od tego, na jakiego trafi lekarza. System albo nie wymaga standardu, albo pozwala go omijać. Jak ktoś ma szczęście, dostanie mu się lekarz, który się przyłoży, ustawi terminy, przypilnuje, żeby pacjent był leczony, jak trzeba. Jak ma pecha, to taki, któremu to obojętne albo walcząc o chorych, już opadł z sił.

System nie daje gwarancji, że w szpitalu A otrzymamy takie samo leczenie zgodne ze standardem, jak w szpitalu B. Dlatego jak tylko ktoś dowiaduje się, że jest chory, to zaczyna od pytania znajomych, czy znają jakiegoś dobrego... i tu pada nazwa dowolnej specjalizacji.

Zembala miał syndrom Boga?
– I tak, i nie. Jest wywiad-rzeka z profesorem, który sam wydał. Opowiada w nim, jak bardzo nie chciał, żeby głośny film „Bogowie" nosił taki właśnie tytuł. Jednocześnie rządził swoim szpitalem przez 27 lat. Decydował w nim o wszystkim, wszyscy go słuchali. W takiej sytuacji można stracić dystans.

Warto się zastanowić, co to jest w ogóle syndrom Boga? U jednego będzie to przekonanie o własnej wszechmocy. U drugiego – brak pokory, przekonanie o tym, że już nie popełnia się błędów.

1 RP

eprasa.pl 35a35257f6

D.K.: – Zembala potrafił powiedzieć lekarzowi: „zabiłeś chorego”.

J.W.: – W wielu klinikach robi się raz na jakiś czas mortuarium, czyli analizę przypadków, które skończyły się śmiercią. Chodzi o ustalenie, czy nie popełniono jakiegoś błędu, aby go uniknąć w przyszłości. U profesora to się kończyło często wskazywaniem winnych. A to nie jest tak. Najczęściej powikłania wcale nie wynikają z czyichś błędów, a jeśli już, to niezamierzonych.

Dla mnie lekarz z syndromem Boga to człowiek zdolny, ale arogancki, bo uważa, że skoro ma zręczne dłonie i ratuje ludzkie życie, nie obowiązują go ludzkie zasady. Czy syndrom Boga u lekarza może być niebezpieczny dla pacjentów?
– Są lekarze, którzy podejmują ryzyko z pychy, bo uważają, że już wszystko potrafią i nie muszą nikogo pytać o radę. Z chęci zaimponowania, na przykład pacjentowi, który jest znaną osobą, chcą się popisać i bywa, że kończy się to porażką w leczeniu. W tym sensie profesor Zembala nie miał syndromu Boga, nie w odniesieniu do pacjentów – tu zachowywał pokorę.

Co takiego się stało, że lekarzy takich jak Zembala – obdarzonych intuicją, dociekliwych, stale się uczących – jest mniej niż w jego czasach?
– Nie wiem, czy mniej. Na pewno lekarze są nieco inni. Młode pokolenie jest bardziej nastawione na pieniądze niż starsze, ale Zembala też nie gardził zarabianiem. Pensje, o których dziś dyskutuje się w mediach, on osiągał lata temu.

Dziś lekarze naprawdę świetnie zarabiają. Ponad czterystu – co najmniej 100 tysiące złotych miesięcznie. A są tacy, którzy wyciągają 200, a nawet i 300 tysięcy.
– Zdarzają się takie kwoty na kontraktach. I jeszcze szef szpitala, który tyle płaci, mówi, że to się jego placówce opłaca. Tak rzeczywiście jest.

Narodowy Fundusz Zdrowia przepłaca za niektóre procedury do tego stopnia, że nawet przy tak wysokim uposażeniu dla lekarza szpital wiele zyskuje. A przepłaca na ogół w tych dziedzinach, w których działa silne lobby. Na przykład za wszczepiania stymulatorów serca, za wybrane operacje kręgosłupa, za radioterapię. Czasami dotyczy to całych dziedzin, czasami tylko wybranych procedur.

To kryteria niemedyczne. Czyli chodzi o zarabianie, nie o leczenie?
– O leczenie też, bo na przykład dyrektor szpitala płaci lekarzowi 200 tysięcy złotych, ale ma go dzięki temu na wyłączność. Zyskuje względną gwarancję, że nigdzie w okolicy nie wyrośnie mu konkurencja, która będzie wykonywać te same dobrze płatne procedury. Mówię o względnej gwarancji, bo coraz częściej lekarze gotowi są jeździć nawet na drugi koniec Polski, żeby operować.

Wchodzą do szpitala, operują i wychodzą. Pacjentami zajmuje się już ktoś inny, to już ich nie interesuje. Lekarz w biegu?
– Tak, objeżdżają szpitale i wykonują drogie procedury, a ich pacjentami zajmują się później inni, którzy w razie powikłań nie zawsze umieją zaradzić sytuacji.

Pieniądze miały iść za pacjentem, a biegną za lekarzem.
– Lekarz nie pracuje w próżni, zawsze ma jakiegoś pacjenta. Ale jednym z pomysłów Ministerstwa Zdrowia na oszczędności jest uniemożliwienie takiej „turystyki”. Ale raczej zostanie, jak jest. Szczyt medyczny z udziałem premiera Tuska pokazał, że rząd nie chce iść na konfrontację z lekarzami.

Inna rzecz, że przepłacanie za jedne procedury i płacenie poniżej kosztów za inne – na przykład chirurgię ogólną albo pediatrię – wykoślawia cały system. Jakichś procedur robi się za wiele, bo są dobrze płatne, a wykonywania innych się unika, bo kasy z tego mało, albo trzeba nawet dopłacić. Jak NFZ za mało płaci, to nie ma też zainteresowania tą czy inną specjalizacją, no chyba że jest perspektywa świetnie płatnej pracy w prywatnym sektorze. To przypadek dentystów czy psychiatrów.

D.K.: – Tym się kierują absolwenci medycyny, choć nie wszyscy. Znam rezydenta, który naprawdę chce pomagać ludziom. „To nieważne, co będę robił, mówi, ważne po prostu, żeby pomagać”. Ale to nie jest powszechne podejście.

Do jakiej specjalizacji się przymierza?
– Do pediatrii.

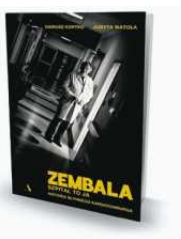

• **„Zembala. Szpital to ja. Historia słynnego kardiochirurga”,** Dariusz Kortko, Judyta Watoła. Książka dostępna w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.

Czyli generalnie jest tak: leczenie to usługa, pacjent to klient, powołanie to zarabianie.
J.W: – To bardziej złożone. Są jeszcze specjalizacje, w których przez lata blokowano dostęp. Czyli młody chirurg ogólny chciał się rozwijać i robić chirurgię naczyniową, ale nie był dopuszczany, bo chirurdzy naczyniowi uważali, że jest ich dosyć. W rzeczywistości jest ich, a przynajmniej było, za mało. Ale dzięki temu ustawiały się do nich długie kolejki.

Ludzie mogą teraz wpaść w panikę. Bo jak zachorują na coś, czego się lekarzom nie opłaca leczyć, to tylko czekać aż do piachu...
– To zbytnie uproszczenie. Oddziały chirurgii ogólnej przynoszą straty, ale szpitale wciąż je utrzymują. To podstawa, jak interna, bez której też nie ma medycyny. NFZ żeruje na tym, że tych oddziałów wykasować się nie da, nawet jeśli niewiele operują, bo inaczej szpital straciłby ryczałt na leczenie. Często, na przykład na chirurgii, brakuje lekarzy. Ale tak jak pewne specjalności dopuszczają niewielu adeptów, tak izby lekarskie nie chcą, żeby lukę na rynku wypełnili lekarze ze wschodu. Przez lata słyszeliśmy, że lekarzy mamy za mało. Teraz Naczelna Izba Lekarska mówi, że jest dosyć. Lekarze ze wschodu nie spełniają według niej kryteriów wykształcenia, często nie znają polskiego. To prawda, ale prawdą jest też, że nie chcą konkurencji. To samo robi samorząd pielęgniarek.

Jak NFZ za mało płaci, to nie ma zainteresowania tą czy inną specjalizacją, no chyba że jest perspektywa świetnie płatnej pracy w prywatnym sektorze

Ostatnio media wyjątkowo często pisały o skandalicznym traktowaniu chorych. Szpital nie chciał pomóc majaczącemu mężczyźnie w mokrym pampersie, bo już został wypisany i był poza szpitalem, a dokładnie przy schodach. Ale nie można było do niego wysłać karetki, bo leżał tuż pod szpitalem, a do szpitala karetek się nie wysyła. Pomogła w końcu policja. Albo taki horror – człowiek leży na SOR-ze ponad 30 godzin, bez jedzenia i picia, czeka na diagnozę i pomoc.
– Nie znam tej sytuacji, nie wiem, jak zorganizowana jest praca na tym konkretnym SOR-ze. Czy winny jest dyrektor, który z oszczędności nie zapewnia dostatecznej obsady, czy oddziałowa?

Obawiam się, że coś takiego może kiedyś spotkać moich bliskich, mnie...
– Czasem dochodzi do strasznych sytuacji. Był w Sosnowcu przypadek szefa SOR, który leżącego na ziemi pacjenta „badał” nogą. Ten lekarz stracił pracę, ale dyrektor nie zawsze może ot tak zwolnić specjalistę, bo to grozi utratą kontraktu z NFZ.

I znowu widać, że pieniądze biegną za lekarzem, a nie za pacjentem. NFZ jest bankrutem?
– Premier powiedział, że nie jest. Ale brakuje mu w tym roku pieniędzy jak nigdy wcześniej. Ile dokładnie, trudno się doliczyć, bo komunikaty NFZ i ministerstwa bywają sprzeczne.

Za to o przyszłym roku wiadomo, że ma być jeszcze gorszy. W lipcu znowu trzeba będzie dać pieniądze na podwyżki, bo tak mówi ustawa, a prezydent już twardo zapowiedział, że nie zgodzi się na jej nowelizację. Na styczniową listę refundacyjną wpisano znów rekordową liczbę nowych leków. To będą kolejne wydane miliardy. W budżecie NFZ ich nie ma. Dotacja z budżetu ma w 2026 roku wynieść 23 miliardy. Trzeba pewnie ze dwa razy więcej.

Lekarze będą mniej zarabiać? Bo jak podają dyrektorzy szpitali, jakieś 60, a czasami i 90 procent przychodu z NFZ idzie na pensje.
– Ministerstwu Zdrowia nie chodzi o to, by obcinać pensje, tylko żeby one nie rosły w takim tempie jak przez ostatnie kilka lat. A te 60 czy 90 procent to nie są wydatki tylko na wynagrodzenia lekarzy, ale wszystkich pracowników szpitala.

To jak, lekarze zarabiają za dużo?
– W wielu miejscach tak. Jeśli lekarz w przeciętnym szpitalu powiatowym zarabia więcej niż premier czy prezydent, to jest postawione na głowie.

Czy powinna być jakaś maksymalna lekarska pensja?
– Nie. Bo wtedy wszyscy będą chcieli mieć taką maksymalną stawkę. To spłaszczy zarobki i doprowadzi do kolejnych patologii w systemie, czyli omijania przepisów tak, żeby wybranym lekarzom, których chce się u siebie zatrzymać, płacić jednak więcej.

Czyli co innego rząd mógłby zrobić?
– Można na przykład zmniejszyć wymogi dla szpitali, jeśli chodzi o liczbę zatrudnionych lekarzy tej czy innej specjalności na danym oddziale. Ostatnio rozmawiałam z dyrektorką szpitala, który zamyka porodówkę. Ta porodówka ma 10 łóżek i musi utrzymywać jednoczasowo 8 osób na dyżurze: trzech ginekologów, neonatologów, plus pielęgniarki i położne. I gdyby ta porodówka miała tam tylko jedno łóżko, to też potrzebnych byłoby tych 8 osób.

Już wiemy, że w NFZ będą cięcia, i to ogromne. Co to konkretnie znaczy dla pacjenta? Czy na przykład pacjent z rozpoznanym rakiem poczeka dłużej na operację?
– Nie wierzę w ogromne cięcia. Ministerstwo wycofuje się z propozycji, jakie przedstawiało w październiku, takich jak koniec programu „Dobry posiłek w szpitalu” czy przywrócenie limitów na badania tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego.

Polacy umierają najczęściej z powodu chorób sercowo-naczyniowych. Tu będzie gorsza opieka?
– Też nie. Leczenie zawałów też od dawna nie jest objęte limitami i to na pewno się nie zmieni. Pierwsze wizyty u specjalistów również nie będą objęte limitami. Może przyjdzie czekać dłużej na kolejną.

Innymi słowy, przyjdzie czekać dłużej na diagnozę i leczenie.
– Z danych NFZ wynika, że zniesienie za rządów PiS limitów do specjalistów nie skróciło kolejek albo skróciło je w niewielkim stopniu. Więc sytuacja drastycznie się nie zmieni. Za to wizerunkowo na pewno obciąży rząd, o ile te limity istotnie zostaną przywrócone.

Co z operacjami biodra, kolana, zaćmy?
– Na operację kolana zapewne będzie się czekać dłużej, bo to świadczenie limitowane i już w tym roku NFZ nie płaci nadwykonań. To samo z operacjami biodra. Co do zaćmy, propozycja Ministerstwa Zdrowia to ustalenie limitu na poziomie wykonania z pierwszego kwartału 2025, a kolejki do zaćmy rozładowano, kiedy ministrem był Konstanty Radziwiłł. Teraz zaćmę usuwa się praktycznie z marszu, więc nie sądzę, żeby akurat ta zmiana była dotkliwa dla pacjentów.

Czy to moralne, że w sytuacji, kiedy brakuje na leczenie, lekarze chcą jeszcze więcej zarabiać, choć i tak zarabiają naprawdę godnie?
– Nie tylko lekarze chcą utrzymania wysokich podwyżek. Inne grupy zawodowe w szpitalach też. Ale tak, uważam, że niemoralny jest system, w którym lekarze zarabiają ogromne pieniądze, a emeryci, którzy składają się na ich pensje, nie mogą się do nich dostać.

D.K.: – Zastanawiam się, co by zrobił Marian Zembala, gdyby dziś był ministrem zdrowia?

J.W.: – Apelowałby do sumień lekarzy. Tak jak to zrobił w 1997 roku, kiedy strajkowali anestezjolodzy. Wtedy zarabiali upokarzająco mało i pracowali na zdezelowanym sprzęcie, co było niebezpieczne dla chorych. Strajkiem, głodówką wywalczyli poprawę. Dziś jesteśmy w zupełnie innym miejscu. Pieniędzy w systemie ochrony zdrowia jest dziesięć razy więcej. Pensje poszybowały. Młodzi lekarze nie grożą, że wyjadą na zachód, bo tam lekarze na dorobku, czyli dopiero zdobywający specjalizację, nieraz zarabiają mniej niż oni tutaj w Polsce.

Etos lekarski też się zmienił. Podupadł.
D.K.: – Myślę, że tak, ale to dotyczy nie tylko lekarzy. Etos pracy jest inny w całym młodym pokoleniu. Dziś młodym już tak bardzo na pracy nie zależy.

J.W.: – Wydaje mi się, że gdyby dziś profesor Zembala odwołał się do sumień lekarzy, wytknięto by mu hipokryzję, bo sam się przecież nieźle dorobił. W ogóle nie ma dziś takiego autorytetu w świecie medycyny, który mógłby to zrobić. Ostatnim był chyba Zbigniew Religa.

D.K.: – Tak. Jeśli Religa powiedziałby, że trzeba oszczędzać, to ludzie by mu uwierzyli i lekarzom byłoby wstyd bronić wysokich podwyżek. ●

eprasa.pl 35a35257f6

Nowak polemizuje z Matczakiem

Nie kupuję opowieści, że Braun wyrasta z reakcji na **„atak elit na religię”.**

Artur Nowak

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Europoseł Grzegorz Braun wychodzi z sądu po procesie za zgaszenie gaśnicą świec chanukowych w Sejmie. Warszawa, 8 grudnia 2025 r.**

Marcin Matczak ogłasza (w GW, 27 grudnia), że „ryzykuje hejt”, po czym stawia tezę wygodną jak fotel z wysokim oparciem: to antyreligijne elity mają napędzać Brauna. Problem w tym, że to nie jest odwaga ani diagnoza – to retoryczne alibi, które przerzuca odpowiedzialność z tych, którzy latami produkowali lęk, na tych, którzy dziś nazywają go po imieniu.

Matczak pisze: „Ryzykuję hejt, ale to antyreligijne polskie elity nakręciły popularność Brauna”. Zanim przejdę do rzeczy, uspokoję pana: nie ryzykuje pan hejtu. Ryzykuje pan co najwyżej polemikę. A pańska teza brzmi jak jeden z tych eleganckich sylogizmów, które mają wyglądać na świeże, choć pachną dobrze znaną sztuczką: jakby winą za smog obarczać tych, którzy o nim mówią, a nie tych, którzy go produkują. Trudno brać na serio opowieść, która udaje odwagę. To retoryka biorąca skutek za przyczynę.

W dodatku brzmi to jak emocjonalny szantaż w gładkim opakowaniu: „krytykujcie religię ciszej, bo inaczej rozmnożą się Braunowie”.

Jakby odpowiedzialność za ekstremę spadała nie na tych, którzy ją latami hodowali, tylko na tych, którzy dziś próbują nazwać mechanizm. Jakby problemem nie była fabryka strachu, tylko ludzie, którzy mówią: „to jest strach”. Naprawdę?

Bo to jest odwrócenie winy w wersji salonowej. Nie sprawca odpowiada za przemoc, tylko ten, kto „prowokuje” ją krytyką. Nie źródło toksyny, tylko alarm. Nie podpalacz, tylko syrena. W takim układzie zawsze wygrywa cynik: może robić swoje, a gdy pojawi się potwór – winni są „zbyt ostrzy”, „zbyt radykalni”, „zbyt anty”. Ta logika lubi się nazywać umiarkowaniem, ale w praktyce bywa amnestią dla przemocy.

•

I tu zrobię krok w tył, bo w jednym punkcie trzeba powiedzieć sobie prawdę. Marian Turski zostawił nam „jedenaste przykazanie” – „nie bądźcie obojętni”, zwłaszcza wtedy, gdy „jakakolwiek władza narusza przyjęte umowy społeczne”.

Nie zdaliśmy tego egzaminu. Za długo przymykaliśmy oczy na drobne przesunięcia: na język pogardy, na oswajanie przemocy, na naciąganie historii do bieżącej polityki, na wykluczanie kolejnych „innych”. To jest naprawdę nasz grzech zaniechania – i tu się zgodzę, że elity ponoszą część winy. Nie tylko lewicowe: wszystkie – od prawa do lewa, każdy, kto potrafi czytać historię i rozumie, że wielkie katastrofy nie zaczynają się od fanfar, tylko od przyzwolenia na małe nadużycia.

Więc nie: Braun nie jest ceną za krytykę religii. Braun jest ceną za lata bezkarności, za pedagogikę strachu i za instytucję, która zbyt często myliła sacrum z władzą

Pisze Matczak: „delegitymizacja religii pozostawiła próżnię duchową”. Serio? Jaką strawę duchową przyniosła nam w Polsce ta instytucja przez ostatnie dekady – taką realną, codzienną, formującą człowieka, a nie tę z folderu?

Widok utuczonych brzuchów wożonych limuzynami moralistów w złotych pierścieniach? Fetysz godności władzy, który częściej przypomina dwór niż wspólnotę? System przywilejów, który nie tylko psuje państwo, ale psuje też samą religijność: zamienia wiarę w urząd, sumienie w dyscyplinę, a sacrum w narzędzie wpływu.

Ta „próżnia” nie powstała dlatego, że ktoś z zewnątrz zbyt głośno krytykował. Ona powstała wewnątrz, kiedy religię zaczęto konsumować jak produkt władzy. Kiedy kazanie stało się komentarzem politycznym, a moralność – pałką do okładania „innych”. Kiedy w imię „obrony wartości” usprawiedliwiano kolejne sojusze z cynizmem. Kiedy w życiu publicznym duchowość skurczyła się do nadzoru: nad cudzą intymnością, cudzymi rodzinami, cudzymi ciałami.

•

Owszem – ludzie mają potrzebę sensu, rytuału, wspólnoty, ukojenia, języka na cierpienie. Tylko że to nie „elity antyreligijne” im to zabrały. To Kościół sam to roztrwonił, sprzedając sacrum za wpływy. A potem udaje zdziwienie, że młodzi nie wierzą, wierzący się wstydzą, rytuał pustoszeje, a autorytet kruszy się jak tynk. Autorytet nie eroduje od memów. Autorytet eroduje od hipokryzji, od poczucia bezkarności, od tej arogancji, która mówi: „nam wolno więcej”.

Dlatego nie kupuję opowieści, że Braun wyrasta z reakcji na „atak elit na religię”. Skąd się wziął Braun? Kto wyedukował ludzi do lęków, które on tylko odpala jak zapalnik? To nie jest żadna metafizyka. To lekcja prosta jak cep: świat napadł na Polskę, Zachód deprawuje, „ideologie” seksualizują dzieci, Unia niszczy naród, obcy czają się za rogiem.

Ten język nie spadł z nieba. On przez lata krążył w kazaniach, mediach, „formacji”, szkolnej katechezie i parafialnych pogadankach. Braun nie stworzył tej gleby – on na niej robi polityczne żniwa.

A kiedy Matczak mówi o „erozji autorytetów”, to ja pytam: jakich autorytetów? Tych, którzy budowali kult świętości, a równolegle nie umieli – a czasem nie chcieli – zobaczyć skali krzywd i mechanizmów tuszowania? Tych, którzy woleli bronić instytucji niż skrzywdzonych?

Tych, którzy w debacie publicznej potrafili słyszeć głównie własny moralny manifest, a byli głusi na realny krzyk realnych ludzi? Autorytet nie upada, bo ktoś go „delegitymizuje”. Autorytet upada, kiedy sam rozmienia się na drobne: na PR, wpływy, pieniądze, polityczne układy i święty spokój.

Jest jeszcze jeden chwyt w tej narracji: argument o „pogardzie oświeconych” jako rzekomej matrycy Brauna. Jasne, szyderstwo bywa jałowe. Ale to nie ono produkuje przemoc. Przemoc produkuje ideologia oblężonej twierdzy i moralny szantaż: „albo jesteś z nami, albo przeciwko nam”, „albo wiara, albo zgnilizna”.

Jeśli dziś ktoś mówi: dość przywilejów, dość immunitetu, dość tuszowania – to nie „wojna z sacrum”. To elementarna higiena życia publicznego.

Więc nie: Braun nie jest ceną za krytykę religii. Braun jest ceną za lata bezkarności, za pedagogikę strachu i za instytucję, która zbyt często myliła sacrum z władzą. A jeśli komuś naprawdę zależy na „dojrzałej formie sacrum”, to niech zacznie od rzeczy najprostszej i najtrudniejszej zarazem: od prawdy, odpowiedzialności i rozliczenia. Bez tego opowieść o „próżni duchowej” pozostaje tylko eleganckim sposobem, by powiedzieć: milczcie ciszej, bo narobi się gorszych potworów. ●

wyborcza.pl

• **Na felieton Marcina Matczaka odpowiedział też Tadeusz Zatorski:**
Czy w dziejach świata był faszyzm, z którym Kościół Rzymskokatolicki nie wszedłby w sojusz?
– cały tekst na wyborcza.pl

• **Jeśli ktoś myśli, że walczy z Braunem, atakując ważną dla jego elektoratu religię, to jeszcze bardziej upokarza ten elektorat, a więc Brauna wzmacnia. Ale elity wolą pisać o sutannie pod garniturem. Pozostaje mi więc skierować do nich Braunowskie: „Szczęść Boże i ratuj się kto może”**
cała odpowiedź **Marcina Matczaka na wyborcza.pl**

wyborcza | MAGAZYN

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCA: Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 35a35257f6

KRAJ

„KAŻDA FRAKCJA W PIS MA SWOJĄ AFERĘ”

Z **DARIUSZEM JOŃSKIM** i **MICHAŁEM SZCZERBĄ** ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

ZDJĘCIA **DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL**

Dziwnym zbiegiem okoliczności wszędzie tam, gdzie pojawia się ustawa ograniczająca możliwe nieprawidłowości, pojawia się weto Nawrockiego – **mówią posłowie Dariusz Joński i Michał Szczerba**

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI: Czy ucieczka Zbigniewa Ziobry i Marcina Romanowskiego na Węgry to porażka polskiego państwa i instytucji unijnych?

DARIUSZ JOŃSKI: To przede wszystkim kompromitacja rządu Viktora Orbána, który nie respektuje europejskich mechanizmów prawnych, w tym europejskiego nakazu aresztowania. Ostatnia decyzja sądu o jego uchyleniu budzi poważne wątpliwości, co potwierdza lektura uzasadnienia. Dobrze, że prokuratura składa kolejny wniosek. Polski wymiar sprawiedliwości doprowadzi tę sprawę do końca. Ziobro i Romanowski nie unikną odpowiedzialności – to tylko kwestia czasu.

W jaki sposób Unia zareaguje?

MICHAŁ SZCZERBA: Orbán jest patologicznym recydywistą. W UE wzajemnie uznaje się wyroki sądowe. Nie było podstaw, by wstrzymywać egzekwowanie postanowienia o nakazie aresztowania. Złote spadochrony, które otrzymali Ziobro i Romanowski, mają krótki okres ważności. Nie tylko ze względu na spodziewaną odpowiedź Unii. Za kilka miesięcy odbędą się wybory parlamentarne na Węgrzech. Zwyciężający w sondażach lider opozycji Peter Magyar już zapowiedział, że azylanci Orbána będą musieli szukać innej kryjówki.

Jak to możliwe, że jeden z krajów należących do Unii Europejskiej bezczelnie przez rok łamał prawo?

D.J.: W Parlamencie Europejskim przygotowywana jest reakcja na tę sprawę i rząd Viktora Orbána będzie musiał ponieść konsekwencje. Przez wiele miesięcy łamano podstawowe zasady prawa unijnego. Ta sytuacja oddziałuje także na partię Jarosława Kaczyńskiego. Ryszard Terlecki, odpowiadając na pytanie Justyny Dobrosz-Oracz z TVP, przyznał, że PiS idzie na dno z powodu ucieczki Ziobry. Niezależnie od tego, czy Ziobro czy Romanowski ukrywają się na Dominikanie, w Budapeszcie czy w Londynie, ostatecznie zostaną sprowadzeni przed polski wymiar sprawiedliwości.

M.S.: Twórca marki Red is Bad też żył złudzeniami o swojej bezkarności. Ale wszystko do czasu. Państwo i jego służby pokazały determinację i sprawczość. Paweł S. jest dziś małym świadkiem koronnym i składa obszerne wyjaśnienia w aferze Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych (RARS).

eprasa.pl 35a35257f6

Paweł S. wygrał przetarg na dostarczenie agregatów prądotwórczych, dzięki czemu miał zarobić 270 mln zł.
M.S.: Chcieli ukraść państwo i uznali, że mogą wszystko. Dodawały im pewności polityczna prokuratura i służby robiące za ich parasol ochrony. Dla różnych frakcji PiS walka o kasę i wpływy była najważniejsza. Nie mieli hamulców, by zarabiać najpierw na pandemii, a później na wojnie w Ukrainie. Ekstradycja Michała Kuczmierowskiego, byłego szefa RARS, to byłby koszmar Mateusza Morawieckiego i jego harcerzy. Kolejne obciążające zeznania, być może w roli małego świadka koronnego, mogłyby być początkiem końca tego środowiska. Na decyzję londyńskiego sądu musimy poczekać do końca lutego.

Kuczmierowski zacznie obciążać byłego premiera?
D.J.: Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z osobą, która dokładnie zna szczegóły ustawianych przetargów i mechanizm wyprowadzania publicznych pieniędzy. Wszystkie drogi w tej sprawie prowadzą do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego. Afera ma więc swojego ojca i chcemy, żeby została do samego dna wyjaśniona.

M.S.: Każde środowisko w PiS ma swoją aferę. Ekipa Bielana przejęła Narodowe Centrum Badań i Rozwoju (NCBR). Dzięki naszym kontrolom poselskim zatrzymaliśmy skok na unijne środki. Nienażarta ekipa Ziobry zagnieździła się w Funduszu Sprawiedliwości. RARS przejęli harcerze Morawieckiego. By budować swoje frakcje, potrzebowali wpływów i kasy. Miało się to przełożyć na liczbę mandatów.

Po dwóch latach rządów zarzuty ma kilku polityków PiS, nie widać jakiegoś większego przyspieszenia, nie licząc zarzutów postawionych Zbigniewowi Ziobrze. A przecież Donald Tusk i panowie zapowiadali rozliczenie poprzedników.
D.J.: Kiedy koalicja 15 października przejęła odpowiedzialność za państwo, cały system był zabetonowany przez PiS. Zmiany w prokuraturze i sądach były utrudnione. To po pierwsze. Po drugie – przez wiele miesięcy śledczy zbierali dowody, często niszczone przez ludzi PiS w czasach ich rządów. Następnie stawiano zarzuty, a teraz pojawią się akty oskarżenia. Najlepszym przykładem jest wspomniany Morawiecki, który ma postawione zarzuty za organizację wyborów kopertowych w 2020 roku, a na dniach pojawi się w jego sprawie akt oskarżenia i sprawa trafi do sądu. Te wszystkie kroki są niezbędne, by przywrócić w Polsce praworządność. Zwrócę też panu uwagę, że rzadko zdarza się posiedzenie Parlamentu Europejskiego w Strasburgu, na którym nie zdejmuje się immunitetów politykom Prawa i Sprawiedliwości.

M.S.: Jedną z pierwszych decyzji rządu Donalda Tuska było dołączenie Polski do Prokuratury Europejskiej. To był zdecydowany krok w przywracaniu praworządności. Od tego momentu aferami PiS, o których rozmawiamy, mogli się zająć też europejscy śledczy. Dlaczego? Bo zarówno w RARS, jak i NCBR ludzie PiS wydawali środki europejskie. Aktualnie więc postępowania w sprawie nadużyć finansowych prowadzą służby krajowe, a jednocześnie instytucje unijne. Często na podstawie wcześniejszych ustaleń OLAF. Dzięki temu nikt tych rozliczeń już nie zatrzyma.

I naprawdę pan uważa, że minister sprawiedliwości i prokurator generalny robi wszystko, żeby wyjaśnić każdą aferę PiS? Część wyborców Koalicji Obywatelskiej jest rozczarowana tempem rozliczeń.
M.S.: My też jesteśmy niecierpliwi. Tak jak nasi wyborcy. Latami skrupulatnie dokumentowaliśmy te wszystkie przekręty i informowaliśmy o nich. Nasi wyborcy są też wymagający, ale odpowiedzialni. Nikt nie oczekuje drogi na skróty. Skala nieprawidłowości była porażająca, a praca śledczych wymaga czasu i zebrania dowodów, żeby akty oskarżenia były dobrze przygotowane.

Ale o jakich dowodach pan mówi, skoro przez wiele lat rządów PiS opowiadał pan, że macie ich całą szafę.
M.S.: Wszystkie dowody na bieżąco przekazywaliśmy do Najwyższej Izby Kontroli (NIK), prokuratury i administracji skarbowej. W oparciu o nasz wniosek NIK wszczęła kontrolę doraźną w NCBR. Państwo PiS miało pełną wiedzę o wszystkich tych nieprawidłowościach. Weźmy pod lupę chociażby aferę wizową. Wiedzieli o niej wszystko. O sprzedaży wiz, o korupcji w otoczeniu wiceministra spraw zagranicznych Piotra W., o bezprecedensowych naciskach na konsulów. I o tym, że przyjmujący łapówki mieli prowadzić kampanię polityków PiS w województwie świętokrzyskim. Służby alarmowały, że program wizowy Morawieckiego „Poland. Business Harbour" mógł być wykorzystywany jako kanał przerzutowy dla wschodniej agentury. Do tej pory się nie wytłumaczyli, dlaczego mimo ostrzeżeń służb przyznawali wizy obywatelom Rosji już po agresji na Ukrainę. Z kolei rzeszowska delegatura Centralnego Biura Antykorupcyjnego prowadziła śledztwo w sprawie RARS.

Mieli dowody na przestępczą działalność i dokładnie wiedzieli, kto jest patronem tego układu.

Dariusz Joński: Zderzyliśmy się z patologią na niespodziewaną skalę. Nie mam wątpliwości, że dzisiaj te rozliczenia przyśpieszyły

No ale dowody, o których pan mówi, były zbierane jeszcze w czasach poprzednich rządów. Dlaczego te sprawy się tak ślimaczą?
D.J.: Wszystko tutaj sprowadza się do odbetonowywania prokuratury. Zbudowany za czasów PiS układ w wymiarze sprawiedliwości próbował rzucać piach w tryby wszelkim rozliczeniom. Pamiętam, jak np. podczas pracy komisji śledczej badającej wybory kopertowe prokuratura nie chciała udostępnić nam dokumentów. Trzeba było posprzątać, by móc przyśpieszyć. Zderzyliśmy się z patologią na niespodziewaną skalę. Nie mam wątpliwości, że dzisiaj te rozliczenia przyśpieszyły.

Pojawiają się głosy, że postawienie zarzutów Ziobrze przyspieszył nowy prokurator generalny Waldemar Żurek. Wasi zwolennicy pytają więc, dlaczego ktoś taki od samego początku nie kierował pracami resortu sprawiedliwości.
D.J.: Był ważny i trudny etap porządkowania wymiaru sprawiedliwości, za który z sukcesami odpowiadał Adam Bodnar. Teraz przyszedł czas aktów oskarżenia. Sprawdza się w tym minister Waldemar Żurek wspierany przez prokurator Ewę Wrzosek. Obydwoje wykazali się bezkompromisową walką w czasach rządów PiS. Oczekiwania społeczne są bardzo duże. Ludzie mają nadzieję, że złodzieje trafią tam, gdzie jest ich miejsce – na ławę oskarżonych.

M.S.: Prokuratura to ludzie za czasów Ziobry poddawani efektowi mrożącemu. Awansowano dyspozycyjnych prokuratorów, miernoty, które do garaży wyprowadzały niewygodne dla PiS akta. Trwa proces odbudowy tej instytucji. Ponownie stoi ona na straży praworządności, ściga przestępców, reprezentuje interes społeczny. I są tego efekty. Ale trzeba zwrócić uwagę, co by było, gdyby nie nastąpiła zmiana w 2023 roku. Środki z Krajowego Planu Odbudowy (KPO) nie zostałyby odblokowane. Instytucje europejskie nie ufały władzy, która budował system kleptokracji. Ale co równie ważne, dzięki konsekwentnym działaniom rządu Donalda Tuska mamy do dyspozycji dziesiątki miliardów euro z UE na uzbrojenie polskiej armii. Nikt skorumpowanemu rządowi PiS by nie zaufał, bo była ekipą, która na zakupie agregatów prądotwórczych dla ukraińskich szpitali postanowiła się dorobić.

Jarosław Kaczyński uważa, że wszystkie te śledztwa mają polityczny wymiar, a celem koalicji rządzącej jest zniszczenie opozycji. Co panowie na to?
D.J.: Trzeba było nie kraść. A przecież to ten sam Kaczyński, który ostrzegał Ziobrę, jakie będą konsekwencje jego działań w Funduszu Sprawiedliwości. Wiceministra Wawrzyka przestał poznawać, mimo że razem promowali się na TikToku. Nie mam wątpliwości, że Kaczyński wiedział o większości tych spraw. Było podobnie jak z wyborami kopertowymi. O wszystkim wiedział, ale to Morawiecki podpisywał. Tu nie ma pola do interpretacji. Nie mógł, ale podpisał. Po prostu złodziejstwo należy nazwać złodziejstwem, a ten, kto łamie prawo, musi ponieść za to konsekwencje. Wszyscy jesteśmy równi wobec prawa.

M.S.: Ostrzegaliśmy, że to nie są jednostkowe przypadki. Taki jest po prostu charakter ten formacji. W naszej książce „Wielkie żniwa. Jak PiS ukradł Polskę" szczegółowo opowiedzieliśmy o największych aferach PiS. Jeden z rozdziałów poświeciliśmy Robertowi Bąkiewiczowi. PiS kupował go dotacjami z Funduszu Patriotycznego, Funduszu Sprawiedliwości i Narodowego Instytutu Wolności. Ale to nie tylko przykład politycznego transferu za pieniądze, które będzie musiał zwrócił. To także potwierdzenie kursu na skrajną prawicę. Ten flirt z obozem radykalnym widać już wprost w kancelarii Karola Nawrockiego. Kilka lat temu okazało się, że jeden z dyrektorów IPN lubił hajlować i obchodził rocznicę pogromów żydowskich. Tłumaczyli to wtedy pluralizmem w tej instytucji. Ale to, co dzieje się obecnie, to ewidentne puszczanie oczka do Grzegorza Brauna. Jednocześnie widzę w kancelarii Nawrockiego chaos, który przypomina sposób zarządzania Instytutem Pamięci Narodowej (IPN) przez obecnego prezydenta.

Czyli?
M.S.: Brak kompetencji, blokowanie decyzji ważnych z punktu widzenia bezpieczeństwa, brak przepływu informacji, unikanie współpracy z rządem, antyeuropejska narracja i być może ponowne marnotrawienie środków.

Ma pan na to dowody?
M.S.: Mam październikowy raport NIK o gospodarowaniu finansami i majątkiem IPN za prezesury Nawrockiego. Otrzymali negatywną ocenę. Ustalenia raportu są porażające. Połowa skontrolowanych środków była wydana niegospodarnie. Zlecenia w edukacji dostali jedni i ci sami, bez żadnego trybu. W piach poszły wydatki na filię IPN w USA, która ostatecznie nie powstała. Jak ktoś idzie na skróty w jednym miejscu, to nie zmienia się w innym. Szczególnie że Kancelaria Nawrockiego umeblowana jest ekipą z IPN.

Inni mówią tak: skoro dzisiejsza władza chce wsadzać do więzienia dzisiejszą opozycję, to kiedy rządy obejmą Kaczyński z Braunem, to politycy KO trafią za kratki. Przemawia do panów ten argument?
D.J.: Nie, ponieważ są twarde dowody przestępstw popełnionych przez ludzi PiS. Świadkowie koronni zeznają, jak wyglądał proces wyprowadzania pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości czy RARS.

M.S.: Ten rząd na serio traktuje standardy. Był przypadek wiceministra sprawiedliwości, który zatankował na wakacjach służbową kartą. Natychmiast został zdymisjonowany. Sprawa trafiła do prokuratury. Działka za bezcen sprzedana przez Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa podczas dwutygodniowego rządu Morawieckiego wróciła do skarbu państwa. Swoją drogą, kim inspirowali się dyrektorzy odpowiedzialni za grunty rolne? Interesami fundacji i spółki Srebrna Jarosława Kaczyńskiego, które uwłaszczyły się na państwowym majątku? Czy interesami Mateusza Morawieckiego i jego żony, którzy dorobili się fortuny na działkę od wrocławskiej parafii? Ludzie PiS mają dwie namiętności: kasa i władza. I to się nie zmienia od czasów Porozumienia Centrum, czyli pierwszej partii Jarosława Kaczyńskiego.

D.J.: Proszę zwrócić uwagę na pewien mechanizm: kiedy PiS jest przy władzy, to, naruszając reguły, korzysta pełnymi garściami z publicznych pieniędzy. Kiedy nie rządzi, to wykorzystuje nienadzorowane przez państwo instytucje finansowe. Po 2007 roku PiS związał się ze SKOK-ami. A kiedy rząd Donalda Tuska chciał ich działalność objąć kontrolą Komisji Nadzoru Finansowego, Kaczyński za wszelką cenę blokował tę decyzję. W tym czasie ze SKOK Wołomin wyprowadzono 3 mld zł. Teraz ich oczkiem w głowie jest rynek kryptowalut. Jedna z firm sfinansowała wydarzenie polityczne, w którym podczas kampanii wyborczej wziął udział Karol Nawrocki, a po zakończeniu kadencji do rady nadzorczej innej firmy – zarejestrowanej na Litwie – wszedł Andrzej Duda. I znowu: PiS za wszelką cenę blokuje publiczny nadzór nad rynkiem kryptowalut.

I dlaczego to robią?
M.S.: Może rzeczywiście spłacają rachunki za wydarzenie CPAC w kampanii wyborczej. Chyba nie do tego służą prezydenckie weta. Tajemnicą poliszynela jest, że różne lobby w nowej pałacowej rzeczywistości czują się jak ryba w wodzie. Branża futrzarska i kryptowaluty nie są jedynym przykładem.

eprasa.pl 35a35257f6

Dowody?
M.S.: Znamy dobrze przykłady z Mołdawii. Rosyjskie KGB ingerowało w wybory, nielegalnie finansując kampanię. Używali kryptowalut. Opłacali nie tylko celebrytów, ale też miliony kont na TikToku. Było ich trzy razy więcej niż ludność Mołdawii. Unia zaproponowała więc regulacje, które zabezpieczały nie tylko interesy inwestujących, ale też nadzór nad tym rynkiem.

A może prezydent robi to, ponieważ zależy mu na głosach wyborców Konfederacji?
D.J.: Dziwnym zbiegiem okoliczności wszędzie tam, gdzie pojawia się ustawa ograniczająca możliwe nieprawidłowości, pojawia się weto Nawrockiego. Ustawa o fundacjach rodzinnych napisana została pod ludzi PiS, którzy chętnie przepisywali na nie swoje majątki. Dzięki temu nie tylko mogli nie wpisywać ich do oświadczeń, ale też unikali opodatkowania. Rząd chciał to ukrócić. Teraz weto ustawy o rynku kryptowalut. Przecież w zawetowanych ustawach chodzi o interes publiczny.

Jak w kuluarach Parlamentu Europejskiego politycy PiS mówią o rozliczeniach ich rządów, o toczących się śledztwach?
D.J.: Zdjęliśmy immunitety byłemu prezesowi Orlenu Danielowi Obajtkowi, szefowi kancelarii premiera Michałowi Dworczykowi, byłemu ministrowi spraw wewnętrznych i jego zastępcy Mariuszowi Kamińskiemu i Maciejowi Wąsikowi oraz Grzegorzowi Braunowi. Ich tłumaczenia to odwracanie kota ogonem. Były prezes Orlenu jest podejrzany o zlecenie śledzenia posłów opozycji za pieniądze spółki. Teraz przekonuje, że o niczym nie wiedział, a wiceprezesa od bezpieczeństwa wstawił mu do spółki Mariusz Kamiński. Panowie z PiS myśleli, że Parlament Europejski będzie dla nich schronem. Nie będzie.

M.S.: Wnioski immunitetowe wagi ciężkiej dopiero przyjdą. W Orlenie półtora miliarda przekazano szwajcarskiej spółce za ropę, która nigdy nie trafiła do Polski. Pieniądze zniknęły. To jest naprawdę gruba sprawa. Europosłowie z innych krajów pytają nas, ile jeszcze tych immunitetów będziemy uchylać. „Tyle, ile będzie trzeba" – odpowiadamy.

I jakie są nastroje w PiS?
M.S.: Tuż po wyborach w 2023 roku widziałem przerażenie. Bo oni sami najlepiej wiedzą, jak sporo mają za uszami. Po wyborze Nawrockiego na prezydenta zaczęli się zachowywać arogancko, byli pewni siebie. Przekonani, że dostali maszynkę do ułaskawień. A teraz znowu pojawiła się niepewność. Nie wiedzą, w co gra Nawrocki. A w samym PiS trwa walka na noże. Z jednej ekipa Morawieckiego. Z drugiej były minister edukacji Przemysław Czarnek, który ma ochotę zastąpić Kaczyńskiego, w sojuszu z byłym ministrem aktywów państwowych Jackiem Sasinem i do tego europoseł Tobiasz Bocheński, który ma udawać nową jakość w polityce.

D.J.: Po wyborach prezydenckich już świętowali zwycięstwo w 2027 roku, zanim pokłócili się o to, kto będzie premierem. PiS jest najsłabszy w historii. Trwa walka frakcji o wpływy i miejsca na listach. Dobrze wiedzą, że w takiej kondycji ich formacji wielu z nich znajdzie się poza Sejmem. Frakcje maślarzy czy harcerzy są współodpowiedzialne za to, co obserwowaliśmy przez osiem lat.

To prawda. PiS słabnie, ale Konfederacji rośnie poparcie. Ale rząd też ma fatalne poparcie, koalicjanci Tuska tak samo. Przegraliście wybory prezydenckie, których nie można było przegrać. W jaki sposób rząd chce wygrać z prawicą?
D.J.: Sondaże pokazują regularny wzrost poparcia dla KO, a tym samym dla działań rządu Donalda Tuska. Jesteśmy zdeterminowani, by wygrać wybory w 2027 roku. To będzie swoiste referendum. O obecności Polski w UE i oddaniu władzy niebezpiecznym radykałom: Kaczyńskiemu, Konfederacji i Braunowi. Najpierw Polskę osamotnią w UE, a następnie z niej wyprowadzą.

Ale rozmawiamy o przyszłych koalicjach.
D.J.: Naszym celem jest wygrana, stąd decyzja o połączeniu z Nowoczesną i Inicjatywą Polską. Trzeba wzmocnić wspólną formację, na wojnie trzeba się skupić wokół jednego generała. Będziemy tworzyć koalicje z tymi, którzy chcą, żeby Polska została w Europie.

Czyli nie zakłada pan koalicji z Konfederacją Sławomira Mentzena?
D.J.: Powtórzę: z tymi, którzy chcą Polski w Europie. W różnych formacjach są różni ludzie, nie chcę się do nich odnosić. Z jednej strony mamy Europę, która jest gwarancją naszego dzisiejszego bezpieczeństwa, a z drugiej – Kaczyńskiego, Brauna i Bąkiewicza. To są dwa różne światy.

M.S.: Zgodzę się, że stawką jest Europa, ale przede wszystkim bezpieczeństwo Polski. Po to jesteśmy w Parlamencie Europejskim.

Michał Szczerba: Pytają nas, ile jeszcze tych immunitetów będziemy uchylać. „Tyle, ile będzie trzeba" - odpowiadamy

O tym jeszcze za chwilę. Wyniki wyborów prezydenckich pokazały, że Koalicja Obywatelska straciła dwie ważne grupy wyborców, czyli młodych i kobiety. Co zrobicie, żeby je odzyskać?
M.S.: Nasze stanowisko jest jasne. Na ostatniej sesji w Strasburgu poparliśmy obywatelską inicjatywę „My Voice, my Choice". Chcemy, by we wszystkich krajach UE kobiety miały prawo do decyzji. W Polsce przyspieszenie w sprawie liberalizacji prawa do aborcji i związków partnerskich miało nastąpić po wyborach prezydenckich. Stało się inaczej. Ale i w jednej, i w drugiej sprawie rząd i większość muszą pokazać determinację. Choć oczekiwanym rozwiązaniom zagrażają prezydenckie weta. Dla młodych kluczowe są mieszkania, zróżnicowana oferta – wynajem lub zakup, dostępność i cena. To ważny temat w całej Unii Europejskiej.

D.J.: KO chce zliberalizować prawo aborcyjne, to fakt. Wśród naszych partnerów pojawiają się odmienne głosy, ale w Koalicji Obywatelskiej panuje w tej sprawie konsensus: aborcja powinna by dostępna do 12. tygodnia ciąży.

Unia zapewni nam bezpieczeństwo? To amerykańska armia jest silniejsza, Bruksela nie ma swojego wojska.
M.S.: Wszyscy powinniśmy się na serio wsłuchiwać w ostrzeżenia sekretarza generalnego NATO Marka Ruttego, że NATO może być celem Rosji za pięć lat. Dlatego musimy zrobić wszystko, by Europa zbudowała gotowość obronną. I była bardziej niezależna. Unia może nam pomóc, udostępniając fundusze pożyczkowe i dotacje, integrując nasze przemysły obronne, realizując wspólne projekty i zakupy, inwestując wspólnie w fabryki broni i amunicji, budując tarcze chroniące nasze granice i niebo. Budujemy wojskowe Schengen, dzięki czemu zapewnimy szybszy transport wojska i sprzętu w ramach Unii. W ramach programu SAFE jako Polska będziemy mieć do wydania 180 miliardów złotych. Zgłosiliśmy 140 projektów, które odpowiadają na nasze potrzeby. To nasze wojsko wskazało, co jest najpilniejsze, i koncentruje się na Tarczy Wschód, zdolnościach produkcji dronów, systemach antydronowych, cyberbezpieczeństwie, ochronie infrastruktury krytycznej i mobilności wojskowej. Wokół przemysłu obronnego możemy jako Polska zbudować innowacyjną gospodarkę, jakiej jeszcze nie mieliśmy. Wykorzystamy potencjału nauki, badań i polskich start-upów.

D.J.: Naszą rolą jest pokazanie tego, co daje nam Europa. Przede wszystkim polisę ubezpieczeniową na negatywne scenariusze i wspomniane fundusze na obronność. Jeśli chodzi o samą mobilność wojskową, w nowym wieloletnim budżecie UE, w ramach instrumentu „Łącząc Europę" zapewnimy 17 miliardów euro na budowę mostów, drogi i inną infrastrukturę podwójnego zastosowania. Unia sfinansuje też częściowo kolej dużych prędkości, a młodzi będą mieli zapewniony wspólny bilet na przejazdy międzynarodowe.

W Europie mierzymy się z populistami i jako delegacja KO z Polski próbujemy przekonywać innych, że czas zrewidować złe decyzje z ostatnich lat. Najlepszym przykładem jest zapowiadany zakaz sprzedaży samochodów spalinowych od 2035 roku. Nie boimy się mówić wprost, że to była zła decyzja, którą wykorzystują środowiska chcące dezintegracji Unii. Na nasz wniosek Komisja Europejska przesunie datę wejścia tych przepisów. Każdy obywatel powinien mieć możliwość wyboru, czy chce jeździć samochodem elektrycznym, hybrydą czy spalinowym. Szczególnie że na początku tego roku Donald Trump wycofał się z porozumień paryskich, czyli umowy międzynarodowej zakładającej ograniczenie emisji gazów cieplarnianych. Premier Kanady zlikwidował podatek węglowy. Europa nie jest sama.

M.S.: Polska jest w Unii obrońcą zdrowego rozsądku i ochrony portfeli zwykłych ludzi. Ambitne cele klimatyczne są ważne, ale naszą rolą jest ostrzegać przed konsekwencjami ich wprowadzenia w życie. Także w zakresie opłat, utrzymania i budowy nowych mieszkań. Nie ma naszej zgody na obciążanie ludzi dodatkowymi podatkami.

To ciekawe, że prezentujecie panowie jako politycy liberalni zwrot konserwatywny w myśleniu o Europie. Odejście od celów klimatycznych nie sprawi, że skutki katastrofy klimatycznej nie dotkną Polaków, którzy w konsekwencji będą płacić za jedzenie czy ogrzewanie jeszcze więcej niż dzisiaj. Premier Tusk zawiesza prawo do azylu, choć zaprzecza to wartościom europejskim. Czy ta narracja nie sprawia, że ludzie przestają ufać liberałom i Unii?
D.J.: Nie, ponieważ od wielu miesięcy dyskutujemy o raporcie Draghiego, który zwrócił uwagę, że gospodarka europejska przestała być konkurencyjna ze względu na liczne regulacje nieznane w innych częściach świata. Jesteśmy zalewani produktami z Chin i Indii, Europa musi się przed tym obronić. Chodzi więc o zachowanie balansu między ochroną klimatu a konkurencyjnością gospodarki. Zaprosiliśmy do Polski największą frakcję parlamentarną i pokazaliśmy nasze inwestycje w odnawialne źródła energii. Zawieźliśmy ich do elektrociepłowni w Gdańsku i pokazaliśmy, ile środków europejskich zainwestowaliśmy w jej transformację. Rozpoczęliśmy budowę elektrowni jądrowej, będziemy mieli największą farmę wiatraków na Morzu Bałtyckim. Musimy nadgonić stracony czas, ponieważ rządy PiS więcej mówiły, niż robiły. Morawiecki, Szydło i Kaczyński nie inwestowali w odnawialne źródła energii. My to naprawiamy. Ale jednocześnie nasza gospodarka nie może stracić na tych zmianach, potrzebujemy więc czasu na konieczne reformy, nie możemy pozwolić, by stała się krzywda 200 tysiącom ludzi pracujących w branży motoryzacyjnej w Polsce, która daje co roku 5 proc. PKB.

M.S.: Mamy świadomość, jakie wyzwania czekają Polskę i Europę za dwa lata. 2027 to będzie rok wyborów prezydenckich we Francji i parlamentarnych u nas. W 2029 roku w całej Unii odbędą się wybory do Parlamentu Europejskiego. Jesteśmy gotowi dać odpór populistycznej prawicy, chcącej niszczyć jedność i blokować wspólne działania i inwestycje w europejski przemysł obronny. Jeśli oni wygrają, wówczas Unia i nasze bezpieczeństwo będą poważnie zagrożone. Dlatego musimy urealniać plany, rewidować je i odbierać populistycznej prawicy polityczny tlen.

I dzięki tej strategii chcecie wygrać wybory?
D.J.: Tak. Wybory parlamentarne będą drugim referendum akcesyjnym. Polacy podejmą decyzję, czy zostajemy w Europie czy Kaczyński wspólnie z Braunem i Bąkiewiczem przy akceptacji Karola Nawrockiego nas z niej wyprowadzą. To jest stawka najbliższych dwóch lat: zostajemy z Tuskiem w Unii Europejskiej czy idziemy z prawicą na Wschód. ●

Michał Szczerba

• poseł do Parlamentu Europejskiego, członek Koalicji Obywatelskiej. W latach 2007-2024 w Sejmie, wcześniej przewodniczący Rady Dzielnicy Wola. W latach 2023-2024 przewodniczył Zgromadzeniu Parlamentarnemu NATO. W wyborach do PE uzyskał najlepszy wynik w Warszawie. W swoim okręgu zdobył ponad 120 tysięcy głosów.

Dariusz Joński

• poseł do Parlamentu Europejskiego, członek Koalicji Obywatelskiej, a wcześniej Inicjatywy Polska Barbary Nowackiej i Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Od 2011 roku w Sejmie, od 2006 roku radny Łodzi. W wyborach do PE zdobył blisko 200 tysięcy głosów.

eprasa.pl 35a35257f6

DO SCHRONU ZJEŻDŻAM WINDĄ

Nie tylko Rosjanie. My też działamy na uczelniach. **Interesujemy się studentami, którzy mają aspiracje polityczne**

Z **VINCENTEM V. SEVERSKIM** ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

eprasa.pl 35a35257f6

DOROTA WODECKA: Czy gruby człowiek może dostać pracę w służbach?
VINCENT V. SEVERSKI*: Tak. Przecież może pracować w dziale analitycznym, w informacji, we wsparciu czy w logistyce. Przede wszystkim liczy się to, co on ma w głowie, a nie ile ma kilogramów.

A co powinien w tej głowie mieć?
– Nawet jeśli wymienię znajomość języków obcych, zdolności analitycznego myślenia, autocenzury, oczytanie, znajomość literatury i sztuki, ogładę towarzyską, ostatecznie może się okazać, że osoba, która przeszła wszystkie testy pomyślnie, nie zostanie przyjęta, bo brakuje jej tego czegoś.

Miałem kiedyś kandydatkę, bardzo drobniutką dziewczynę z poważną wadą wzroku, a akurat w wywiadzie wzrok ma fundamentalne znaczenie. Ale miała wyjątkową empatię, wolę uczenia się i poznawania, siłę charakteru i właśnie to coś, co wyszkolony agent potrafi rozpoznać w kandydacie. Przyjęliśmy ją. Przeszła kosztowną i trudną operację, którą sama sfinansowała, i dziś jest wybitnym oficerem wywiadu.

Da się wyjaśnić słowami, czym jest to coś?
– Nie da się. My po prostu wiemy, a właściwie czujemy, kto się ewidentnie nadaje do tego zawodu. Zawodowi szpiedzy, którzy opracowują testy, jakie przeszli kandydaci, mogą ocenić na ich podstawie, w czym kandydat jest dobry, a w czym niekoniecznie, ale nie można wszystkiego zbadać testami.

Kluczowa jest empatia i jeśli ktoś jej nie ma, to nie nadaje się na szpiega. Mimo że narzędziami naszej pracy są czasami kłamstwo i manipulacja, to szpieg musi lubić ludzi i musi być przez nich lubiany.

Najsłynniejszy agent świata raczej tej empatii jest pozbawiony.
– Uwielbiam oglądać Bonda, ale poza tym, że walczy ze złem, jego etos nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Może by i przeszły w realu wspaniałe samochody i martini zmieszane, nie wstrząśnięte, ale jego mizoginia dyskwalifikuje go jako zawodowego szpiega.

Klasyczny Bond nie znalazłaby miejsca w służbach z powodu instrumentalnego traktowania kobiet.

Ilu kandydatów przechodzi przez nabór?
– Średnio spośród tysiąca absolwentów wyższych uczelni wybieramy 20, 30 osób. Moglibyśmy więcej, ale tyle przechodzi trudny proces rekrutacji, który trwa pół roku.

Czy zdarza się wam pomylić?
– Czasami kandydaci rezygnują w czasie rocznej prawie szkoły, ale to są pojedyncze przypadki. Sporadycznie się zdarza, że i wyszkoleni oficerowie już rezygnują z pracy albo praca rezygnuje z nich.

Mogę uznać, że agenci są bardziej rozgarnięci niż policjanci?
– Do pracy w służbach jest większa selekcja. Ale nie chcę się zgodzić z pani tezą, że my jesteśmy lepsi od nich. Nas jest 1000 osób, w policji pracuje 100 tysięcy ludzi. To, że trafi się na kogoś mało kompetentnego, jest po prostu kwestią statystyki.

Czy kandydaci do wywiadu uczą się zabijać?
– Nasz wywiad nikogo nie zabija, chyba że w obronie własnej. To kolejny mit. Wywiad jest od zbierania informacji, a nie zabijania. Od zabijania jest wojsko. Żołnierze uczą się strzelać nie do zajęcy i do kaczek, tylko do ludzi.

Ale rzeczywiście się zdarza, że informacje, które zdobywamy, bywają śmiertelne. Kiedy dowiedzieliśmy się, że na członków misji humanitarnej w Afganistanie, którzy mieli pracować przy wykopywaniu studni, będą czekali w ukryciu talibowie, powiadomiliśmy GROM.

Dlaczego wywiad nie chwali się swoimi sukcesami?
– Największym sukcesem wywiadu jest brak zamachu czy wojny, chociaż nie jesteśmy wszechmocni, a o wojnach decydują politycy. Poza tym nie jesteśmy od chwalenia się, tylko od działania. Ale mogę podać jeden przykład. Pamięta pani w 2003 roku zagrożenie zamachami terrorystycznymi w czasie świąt Bożego Narodzenia? Na ulicach były wtedy wzmocnione patrole policji i wojska.

Niestety nie.
– No właśnie, ale gdyby wydarzyło się coś złego, to na pewno by pani pamiętała. A istniało realne zagrożenie i, nie chwaląc się, ja tę sprawę rozpracowywałem. Jeśli ludzie mogą żyć w spokoju, to znaczy, że wywiad dobrze pracuje. Oczywiście kiedy politycy podejmują właściwe decyzje. Ale to już temat na inną rozmowę.

Od Kwaśniewskiego do Kaczyńskiego

Ma pan kwit z IPN-u na ścianie?
– Jestem z niego bardzo dumny.

Dlaczego?
– Polskie państwo za rządów PiS bardzo się starało pozbawić mnie emerytury i uznać za szkodnika Polski, ale na próżno.

Pewnie dlatego, że za komuny pracował pan w wywiadzie.
– Po transformacji odszedłem z wywiadu, założyłem firmę i zamierzałem zostać biznesmenem. Ale kiedy tworzono w Polsce nowe służby wywiadowcze, Andrzej Milczanowski poprosił mnie, bym wrócił. Ta propozycja i służba dla kraju były dla mnie zaszczytem. W 1991 roku złożyłem przysięgę i zostałem oficerem polskich służb.

Do 2010 roku pracowałem ze wszystkimi premierami i prezydentami.

Prezydent Aleksander Kwaśniewski przypinał mi Złoty Krzyż Zasługi, prezydent Lech Kaczyński wręczył specjalną nagrodę, a premier Jarosław Kaczyński wcześniejszy awans na pułkownika.

Kilkanaście lat później partia tego samego Kaczyńskiego uznała, że jestem złym człowiekiem, i odebrała mi uprawnienia emerytalne. Wystąpiłem do sądu, a prowadząca sprawę sędzia wystąpiła do IPN, by zbadał moją działalność przed 1990 rokiem.

Sama przeglądała kopie moich akt. Niczego nie znalazła ponad to, że zajmowałem się Czerwonymi Brygadami i prowadziłem źródło w Korei Północnej. Odzyskałem prawo do zasłużonej emerytury. Ale nie odpoczywam, piszę książki.

Klasyczny Bond nie znalazłaby miejsca w służbach z powodu instrumentalnego traktowania kobiet

Czytając ostatnią, czyli „Krawca", byłam poirytowana, że nadto idealizuje pan swoich bohaterów. Agenci są gruntownie wykształceni, znają się na literaturze, malarstwie i muzyce klasycznej. Rzecz jasna kobiety są fizycznie atrakcyjne, a mężczyźni przystojni, nie piją, nie ćpają, a jeśli już zdarza się niechlujnie odziany, otyły i pijący alkoholik, to okazuje się rosyjskim szpiegiem.
– Zauważę, że Roman Leski jest hipochondrykiem, na pewno nie jest przystojny i nie umie ułożyć sobie relacji z kobietami. W „Dystopii" też jest oficer z problemem alkoholowym.

Poza wszystkim szpiedzy naprawdę muszą być inteligentni, na co wskazuje chociażby angielska nazwa secret intelligence service. Muszą mieć szeroki horyzont, by nawiązywać kontakty. Ale rzeczywiście, skoro książki rządzą się osobnymi prawami, pozwalam sobie nieco idealizować nasze służby, by wytworzyć w społeczeństwie pozytywny mit polskiego wywiadu.

Dlaczego?
– Dlatego że jest nam potrzebny. Chcę, by Polacy docenili służbę, pracę i poświęcenie moich koleżanek i kolegów. To był jeden z powodów, dla których zacząłem pisać książki.

A nie doceniają?
– Nie doceniali. Kiedy nowa Polska tworzyła na nowo policję, wojsko i służby, sięgnęła po ówczesnych trzydziestolatków, którzy mieli już kilkuletnie doświadczenie w tej robocie. Ale wśród polityków byli tacy, którzy przenieśli swoje uprzedzenia czy fobie z poprzedniego okresu i zaczęli je kultywować w życiu publicznym. Dość wspomnieć sprawę Zacharskiego, kiedy polski wywiad obalił własnego premiera.

Zacharski był agentem służb peerelowskich w Stanach, a po 1989 roku podobnie jak pan został zwerbowany do ówczesnego Urzędu Ochrony Państwa.
– I w 1995 roku przekazał Andrzejowi Milczanowskiemu, szefowi MSW, że według jego wiedzy ówczesny premier Józef Oleksy może być agentem o pseudonimie „Olin" działającym na rzecz ZSRR i Rosji. Milczanowski ogłosił te informacje z trybuny sejmowej. Oleksy podał się do dymisji, a jego rząd upadł.

Śledczy prokuratury wojskowej nie znaleźli żadnych dowodów na to, by premier był szpiegiem, ale ten wyskok wpłynął na zaufanie do służb. Od tamtej pory każda nowa ekipa, która przychodziła rządzić, mówiła: „Dobrze, dobrze, my was lubimy, ale pokażcie, co macie na nas w szafie".

Nigdy niczego nie znaleźli. Nie dlatego, że ukrywaliśmy jakieś sprawy, ale dlatego, że wywiad zajmuje się premierami, ale nie naszego kraju.

Ujawnienie listy rzekomych współpracowników bezpieki przez Bogusława Wildsteina czy agentów Wojskowych Służb Informacyjnych przez Antoniego Macierewicza nie wpłynęły na pozytywny wizerunek służb. Ilekroć politycy nie potrafili rozwiązać jakiegoś problemu, to zrzucali winę na nas. Lubią obwiniać służby za swoje błędy, a nieraz głupotę. I taka wiedza idzie w lud.

Dlaczego Brytyjczycy, Francuzi czy Izraelczycy szanują swoje służby, mimo że i u nich zdarzają się politycy, którzy je wykorzystują do ukrywania własnych błędów?
– W dojrzałych demokracjach zachodnich funkcjonują wewnętrzne mechanizmy praworządności. Mimo że brytyjskie służby zostały w czasie zimnej wojny złomotane przez KGB, to jednak cieszą się ogromnym zaufaniem i jeśli ktoś chce zdradzić jakieś państwowe tajemnice swojego kraju, to idzie do nich.

Ich pozycja wynika nie tylko z popkultury, bo wiadomo: Le Carré czy George Smiley, ale też z ugruntowanej demokracji, w której państwo szanuje obywateli i im ufa, a obywatele ufają państwu. W Polsce zaufanie do instytucji państwowych jest poniżej 50 procent.

Ale przynajmniej nasz etos zostaje doceniony i mam pewność, że również za sprawą moich książek. Wielu młodych ludzi, którzy zgłaszają się do wywiadu, mówi, że chcą tu pracować, bo czytali książki Severskiego. Sprzedałem ich ponad milion, mam około pięciu milionów czytelników. I wspaniale jest mi słyszeć czasami na spotkaniach autorskich: „Dziękujemy za służbę Polskę".

Trochę patetyczne.
– W naszym przypadku to nie jest pusty frazes. My przechodzimy badania – psychologia, testy, wykrywacze kłamstw. Zostają naprawdę najlepsi z najlepszych. Polityków takie standardy niestety nie obowiązują.

Szpieg umiera otoczony miłością bliskich

Najwyższym stopniem wywiadowczej działalności są nielegałowie. Co to za ludzie?
– Nielegał to oficer wywiadu, który żyje pod przybraną tożsamością specjalnie dla niego stworzoną lub czasami ukradzioną komuś innemu. Żyją w Polsce, w Ameryce, w Niemczech, w Anglii, udając Polaków, Niemców czy Francuzów.

Są najwyższym stopniem modus operandi służb w działalności publicznej i najtajniejszą strukturą w każdym wywiadzie. I prawdę mówiąc, informacje, jakie na ich temat wychodzą na światło dzienne, odzwierciedlają znikomą część wiedzy na ich temat.

Akurat na temat Pawła Rubcova vel Pablo Gonzáleza odesłanego rok temu do Rosji w ramach akcji wymiany szpiegów dowiedzieliśmy się całkiem sporo.
– W dzisiejszych czasach Rosjanie zaczęli wykorzystywać dla nielegałów przykrycie autentyczne. Nie wymyśla im się tożsamości, tylko pracują pod swoim prawdziwym nazwiskiem, do którego tworzy się historię. Pablo González był obywatelem Rosji i Hiszpanii i wykorzystywał swoje obywatelstwo w zależności od okoliczności. Jego akurat złapano i znaleziono jego laptop, ale złapanie i oskarżenie szpiega jest niezwykle trudne.

Bo jest tak zakonspirowany?
– W sensie ściśle prawnym, żeby skazać kogoś za szpiegostwo, trzeba złapać go na gorącym uczynku albo sprawić, by się do szpiegostwa przyznał. Proszę sobie wyobrazić, że nagle wpada tutaj polski kontrwywiad, znajduje u mnie bloczki szyfrowe, tajnopisy, przyrządy szpiegowskie i tak dalej. No i co? Skąd wiadomo, dla kogo szpieguję?

Jak to?
– Trzeba jeszcze udowodnić, że działam na szkodę kraju, czyli na rzecz wroga. Ludziom się wydaje, że szpiedzy powinni umierać przed plutonami egzekucyjnymi, a tymczasem oni umierają naprawdę w spokoju otoczeni miłością bliskich. Wiem co mówię, bo werbowałem

***Vincent V. Severski**

• pseudonim literacki Włodzimierza Sokołowskiego, byłego pułkownika wywiadu PRL i RP, autora powieści szpiegowskich. Jego najnowsza książka „Krawiec" ukazała się w wakacje. Mieszka w Szwecji.

FOT. DANNY THOMAS / ALAMY STOCK PHOTO

eprasa.pl 35a35257f6

agenturę i nikt z moich agentów nie wpadł. Co więcej – większość roboty agenturalnej, gdy jest dobrze zaplanowana, jest całkiem bezpieczna.

Amerykanie mają w Polsce swoich szpiegów?
– Nie szpieguje się swoich sojuszników.

Z tym sojuszem to teraz nie wiadomo.
– Nie szpieguje się sojuszników w ramach NATO czy Unii Europejskiej. W państwie demokratycznym działają ambasady, w których pracują wytrawni dyplomaci i oni zdobywają wiadomości w sposób legalny z dostępnych źródeł.

Wywiad jest organizacją przestępczą, która zajmuje się wykradaniem informacji, które ktoś przed nami chce ukryć. Zdobywamy je w sposób nielegalny od osób, które musimy zwerbować. Ale zapewniam panią, że i do ambasad zgłaszają się z własnej woli ludzie, którzy z lubością informują, co się w ich kraju dzieje. Sojusznicy muszą sobie ufać. Nasi żołnierze ramię w ramię walczą, a szpiedzy polscy, niemieccy, amerykańscy, brytyjscy ramię w ramię działają za linią wroga.

To się liczy, to jest wkład w naszą współpracę, a jeśli jakiś polityk jeden czy drugi opowiada banialuki, to dyplomaci są od tego, by odsiewać głupotę od faktów.

Mamy swój wywiad w Ukrainie?
– Nie, bo jak powiedziałem: nie szpieguje się sojuszników.

Ale przecież mamy tam swoje interesy.
– I dbamy o nie, przekazując Ukrainie informacje, które mogą jej pomóc w walce ze wspólnego wrogiem.

To gdzie pracują polscy szpiedzy?
– Tam, gdzie jest zagrożenie ze strony naszych wrogów. Czyli w Rosji i w państwach tworzących z nią wspólny układ polityczny.

W Chinach?
– Jesteśmy za małym wywiadem, by mieć szpiegów w Chinach czy w Brazylii. Musimy się na czymś koncentrować.

Czy antyukraińskie nastroje w Polsce są robotą rosyjskich służb?
– Są na pewno Rosji na rękę, a wszędzie tam, gdzie Rosja może odnieść korzyść, muszą się kręcić jej agenci.

Nie wiem, czy Braun jest szpiegiem

Środowiska prawicowe i antyunijne są szczególnie zinfiltrowane?
– Wywiad rosyjski rozpoznaje wszystkie środowiska polityczne oraz Kościół. W Rosji działają instytuty, które na podstawie zebranych przez wywiad informacji, ale też ze źródeł jawnych, wypracowują polityczne algorytmy dla poszczególnych krajów.

Przekładane są one na zadania wywiadowcze, również w internecie, gdzie boty wzniecają dezinformację i destabilizację odpowiednio do tego algorytmu. Wzniecenie w Polsce nastrojów antyukraińskich jest bardzo łatwe z powodu chociażby historycznych zaszłości, co rosyjski wywiad wykorzystuje.

On wie więcej na temat naszego kraju niż niejeden wysoko postawiony polityk, a na temat niektórych polityków, ich mentalności nawet więcej, niż oni wiedzą o sobie.

Często próbują ich werbować?
– Jeśli jest to możliwe, to owszem, ale 70 procent zbieranych informacji służy temu, by wiedzieć, w jaki sposób na nich wpływać. Agentem nie musi być szef partii, premier czy prezydent.

Trump oskarżany o prorosyjskie sympatie nie musi być agentem, wystarczy, że Rosjanie wiedzą, jakim jest człowiekiem. A wiedzą, bo go rozpracowują od czasu, kiedy pod koniec lat 80. zapalił się do budowy w Moskwie wieżowca.

W jego otoczeniu jest prawdopodobnie agent, a może kilku, którzy nie są na świeczniku, ale powtarzają mu: „Panie prezydencie, to jest dobry kierunek, dobrze pan myśli w tej sprawie", i tak dalej. Upraszczam oczywiście, ale w ten sposób pracują służby. W swojej działalności inspiracyjnej i dezinformacyjnej wywiady wykorzystują w 80 procentach naturalne zjawiska społeczne czy ludzkie predyspozycje charakterologiczne. Zawsze istnieli antyszczepionkowcy, płaskoziemcy czy nastroje antyukraińskie, a zadaniem wywiadu jest je odpowiednio uruchomić i wykorzystać.

Jak rozpoznać, kto w otoczeniu osób decyzyjnych w państwie jest klakierem, cynikiem, a który agentem?
– Czasami gołym okiem widać, kto w czyim interesie działa. Rosja inwestuje swoją działalność operacyjną i agenturę tam, gdzie ma żywotne interesy i gdzie żywotne interesy ma Ukraina. Jest tam, gdzie widzi perspektywę wpływania na międzynarodowy układ polityczny. I oczywiście Polska takim krajem jest, a już Czechy na przykład nie są.

Dlaczego nie?
– Mimo że w 2002 roku Czesi się zorientowali, że połowa domów w Karlowych Warach należy do rosyjskich oligarchów, którzy sobie to miejsce szczególnie ukochali, to jednak Czechy nie odgrywają takiej roli geopolitycznej jak granicząca z Ukrainą Polska, Słowacja czy Węgry.

A biorąc pod uwagę potencjał kilkudziesięciu tysięcy zawodowych profesjonalnych szpiegów z GRU, SWR, FSB, którzy pracują dla Rosji, duża część z nich musi pracować na kierunku polskim, węgierskim i słowackim.

Zapytam wprost o Grzegorza Brauna i polityków wygłaszających antysemickie, antyeuropejskie czy antyukraińskie opinie. Uważa pan, że w ich otoczeniu pracuje rosyjski wywiad czy są pożytecznymi idiotami?
– Udawanie głupca jest świetnym przykryciem. Opinię, że ktoś jest tak głupi, że nie może być szpiegiem, ludzie łykają jak pelikany. Nie wiem, czy Braun jest szpiegiem, ale widziałem jego zdjęcie z rosyjskim szpiegiem Leonidem Swiridowem na placu Czerwonym.

Nie lubię określenia „pożyteczni idioci", bo politycy, o których rozmawiamy, nie są idiotami, tylko świadomie stwarzają ogromne zagrożenie dla naszego kraju.

Wojna Rosji z Ukrainą jest wojną Rosji z Unią Europejską. Jeśli ktoś tego jeszcze nie widzi, to czas najwyższy, by przejrzał na oczy. Jest to wojna o wartości.

Możliwe, że „wojna o wartości" brzmi lajtowo w porównaniu z bombardowaniem i mordowaniem cywilów.
– Nasze europejskie wartości: wolność, równość, demokracja, tolerancja, walka z ksenofobią, z nacjonalizmami, z antysemityzmem, rasizmem, są w Rosji nie do zaakceptowania. Również z tego powodu, że ich przyjęcie spowodowałyby jej dezintegrację, a wbrew pozorom tamtejsze siły odśrodkowe wcale nie są abstrakcyjne.

Dlatego jednym z najważniejszych celów Rosji jest zakwestionowanie tych wartości. Stąd Rosja wspiera w Polsce ruchy, które wywołują nastroje antyniemieckie czy antyukraińskie, ksenofobiczne i nacjonalistyczne.

W innych krajach koncentrują się na innych aspektach, ostatnio przy okazji wojny palestyńsko-izraelskiej na antysemityzmie, co w większym lub mniejszym stopniu przynosi im efekty. Powstanie Unii Europejskiej było również odpowiedzią na Holocaust i drugą wojnę światową, a tymczasem w wyborach prezydenckich w Polsce wielu kandydatów jawnie lub mniej jawnie używało retoryki antysemickiej. Antysemicki język wszedł na salony, krusząc jeden z fundamentów UE.

Rosyjskie służby uderzają w nas, nie tylko wspierając finansowo skrajną prawicę, ale też wykorzystując słabość demokracji, czyli wolność słowa, która jest równocześnie fundamentem UE. I wykorzystują ja przeciwko nam perfekcyjnie, brutalnie i na ogromny skalę, dezintegrując społeczeństwo. To widać w internecie, gdzie roi się od botów powielających antysemityzm, wrogość rozgrywających społeczeństwo jak dzieci.

O ile po katastrofie smoleńskiej Polska była pęknięta na pół, o tyle dzisiaj się rozłamała. Skoro prawie 40 procent wyborców głosujących na Nawrockiego głosowało tylko po to, żeby nie wygrał Trzaskowski, to w jakim kosmosie my żyjemy?!

Przed wyborami parlamentarnymi napisał pan list otwarty do polityków ówczesnych partii opozycyjnych. Apelował pan do nich, by zadeklarowali, że zbudują nowoczesny polski wywiad. Co z nim jest nie tak?
– Żeby wywiad był nowoczesny, to trzeba go doinwestować. Trzeba wykształcić ludzi, przygotować ich do pracy. Wywiad musi mieć możliwości, żeby dokonać absorpcji środków. To, że polski szpieg dostanie 100 tysięcy złotych pensji, nie uczyni go lepszy szpiegiem. Tak jak nie znaczy, że jeśli będzie miał budżet operacyjny 100 milionów dolarów, to będzie zdobywał od razu informacje najważniejsze.

Najpierw musi powstać dobrze funkcjonujący organizm. Struktura, która będzie miała możliwość absorpcji środków, jakie przekaże państwo. Nowoczesna. Trzeba zbudować potężny SIGINT.

Trump oskarżany o prorosyjskie sympatie nie musi być agentem, wystarczy, że Rosjanie wiedzą, jakim jest człowiekiem

Czyli?
– SIGINT to skrót od Signals Intelligence, czyli rozpoznanie sygnałowe. Jest to jedna z dziedzin wywiadu polegająca na zbieraniu i analizie informacji z sygnałów elektronicznych. Trzeba zebrać najlepszych specjalistów od cyberprzestrzeni, a to dużo kosztuje, zainwestować w kształcenie oficerów.

Lista jest długa, ale najważniejsze, żeby zmienić nastawienie polityków, którzy często myślą, że wiedzą lepiej.

Z rozmowy Arkadiusza Gruszczyńskiego z prof. Ireną Lipowicz na temat utajnionego raportu dotyczącego działania służb rosyjskich w Polsce jawi się obraz dość ponury.
– Nie jestem zaskoczony ani jednym jej słowem. Rozumiem też, że pani profesorka nie mogła powiedzieć więcej. Martwi mnie natomiast, że rozmowa z nią nie dotrze do tej części społeczeństwa, którą powinniśmy poddać szybkiej edukacji w zakresie zagrożeń, jakie nad nami wiszą.

Nie jest pan zdziwiony liczbą zapytań obywateli w trybie dostępu do informacji publicznej o liczbę ujęć wody pitnej? Albo infiltracją szkolnictwa wyższego?
– Nie jestem, bo to wszystko już przerabialiśmy w czasie zimnej wojny w stosunku do Niemiec, Francji czy innych krajów Zachodu. Wszystko już było. Dziś rosyjski wywiad wspiera AfD w Niemczech, Braci Włochów we Włoszech czy polską skrajną prawicę, a przecież w czasach Związku Radzieckiego istniały w Europie partie komunistyczne i inne ruchy społecznie i polityczne, które też były wspierane i finansowane przez Rosję.

To są znane metody i Rosjanie mają je wyśmienicie przećwiczone. Uczelniami wyższymi służby zawsze się interesowały, bo są kuźniami kadr politycznych i elit państwa. To jest oczywiste. My też działamy na uczelniach. Interesujemy się młodymi studentami, którzy mają aspiracje polityczne i potencjał, by je zrealizować.

Opiekujemy się nimi, pomagamy finansowo, bo kto wie, może kiedyś ktoś taki zostanie premierem albo prezydentem? To abc pracy każdego wywiadu. Poza tym na uczelniach istnieje możliwość zbierania opracowywanych tam analiz, nie mówiąc już o uczelniach technicznych, gdzie opracowuje się wynalazki wojskowe, biomedyczne i tak dalej.

Inna sprawa, czy lub jak nasze państwo działa, jeśli pozwala na to, by wyższe uczelnie były finansowane przez Rosjan, o czym wspominała prof. Lipowicz.

Publiczna egzekucja Skripala miała poniżyć Brytyjczyków

Jak widzą nas Rosjanie?
– Przeciętni Rosjanie wiedzą o nas niewiele albo prawie nic. Oglądają w telewizji informacje na nasz temat i dowiadują się, że to władza w Polsce jest antyrosyjska i bałamuci naród, który przecież jako naród słowiański jest narodem bratnim.

Uważają, że powinno być tak jak za PRL-u, bo wtedy bardzo się lubiliśmy, do Rosji przyjeżdżały Barbara Brylska, Anna German i w ogóle fajnie było. My wiemy, jaka to była przyjaźń – jeśli nie wroga, to przynajmniej bardzo obojętna, ale oni podtrzymują w sobie taki mit, bo homo sovieticus ma się tam bardzo dobrze.

My też o Rosjanach wiemy niewiele, ale za to Ukraińcy to po prostu rozpracowane przez nas diabły wcielone, mordercy, zbóje i tak dalej, co Rosjanie skwapliwie inspirują i wykorzystują.

Służby rosyjskie mordują ludzi. Nie wynajmują antyterrorystów do tych operacji i nie działają w ukryciu. Dlaczego?
– Bo mogą. Fizyczna likwidacja ludzi, którzy przeszkadzają, jest elementem uprawiania ich polityki wewnętrznej.

Otrucie polonem Aleksandra Litwinienki w centrum Londynu, który szpiegował na rzecz Wielkiej Brytanii, miało pokazać Anglikom, kto tu rządzi. GRU celowo zostawiła ślady, które doprowadziły Scotland Yard do morderców. Jeden z nich został później posłem do Dumy.

Próbowali otruć nowiczokiem Siergieja Skripala i jego córkę Julię w restauracji w Salisbury, ale lekarzom udało się ich uratować.
– W tym przypadku publiczna egzekucja zdrajcy miała poniżyć Brytyjczyków.

To byli szpiedzy działający dla Zachodu. Czy nie było jednak małostkowe zamordowanie pilota, który na początku wojny uciekł śmigłowcem do Ukrainy? Dopadli go w Hiszpanii.
– Matuszki Rosji nie można zdradzić, a jeśli zdradzisz, to musisz wiedzieć, co cię czeka. Ta zasada działa od XVI wieku, dość przypomnieć Andrieja Kurbskiego, pierwszego rosyjskiego dysydenta, który za krytykę Iwana Groźnego w obawie o życie musiał uciekać z kraju. Iwan Groźny do końca życia nasyłał na niego zabójców.

Zresztą nie szukajmy tak daleko. Kto jeszcze pamięta Jewgienija Prigożyna i jego marsz na Moskwę? Cały świat wtedy zamarł, a chwilę później zamarł po raz drugi, kiedy Prigożyn zginął w katastrofie lotniczej, a Putin nawet mu pomnik kazał postawić, bo to przecież był „nieszczęśliwy wypadek".

Zabójstwa to jest modus operandi rosyjskich służb. Można skorzystać z metod, które będą trudne do wykrycia, ale oni mordują jawnie, co jest przejawem buty i pokazaniem nam, gdzie tak naprawdę mają nas i nasze wartości.

Kiedy Rosja napadła na Ukrainę, wielu ludzi roiło sobie w domach przed telewizorami, że dojdzie do puczu, Putin straci władzę i wojna się zakończy. Tymczasem, nie licząc

eprasa.pl 35a35257f6

wyskoku Prigożyna, wszyscy są wobec Putina lojalni. Jak to możliwe?
– Bo wszyscy są w tą wojnę umoczeni. To jest państwo nie demokratyczne, tylko autokracja, a właściwie jej odmiana, czyli specjokracja. Rosją rządzą faceci, którzy dobrze się znają, mówią tym samym językiem, myślą w ten sam sposób. Historia Rosji rzeczywiście zna wiele przypadków przewrotów pałacowych: za carów, za bolszewików i za komunistów, więc to wcale nie jest wykluczone w przyszłości.

Jednak marzenie o przewrocie wpisuje się w naiwne myślenie Europejczyków, że jeśli wreszcie Rosjanie się zbuntują, to wejdą na ścieżkę normalności. Na początku wojny poważni publicyści spekulowali, że jeśli pozabieramy oligarchom ich majątki, a ich żony nie będą mogły kupować u Gucciego, to wtedy oni tego Putina rozszarpią. No i co? Gdzie są ci oligarchowie? Siedzą cicho jak mysz pod miotłą.

Bohaterowie „Krawca" dostrzegają hipokryzję Brytyjczyków i Europy w stosunku do odzianych w szyte na miarę garnitury rosyjskich multimiliarderów.
– Kochaliśmy „nowych Ruskich" i wierzyliśmy, że się demokratyzują. To wszystko ściema oczywiście i służby dobrze o tym wiedziały. Putin budował specjokrację po okresie jelcynowskiego NEP-u, czyli nowej polityki ekonomicznej, która była częściowym powrotem do gospodarki rynkowej. Najpierw trzeba było przejąć i zlikwidować imperium Gusińskiego, czyli niezależną telewizję NTV, którą zresztą oglądałem. Wykupił ją Gazprom.

Potem trzeba było ukarać niepokornych oligarchów, czyli Bierezowskiego i Chodorkowskiego, którzy popierali Putina, dopóki nie zrozumieli, jaki potwór z niego rośnie.

Bierezowski wyjechał za granicę i powiesił się na swoim jachcie, rzekomo z powodów psychicznych. Chodorkowski, uznawany na początku XXI wieku za najbogatszego człowieka w Rosji, został pozbawiony majątku i wyjechał za granicę. Ale po 10 latach spędzonych w więzieniu jest wrakiem człowieka.

Ich historia jest ostrzeżeniem dla pozostałych oligarchów, że z Putinem nie ma żartów.

Służby informowały polityków w Europie o zagrożeniu ze strony Rosji, ale oni nie chcieli słuchać. Jak pan myśli: dlaczego?
– Nie chcemy przyjąć w Europie do wiadomości, że Rosja to jest oddzielna cywilizacja. Chcielibyśmy, żeby była taka jak my. Fajna, normalna, żeby ludzie byli sobie życzliwi, a wybory naprawdę demokratyczne.

Pytanie, czy ci ludzie tego chcą. Może w Moskwie, Petersburgu i jakimś większym mieście? Ale na głubince, gdzie – pozwolę sobie na brutalne uproszczenie – liczy się, by były kartofle, samogon, kałasznikow i czołg na podwórku, to już niekoniecznie. Czy mentalność tych Rosjan jest tak skonstruowana, aby mogli stworzyć na przykład system demokratyczny wielopartyjny?

Do schronu zjeżdżam windą

Po 1989 roku mieliśmy nadzieję, że czasy zimnej wojna definitywnie się skończyły, i dziś z niedowierzaniem czytamy publikacje na temat wpływów rosyjskich w Polsce. To była krótkowzroczność? Głupota? Naiwność?
– Daliśmy się uśpić. Rosjanie przy pomocy swoich służb, agentury i rozdawania stanowisk w rosyjskich firmach uśpili europejską czujności obrony.

Wystarczy wspomnieć, że były kanclerz Niemiec Gerhard Schroeder jako bliski przyjaciel Putina lobbował za rosyjskimi firmami energetycznymi, w których potem dostał robotę, a Angela Merkel doprowadziła do uzależnienia Niemiec od rosyjskiego gazu, by wiedzieć, że nastroje prorosyjskie w Europie nie były uważane za ryzykowne.

Mam nadzieję, że się przebudziliśmy, ale daleko nam do Finlandii, gdzie na pytanie, czy jesteś gotowy stanąć do obrony ojczyzny i chwycić za broń, 80 procent Finów udziela odpowiedzi pozytywnej.

W Polsce to 17 procent.
– A te 80 procent przekłada się na zdolności mobilizacyjne Finlandii, która jest w stanie zmobilizować w trzy tygodnie 300-tysięczną armię złożoną z żołnierzy, którzy obsługują najnowocześniejszy sprzęt, i ma 800 tysięcy rezerwistów. Ludność cywilna też jest przygotowana do wojny. Wszyscy mieszkańcy Helsinek są w stanie ukryć się w schronach. Nie w ziemiankach, tylko w świetnie przygotowanych schronach. Podobnie jest w Szwecji, gdzie mieszkam.

W Polsce były kursy zorganizowane przez MON. Chciałam się zapisać przez mObywatela, ale zainteresowanie było tak duże, że nie było już miejsc.
– To jest bardzo dobry pomysł. Armia jest tak skuteczna, jak dobrze jest zorganizowane i zmotywowane społeczeństwo. Żołnierz będzie walczył, jeśli będzie wiedział, że jego rodzina i dom są zabezpieczone.

Moja bliska w Szwecji przyjaciółka i jej mąż spędzają jeden weekend w miesiącu na szkoleniach, gdzie uczą się, jak postępować na wypadek wojny, kryzysu czy katastrofy. Potrafią zorganizować działania w swoim najbliższym otoczeniu. Wiedzą, jak wspomóc sąsiadów, jak postępować z rannymi, jak zabezpieczyć żywność, łączność i tak dalej.

Na kursach nauczą się nie strzelania, bo od tego jest wojsko, ale tego, jak zabezpieczyć społeczeństwo i w ten sposób wesprzeć armię. Bo jak mówiłem: najlepsza armia nic nie pomoże, jak na zapleczu będą ginąć kobiety i dzieci.

Ma pan blisko do schronu?
– Do schronu zjeżdżam windą. Mieszkam na niewielkiej skalistej wyspie. A ponieważ Szwedzi za sprawą niejakiego Alfreda Nobla maja perfekcyjnie opanowane drążenia skał za pomocą dynamitu, to mamy sieć tuneli, w których parkujemy samochody i gdzie przygotowana jest infrastruktura schronowa.

I co jest w środku?
– W tej chwili pomieszczenia są puste, ale w razie zagrożenia zostaną tam przewiezione łóżka, toalety, jedzenie, woda. W moim poprzednim mieszkaniu w trzypiętrowym bloku też miałem pod domem schron, ale mniejszy, na trzydzieści kilka osób, bo tyle nas tam mieszkało.

Pod Sztokholmem jest 300 km tuneli, w których ludzie w razie czego będą się mogli schować.

Wstyd się przyznać, ale nawet nie wiem, czy w moim miasteczku jest w ogóle schron.
– Szwedzkie społeczeństwo jest dobrze poinformowane, co robić na wypadek kryzysu. Cyklicznie dostajemy od ministerstwa obrony cywilnej broszurki we wszystkich językach, również po polsku. Jest na mojej stronie na Facebooku, można tam zajrzeć.

Intrygują mnie woreczki foliowe.
– Nie wszyscy wiedzą że w czasie kryzysu nie wolno się załatwiać do sedesu, bo jeśli zostanie uszkodzona infrastruktura wodociągowa, a zostanie uszkodzona na pewno, to fekalia będą się piętrzyć w kanalizacji i ściekach, co może doprowadzić do epidemii. Dlatego w czasie kryzysu trzeba do sedesu wstawiać woreczek foliowy i się do niego wypróżniać. To są banalne rzeczy, ale jeśli społeczeństwo o tym nie wie, to bardzo sobie szkodzi. Liczą się zrozumienie i solidarność.

Społeczeństwo myśli, że jakoś to będzie i na pewno będzie dobrze.
– I to jest błąd. Nie namawiam do paniki, ale warto mieć w domu gotówkę, wodę, środki opatrunkowe, lekarstwa i zapas jedzenia. Ja mam w szafie zapas żywności, a kiedy zbliża się termin ważności, zjadam i uzupełniam o nowe. A ma pani takie radio?

Na korbkę?
– Ładuje się na baterie słoneczne i na dynamo. Autonomicznie, nie potrzebuje dodatkowych urządzeń do ładowania. Można nim podładować telefon. Ma kompas i latarkę. Jest dwuzakresowe, więc można słuchać w nim komunikatów. Warto je mieć, bo w razie wojny czy kryzysu może uratować życie. ●

Pospólstwo

Na szczęście książę pan Jan Lubomirski-Lanckoroński jest na tyle szczodrobliwy, że nie pobiera opłat od naszej interpretacyjnej uzurpacji kolędy „Bóg się rodzi" i udziela łaskawej zgody, by śpiewać ją poza jego rodzinnym majątkiem.

Michał Rusinek

Książę Jan Lubomirski-Lanckoroński udzielił niedawno wywiadu Karolinie Motylewskiej, dziennikarce plotkarskiego portalu internetowego o intrygującej nazwie Jastrząb Post. Wywiad dotyczy tego, co interesuje nas wszystkich: jak spędza święta arystokracja, a ściślej: „najpopularniejszy przedstawiciel arystokracji w naszym kraju" wraz z rodziną.

Z wywiadu dowiadujemy się na przykład, że „w Wigilię u Jana Lubomirskiego jest zwykle sporo osób", które „zajadają się indykiem z kasztanami". Jest to zdanie dla każdego Polaka oburzające i budzące chęć do jakiejś rewolucji. Nie chodzi jednak o żadną specjalną dyspensę dla arystokracji, ale o fakt, że żona księcia pana jest Francuzką, a Francuzi na wigilię jadają mięso. Co gorsza, jadają też foie gras. Danie na tyle egzotyczne, że dziennikarze Jastrząb Posta nie umieją zapisać prawidłowo jego nazwy. Jest to francuski specjał: pasztet ze stłuszczonych wątróbek kaczych i gęsich. Żeby rzeczone organy tych ptaków uległy stłuszczeniu stosuje się tzw. gavage, czyli brutalną metodę karmienia ich na siłę przez rurkę. W wielu krajach produkcja foie gras jest zakazana.

Cierpienie gęsi i kaczek jest jednak niczym w porównaniu do cierpienia księcia Lubomirskiego, który jeść foie gras musi: przecież serwuje mu je teściowa-Francuzka i nie może jej odmówić, „bo to tak, jak ja bym w Polsce odmówił jedzenia barszczu z uszkami u mojej teściowej". Trochę się gubimy w liczeniu jego teściowych oraz w ich narodowościach, ale to nie koniec cierpień księcia, bo za jedzenie foie gras jest zarazem piętnowany „przez wszystkie możliwe obrończynie praw zwierząt". Cierpi, jak widać, przez kobiety: teściową (która jeść mu każe) i obrończynie praw zwierząt (które jeść mu chcą zabronić). A na domiar złego on „za tym daniem nie przepada". Współczujemy mu potrójnie.

„Natomiast co do tradycji rzeczywiście polskich, takich typowych – oświadcza z ulgą książę Lubomirski – to ja uwielbiam wszelkiego rodzaju pierogi i nasze uszka, i to różne. I z mięsem, i z grzybami". Jeśli nadal jesteśmy przy daniach wigilijnych, to uszka z mięsem wydają nam się raczej tradycją nietypową, ale co my tam wiemy. Książę okazuje się też koneserem deserów: francuskiego bûche de Noël (zapisanego już poprawnie), które z arystokratycznym znawstwem opisuje jako „takie specjalne słodkie coś, co wygląda jak kłoda" oraz polskiego: „bardzo lubię takie coś, co się nazywa sękacz". To tak samo jak my: bardzo lubimy czytać takie coś, co się nazywa wywiad.

Święta to dla księcia nie tylko czas jedzenia i cierpień – także językowych – z nim związanych, ale i czas kolędowania. Tu książę dzieli się z red. Motylewską następującą ciekawostką: „Z kolędami jako rodzina mamy dużo wspólnego, bo »Bóg się rodzi«, to jest nasza prywatna domowa kolęda. Powstała, napisana przez Karpińskiego, dla mojej sześć razy prababki, czyli Elisabeth – nie Elżbiety, Elisabeth właśnie [...], która właśnie posiadała Łańcut. I tam jest taki passus: »dom nasz i majętność całą i wszystkie wioski z miastami«. To jest dom, czyli Łańcut, majętność – no, to wiadomo – i wszystkie wioski dookoła. Natomiast później to poszło w Polskę i to jest chyba jeden z takich bardzo ładnych, dobitnych przykładów tego, że naszymi prywatnymi pewnymi rzeczami, czy prywatnymi osiągnięciami kulturalnymi, zawsze się dzieliliśmy".

To piękna ciekawostka. Wydawało nam się, że Boże Dziecię błogosławi każdy dom, każdą wioskę i każde miasto, w których śpiewa się tę kolędę, tymczasem – zdaniem księcia – autorowi chodziło wyłącznie o majątek rodziny Lubomirskich. Na szczęście książę pan jest na tyle szczodrobliwy, że nie pobiera stosownych opłat od naszej interpretacyjnej uzurpacji i udziela łaskawej zgody, by śpiewać tę kolędę poza swoim rodzinnym majątkiem. Czyli mógł domagać się pańszczyzny, daniny, czynszu lub poradlnego, ale się nie domaga, bo lubi się dzielić „prywatnymi osiągnięciami kulturalnymi". Jest to rzeczywiście przykład ładny. I dobitny. Choć osiągnięcie jest jednak Franciszka Karpińskiego, a nie rodziny Lubomirskich.

Owszem, według jednej z hipotez Karpiński napisał „Pieśń o Narodzeniu Pańskim", znaną z incipitu „Bóg się rodzi", na zamówienie żony marszałka wielkiego koronnego Stanisława Lubomirskiego – Izabeli (czyli Elżbiety) Lubomirskiej z Czartoryskich – w czasie pobytu w Dubiecku nad Sanem, obok Przemyśla. Stoi tam nawet do teraz rzeźba przedstawiająca tego poetę. Biografowie Karpińskiego twierdzą jednak, że w Dubiecku był trzy lata przed napisaniem pieśni (jesienią 1784 roku). Pierwsze wzmianki o „Pieśniach nabożnych", w skład których wchodziła także rzeczona kolęda, pochodzą z 1787 roku. Lato tego roku (podobnie jak dwa poprzednie) spędzał Karpiński u księżnej Izabeli Branickiej z Poniatowskich w Białymstoku i najprawdopodobniej tam właśnie powstał tekst „Bóg się rodzi". Czy chodziło w nim o „dom i majętność całą" księżnej Izabeli Czartoryskiej, czy księżnej Izabeli Branickiej – nie wiadomo.

Wiadomo natomiast, że prawykonanie pieśni „Bóg się rodzi", a także „Kiedy ranne wstają zorze", „Wszystkie nasze dzienne sprawy" i „Pieśni o miłosierdziu boskim" odbyło się w 1792 roku w kościele farnym w Białymstoku. Oraz że z majątku księżnej Branickiej Franciszek Karpiński napisał list do księdza Marcina Poczobuta, ówczesnego rektora Akademii Wileńskiej, w którym znajduje się następujące zdanie: „Przyłączam moje pieśni dla pospólstwa, które tu zrobiłem i śpiewać je wkrótce w kościele będą".

Tak więc – przykro nam, ale wszystko wskazuje na to, że my, pospólstwo, nie potrzebujemy łaski księcia pana, by móc nadal śpiewać tę jedną z najlepszych pod względem literackim kolęd. Dodalibyśmy może przy okazji apel, żeby śpiewać – zgodnie z logiką antytez – że Nieskończony „ma granice", a nie „na granicę", ale byłby to, w kontekście tego felietonu, apel nieco zbyt wyższościowy. Zostawmy to na następny raz. ●

eprasa.pl 35a35257f6

ŚWIAT

• Plaża Afrydyty koło Pafos. Zgodnie z mitologią to tu bogini wyłoniła się z morskiej piany
FOT. GETTY IMAGES

WYSPA Z BLIZNAMI

Plaże, morze, halloumi – Cypr dużo oferuje szukającym relaksu turystom. Ale wyspa, gdzie z morza między Pafos i Limassolem wyszła podobno Afrodyta, ma też inną twarz.

Thomas Orchowski

Cypr to turystyczny raj. Pafos, Larnaka, Ajia Napa – do tych miast trafia większość przyjezdnych, których tylko od stycznia do września tego roku było ich na wyspie ponad 3,5 miliona. Ale wyspa ma też mniej oczywiste oblicze: często niedostępne dla turystów i poharatane przez historię. Warto na nie spojrzeć, by spróbować zrozumieć mieszkańców tej trzeciej największej wyspy Morza Śródziemnego.

Podzielona. Nikozja

Telegraficzny skrót historyczny. Kiedyś Cypr kontrolowali Turcy, potem był brytyjską kolonią, a od 1960 roku jest niepodległym państwem. Na południu mieszkają greccy Cypryjczycy, na północy – tureccy. Tych pierwszych jest więcej – około 700 tysięcy. Na północy, jak twierdzą tamtejsze nieuznawane władze (o czym później), żyje prawie 400 tysięcy ludzi, z czego oprócz tureckich Cypryjczyków znaczna część to Turcy, którzy przyjechali na wyspę po 1974 roku, czyli po tureckiej inwazji. To po niej doszło do podziału na część grecką i turecką. Wcześniej obie grupy żyły przemieszane.

O zbrodniczej tureckiej inwazji mówią na południu wszyscy. Greccy Cypryjczycy mniej pamiętają jednak o tym, że pretekst do operacji wojskowej dała Turkom grecko-cypryjska skrajna prawica, która siłą obaliła legalne władze w Nikozji. Ankara uznała to za zagrożenie dla wyspiarskich pobratymców i pognała im z pomocą. Problem w tym, że po usunięciu zagrożenia – do czego Turcja miała prawo zgodnie z obowiązującymi wówczas umowami – została na wyspie do dzisiaj. A to nielegalne, mimo że Turcy zarzekają się jakoby przeprowadzili w 1974. roku „operację pokojową".

Od ponad pół wieku greckich i tureckich mieszkańców wyspy odgradza oenzetowska strefa buforowa. To tzw. Zielona Linia. Ciągnie się przez 170 km. W najwęższym miejscu ma kilka metrów, w najszerszym – ponad 7 km. W Nikozji, „ostatniej podzielonej stolicy świata", warto się przejść wzdłuż tej „granicy", która formalnie granicą nie jest, bo zgodnie z prawem międzynarodowym Cypr to jeden kraj z okupowaną przez Turcję północną częścią.

Zasieki, posterunki wojskowe i żołnierze na każdym kroku przypominają o tragicznej historii wyspy, o tym, jak kończy się fanatyczny nacjonalizm. Widać to też na nikozyjskim lotnisku, które znajduje się na terenie strefy buforowej. Nie każdy może je obejrzeć. Od czasu do czasu wycieczki dla dziennikarzy organizuje tam UNFICYP, oenzetowskie siły pokojowe stacjonujące na Cyprze. Turyści muszą obejść się smakiem. Szkoda, bo z upływem czasu modernistyczny budynek zbudowany w 1968 roku popada w coraz większą ruinę, niedługo może nie być czego oglądać.

Opustoszała. Warosia

Efekty nienawiści nie ograniczają się tylko do strefy buforowej. Wystarczy uważniej się rozejrzeć, by zobaczyć je w miastach czy wioskach na całym Cyprze. Opustoszałe domy, walące się świątynie, do których po 1974 roku nie miał już kto przychodzić, bo okoliczni wierni uciekli. W opuszczonychch domach, kościołach i meczetach słychać tylko gruchanie gołębi, które urządziły sobie z pustostanów ptasie wychodki.

Niektórzy Cypryjczycy w świątyniach stawiają traktory i używają jako stodół. Magazyny, wysypiska śmieci – to inne funkcje tych miejsc, choć przede wszystkim na „tureckiej" północy.

Na Cyprze są nawet całe opustoszałe dzielnice, jak Warosia w nadmorskiej Famaguście. Po inwazji przez prawie 50 lat nikt oprócz tureckiego wojska nie miał tam wstępu. Askeri Güvenlik Bölgesi Girilmez! Strefa wojskowa, wstęp wzbroniony – straszą krwistoczerwone znaki z żołnierzem trzymającym karabin. Próbowałem wybłagać wojskowych i miejscowe władze, żeby wpuścili mnie do Warosii. Na nic się to zdało, jako że zgoda musi przyjść z Ankary.

Dopiero w 2020 roku małą część Warosii otworzono dla zwiedzających. Prezydent Turcji Recep Tayyip Erdogan zagrał w ten sposób greckim Cypryjczykom na nosie. Dlaczego? Bo mógł. Od kilku lat Warosia przyciąga rzesze turystów, którzy w przerwie od plażowania chcieliby zobaczyć zrujnowany kurort, odwiedzany kiedyś przez największe gwiazdy Hollywood. Greccy Cypryjczycy aż trzęsą się z oburzenia takim postępowaniem Erdogana.

Nieoczywista. Rizokarpaso

Wymiana ludności w 1974 roku dotknęła zarówno greckich, jak i tureckich Cypryjczyków. Greccy mieszkańcy żyjący na północy poszli na południe, tureccy wyspiarze z południa powędrowali w drugą stronę. Dotyczyło to prawie wszystkich. Prawie, bo na północy ostały się wioski, gdzie greccy Cypryjczycy żyją do dzisiaj. Jedną z nich jest Rizokarpaso. Warto tam wpaść do grecko-cypryjskiego kafenijo.

W cypryjskiej kafejce prawie zawsze znajdzie się ktoś, kto mówi po angielsku. Na Cyprze łatwo porozumieć się w tym języku, no, na pewno łatwiej niż w interiorze Grecji czy Turcji. Swoje robi kolonialna, brytyjska przeszłość. Wielu Cypryjczyków pracowało na wyspach i przywiozło znajomość angielskiego. Przesiadujących w kafenijo mężczyzn, bo to ich świat, warto zapytać o historię wyspy i jej podział. W zależności od tego czy kawiarnia jest grecka, czy turecka, czy prawicowa, czy lewicowa usłyszymy różne wersje historii.

Po Rizokarpaso można udać się na koniec półwyspu Karpas oddalonego zaledwie 100 km od Syrii – do klasztoru świętego Andrzeja Apostoła. Jak rzesze ludzi, by wypić wodę ze źródła, które rzekomo leczy. Wiara w cu-

1 RP

eprasa.pl 35a35257f6

da łączy, w kolejce po nie wyczekują i chrześcijanie, i muzułmanie. Po drodze mają chwile, by w spokoju namyślić się nad swoim życiem.

Półwysep jest pusty. To oaza, przyjemna odskocznia od kurortów po obu stronach wyspy. Na Karpas nie dotarli jeszcze turystyczni giganci i oby nie zepsuli pobliskiej Złotej Plaży, szerokiej, o żółto-beżowym piasku. Wylegując się na niej, trudno pojąć, jak w takim idyllicznym miejscu mogło dojść do tylu dramatów.

Wierząca. Kykkos

Obok klasztoru św. Andrzeja Apostoła stoi opuszczona modernistyczna willa. Dwupiętrowy klocek był w przeszłości rezydencją Makariosa, byłego zwierzchnika Kościoła prawosławnego na Cyprze i… byłego prezydenta (to jego obaliła skrajna prawica w 1974 r.). Tak, na tej śródziemnomorskiej wyspie Kościół jest potężną instytucją, ba, jedną z najbogatszych! To największy posiadacz ziemski, ma też udziały w różnych biznesach, np. w browarze KEO, którego produkty z żółtych puszek i butelek chłepczą rzesze Cypryjczyków i turystów.

Makarios był charyzmatyczną postacią, starającą się grać na wyspiarską niezależność. Geopolitycznie lawirował między blokami: wschodnim i zachodnim. Lokalnie starał się wzmacniać raczej słabą cypryjską tożsamość. To on zaproponował stworzenie Republiki Cypryjskiej. Dlatego nie lubili go greccy i tureccy nacjonaliści. Ci pierwsi chcieli enosis, przyłączenia Cypru do Grecji, drudzy – taksim, podziału wyspy na część grecką i turecką. Forsowane przez Makariosa niepodległe państwo powstałe w 1960 r. po grecko-cypryjskim powstaniu przeciwko brytyjskim kolonizatorom nie zadowalało nikogo.

Makarios zmarł w 1977 roku. Prezydentem był od powstania Republiki, czyli przez siedemnaście lat. Spoczął niedaleko klasztoru Kykkos w malowniczych górach Trodos (polecam udać się tam na całodzienny spacer), gdzie był nowicjuszem. Grobowiec jest skromny, pokryty czarnym marmurem. Skromny nie jest za to wielki pomnik Makariosa przeniesiony tu z Nikozji. Sam arcybiskup w rozmowie z Orianą Fallaci zarzekał się, że jest przede wszystkim nie posiadającym niczego księdzem, a dopiero później politykiem. Ale co Cypryjczyk, to inna opinia o Makariosie.

Pamięć. Marata

Ta wyspa to raj dla reportera. Wystarczy wejść do kafenijo, rzucić temat, wyciągnąć kajet i notować. Tak samo mogą robić turyści, którzy chcieliby się dowiedzieć czegoś więcej o historii wyspy. Z nimi lokalsi też z chęcią porozmawiają. I będą starali się przekonywać do swoich racji. Narracyjna walka toczy się tu o każdego przyjezdnego. Dla turystów nieśmiałych zostają muzea. Niestety, jako że rany są na Cyprze świeże i wciąż niezabliźnione, placówki historyczne starają się obuchem wbijać do głów zwiedzających swoją jedyną poprawną wersję historii. Ma to swój urok, ale na dłuższą metę bywa intelektualnie męczące.

Takie jest na przykład Muzeum Barbarzyństwa po północnej stronie Nikozji. Miejsce to upamiętnia ofiary „greckiego ludobójstwa", które miało się rozpocząć w 1963 roku i trwać przez jedenaście lat (gwoli ścisłości: w przypadku Cypru o żadnym ludobójstwie nie ma mowy). Muzeum stworzono w miejscu, gdzie greccy Cypryjczycy podobno zabili dwie kobiety i troje dzieci. Tu brakuje przestrzeni na wątpliwości. „Greckie barbarzyństwo" jest napiętnowane z całą stanowczością. Na niuans nie sili się też na przykład muzeum w Maracie, jednej z trzech wiosek na wschodzie wyspy, w których grecko-cypryjska skrajna prawica wymordowała ponad sto dwadzieścia osób.

Greccy Cypryjczycy stawiają historyczne akcenty gdzie indziej. Tak jak dla tureckich najtrudniejsze są lata koegzystencji w Republice, w której jako mniejszość mieli być gorzej traktowani, tak greccy mieszkańcy wyspy skupiają się przede wszystkim na walkach z Brytyjczykami oraz tureckiej inwazji. O tym, że tureckim Cypryjczykom w latach Republiki żyło się gorzej (na temat tureckich gett pisał na przykład polski reporter Ryszard Bańkowicz) greccy mieszkańcy wyspy opowiadają niezbyt chętnie. Dużo mówią za to o zbrodniach, jakich mieli się dopuszczać Turcy oraz Brytyjczycy.

Fakty są takie, że cierpiały obie społeczności. W niespokojnych latach 60. i podczas wydarzeń 74. roku zaginęły 2002 osoby - 492 tureckich i 1510 greckich Cypryjczyków. Pod koniec zeszłego roku gazeta „Kathimerini" donosiła, że odnaleziono i zidentyfikowano mniej więcej połowę zaginionych, z czego 295 tureckich i 756 greckich Cypryjczyków. Za każdą z tych śmierci, za każdym zaginionym stoi tragiczna rodzinna historia, która nie pozwala zapomnieć, co utrudnia pojednanie.

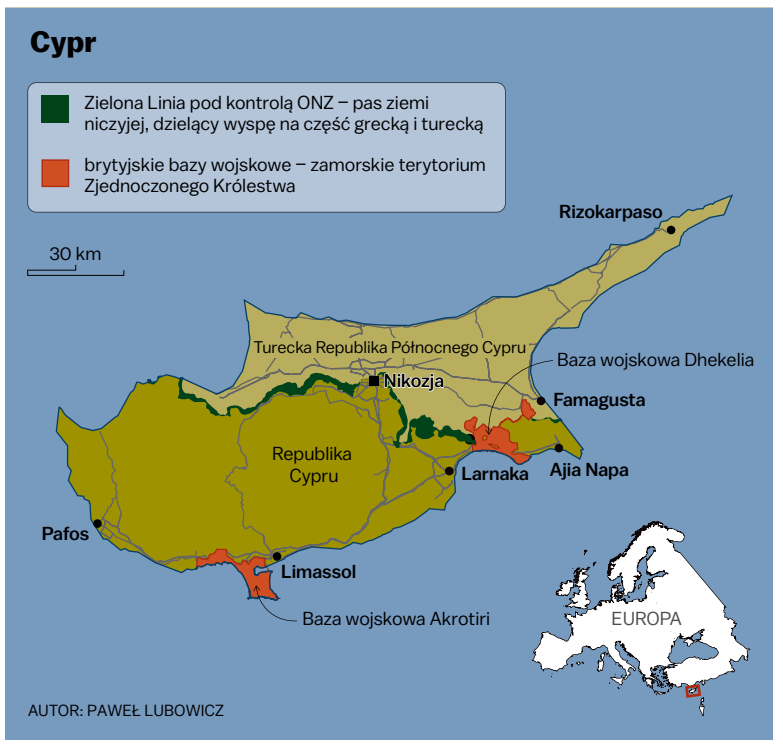

Skolonizowana. Akrotiri i Dhekelia

Cypryjczycy nie mają jednoznacznego podejścia do Brytyjczyków. Z jednej strony wielu greckich wyspiarzy pamięta brutalne tłumienie przez Londyn powstania, które EOKA, Cypryjska Organizacja Wyzwolenia Narodowego, rozpoczęła w 1955 roku. Z drugiej strony na Cyprze mieszka wielu Brytyjczyków, którzy raczej nie spotykają się z niechęcią. Od niektórych wyspiarzy słyszałem nawet nostalgiczne wspomnienia, jak to za Brytyjczyków było lepiej. Porządnie.

Londyn przejął kontrolę nad Cyprem w 1878 roku. Miał być oswobodzicielem, wyspą rządziło wcześniej imperium osmańskie. W 1925 roku Brytyjczycy nadali Cyprowi status kolonii. Niezbyt w nią inwestowali, ale nie chcieli też jej oddać – była zbyt ważna pod względem strategicznym, znajdowała się na drodze do kolonialnych Indii. Irytacja greckich Cypryjczyków rosła, w końcu wzniecili wspomniane powstanie. Brytyjczycy starali się je stłumić, nastawiali tureckich mieszkańców wyspy przeciwko greckim, ale tak jak w wielu innych miejscach świata, w końcu się poddali. Nie oznacza to jednak, że całkowicie opuścili Cypr.

Wciąż działają tu dwie brytyjskie bazy wojskowe. Akrotiri i Dhekelia są zamorskim terytorium Zjednoczonego Królestwa (to pozostałość po brytyjskiej potędze kolonialnej, podobnych miejsc Londyn ma na świecie kilkanaście). To efekt porozumienia z Cypryjczykami – pójdziemy w cholerę, ale zostawcie nam bazy. Gra była warta świeczki. Zachód może stamtąd do dzisiaj wysyłać samoloty na Bliski Wschód i prowadzić w regionie działania wywiadowcze. Amerykanie nie raz korzystali z baz brytyjskich sojuszników, co wzbudzało sprzeciw greckich Cypryjczyków, na przykład w czasie wojny w Iraku. Ostatnio o

Akrotiri i Dhekelii było głośno, nazywano je „bazami śmierci", bo Amerykanie i Brytyjczycy mają stamtąd przerzucać broń do Izraela, Iraku czy Jemenu.

Akrotiri leży na zachodzie, na jej obszarze jest słone jezioro, gdzie można oglądać flamingi. Dhekelia znajduje się we wschodniej części wyspy. Wstęp do na ich teren jest otwarty, znajdują się tam różne miejscowości, ludzie normalnie w nich żyją. Tylko do niektórych części trzeba mieć przepustkę.

Marząca. Pila

Na Cyprze jest miejsce, gdzie greccy i tureccy Cypryjczycy wciąż żyją razem (w Rizokarpaso są greccy Cypryjczycy i Turcy, którzy przyjechali na wyspę po inwazji). To Pila, która jako jedna z czterech wiosek znajduje się w strefie buforowej.Na jej głównym placu, gdzie miejsca parkingowe zastępują drzewa, można poznać niemal każdą opinię na temat historii wyspy. Swoje kafenijo mają tu lewicowi greccy Cypryjczycy i prawicowi greccy Cypryjczycy. Tureccy mieszkańcy są trochę bardziej zjednoczeni – dysponują tylko jedną kawiarnią.

„Pila to jednak miejsce, w którym nic nie jest jednoznaczne. Wersje historii różnią się, każdy snuje tu własną opowieść. Nie ma jednej perspektywy. Próbowałem zrobić takie zdjęcie wioskowemu placowi, żeby obejmowało trzy bary kafenijo, czyli trzy historie wyspy. Nie dało się – jakikolwiek kadr bym wybrał, jednego z miejsc brakowało" – pisałem kilka lat temu w Wyspie trzech ojczyzn. Reportażu z podzielonego Cypru. Jeden z bohaterów książki, mieszkaniec Pili, powiedział mi wtedy, że greccy i tureccy Cypryjczycy żyją tam razem, ale oddzielnie. I dzięki temu żyją w pokoju. Od tego czasu w Pili zapewne niewiele się zmieniło

W ogóle na Cyprze od ponad pół wieku zmieniło się niewiele.

Bez przyszłości

Z upływem czasu perspektywa rozwiązania problemu cypryjskiego oddala się. Coraz mniej osób pamięta wspólną, w wielu przypadkach pokojową koegzystencję. Tragiczne wydarzenia 1974, późniejsze zaimpregnowanie konfliktu na trzydzieści lat (do 2003 roku Zielona Linia była zamknięta, kontakty między obydwoma społecznościami zamarły) – wszystko to sprawiło, że dzisiaj bardzo trudno o pojednanie. Politycy z obu stron nie chcą pozbywać się wygodnego nacjonalistycznego narzędzia, jakim jest narodowościowe szczucie. Wszakże dzięki niemu zdobywają społeczny poklask. Nie chcą się też dzielić władzą z politykami z drugiej strony wyspy, którąkolwiek stroną by ona była. Na pewno nie pomaga też dzisiejsza międzynarodowa atmosfera, przyklaskująca szowinizmowi i podziałom.

A lista tematów do uzgodnienia w czasie rozmów pokojowych jest długa i bardzo skomplikowana. Co z utraconymi nieruchomościami? Co z tureckimi żołnierzami stacjonującymi na wyspie? Co z Turkami, którzy przyjechali na wyspę po inwazji? Co zrobić, jak turecka Cypryjka weźmie ślub z Turkiem z Turcji, nie daj Boże weteranem 74. roku? I jeszcze mają dzieci? Między innymi takie kwestie regulował opracowany na początku wieku plan ówczesnego oenzetowskiego sekretarza generalnego Kofiego Annana. Dokument miał ponad dziewięć tysięcy stron. Skierowano go pod głosowanie i… nie przeszedł.

Plan Annana odrzucili greccy Cypryjczycy. Nie chciało go aż trzy czwarte mieszkańców południa. „Za" zagłosowało za to sześćdziesiąt pięć procent

Cypryjczyków wymienia się między innymi pozostanie tureckich żołnierzy na wyspie oraz zawiły system dotyczący uregulowania kwestii nieruchomości. Ale nie mówi się o innym powodzie – nieprzepracowanej traumie.

Potem blisko porozumienia było w 2017 roku w czasie rozmów w szwajcarskiej Crans-Montanie. Podobno greccy Cypryjczycy przestraszyli się tego, co wynegocjowali. Obawiali się, że społeczeństwo znowu się na to nie zgodzi. I się wycofali. To kolejny problem – porażka drugiego referendum oznaczałaby definitywne zerwanie rozmów pokojowych i koniec projektu „zjednoczony Cypr".

Najbardziej prawdopodobny scenariusz na Cyprze to przeciągające się w nieskończoność rozmowy pokojowe. Trwanie statusu quo. Oczywiście podczas rozpoczynającej się 1 stycznia cypryjskiej prezydencji w Unii Europejskiej usłyszymy zapewne o perspektywie rokowań, chęci dogadania się. Ale za tymi deklaracjami raczej nie pójdą konkrety. Cypr pozostanie podzieloną wyspą, bo w zasadzie nikt nie ma interesu w jej zjednoczeniu – oprócz mieszkańców, którzy wierzą, że cypryjskość jest ważniejsza, niż greckość czy tureckość. A oni, mimo że jest ich sporo, nie potrafią się przebić przez krzyk nacjonalistów z obu stron. ●

Thomas Orchowski

• dziennikarz radia TOK FM i autor książek reporterskich. Napisał m.in. „Wyspę trzech ojczyzn. Reportaż z podzielonego Cypru (wyd. Czarne).

Ostatnio ukazała się jego książka „Pasterzy jest coraz mniej. Reportaż z Krety" (wyd. Czarne).

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.
W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.
Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl 35a35257f6

Pierwszy krok do polexitu

Little Britania nad Wisłą

Nowa prawica Karola Nawrockiego ma plan na Unię Europejską

Wieliński

Polexit? Nie ma szans? Naprawdę myślicie, że to nie przejdzie w referendum, bo chociaż w sondażach liczba przeciwników członkostwa w Unii Europejskiej niepokojąco rośnie – według badania Eurobazooka aż do 25 procent – to zwolenników Unii jest więcej? Może jest więcej, ale przecież, by wyprowadzić Polskę z Unii, żadnego referendum rozpisywać nie trzeba.

Polskie prawo traktat europejski traktuje jak każdą inną umowę międzynarodową. Procedura jest prosta. Żeby go wypowiedzieć, potrzebny jest wniosek ministra spraw zagranicznych. Gdy przyjmie go rada ministrów, zostaje poddany pod głosowanie w Sejmie. Gdy Sejm się zgodzi, stosowny dokument ląduje na biurku prezydenta. Głowa państwa może grać na zwłokę i przesłać decyzję do Trybunału Konstytucyjnego.

Ale naprawdę myślicie, że Karolowi Nawrockiemu zadrżałaby ręka, gdyby dostał do podpisu decyzję Sejmu o wyjściu Polski z Unii? Wyobrażam sobie, jak wysoko z radości skakałby jego minister Adam Andruszkiewicz, niegdysiejszy działacz Młodzieży Wszechpolskiej, który mówił, że „wspólnota nie jest Unią naszych marzeń". No to po co trwać w złudzeniach, Unia nie stanie się „Europą Ojczyzn", jak to marzą sobie ludzie jego pokroju, tylko będzie integrowała się bardziej. Więc Nawrocki podpisze i będzie spokój.

Z obecnego rządu polexitowy wniosek oczywiście nie wyjdzie. Ale jeśli za dwa lata PiS wróci do władzy i stworzy rząd z Konfederacją albo z „koroniarzami" Grzegorza Brauna? Oporów by nie było, byłaby ekstaza. A Sejm kierowany przez umowną Elżbietę Witek z PiS decyzję o polexicie przyjąłby w ekspresowym tempie. W ciągu ośmiu lat rządów tej formacji widzieliśmy przecież skracane do minimum debaty, przepychanie skomplikowanych ustaw przez komisje w kilkadziesiąt godzin i reasumpcje głosowań, gdy przebiegały niezgodnie z wolą rządzących. Dlatego trzeba mieć świadomość, że jedynym referendum w sprawie polexitu będą następne wybory parlamentarne, które najpóźniej odbędą się jesienią 2027 roku. A wynik absolutnie nie jest przesądzony.

Czasem słyszy się, również od liberałów, centrystów czy lewicowców, że polexit to histeryczna melodia tych wśród demokratów, którzy zapiekli się w „antypisowskiej obsesji". Powtarzana do znudzenia zdarta płyta. Otóż nie. Dopiero teraz tworzą się warunki, zewnętrzne i wewnętrzne, by ten plan realizować. Na naszych oczach wokół nowego prezydenta zaczyna krystalizować się skrajnie prawicowa i antyzachodnia siła polityczna. Zrzucenia wyimaginowanych kajdan nałożonych Polsce przez Brukselę, walka o prawdziwą wolność i prawdziwe wartości staje się jej ideologicznym spoiwem.

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Protest rolników przed siedzibą Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w dniu uroczystego rozpoczęcia polskiej Prezydencji w UE. Warszawa, 3 stycznia 2025r.**

W tak głęboko podzielonym społeczeństwie polityczny klincz można przełamać, tylko stosując najcięższe argumenty. I takie, które łączą w sobie największe emocje. Dlatego jestem przekonany, że w nowym roku na porządku dnia oficjalnie stanie hasło polexitu. A może już stanęło? Widzieliście krążący po sieci filmik z dziewczyną w biało-czerwonej koszulce, która wyznaje, że nie pamięta Polski sprzed wejścia do Unii, ale „na pewno była wtedy bardziej polska"? Dziewczyna dodaje, że chce polexitu. Filmik „żre" na platformach społecznościowych, a co gorsza, nie ma żadnej kontry.

Podczas obchodów rocznicy wybuchu powstania wielkopolskiego w Poznaniu, w czasie, gdy Rosja zaostrza wojnę hybrydową z nami, a wschodnią granicę Rzeczypospolitej naruszają drony i balony przemytnicze, prezydent mówił o gotowości do „obrony także zachodniej granicy". To nie było przejęzyczenie ani niefortunny dobór słów. Nawrocki w kibolski sposób dokończył słowa czołowego intelektualisty PiS Zdzisława Krasnodębskiego, który latem 2023 roku ogłosił, że większe zagrożenie czyha na Polskę nie ze Wschodu, a z Zachodu właśnie.

Rzucona podczas ostatniej wizyty w Pradze propozycja Nawrockiego, by zmienić sposób funkcjonowania Rady Europejskiej, nie jest wynikiem ignorancji prezydenta i uzurpacji przez niego władzy – od składania tego typu pomysłów jest rząd – tylko domknięciem zapowiedzi Kaczyńskiego sprzed pandemii. Wtedy prezes PiS mówił, że zlecił znanemu prawnikowi napisanie nowego traktatu europejskiego, bo Unia w obecnym kształcie jest dlań nie do przyjęcia.

Śmialiśmy się wtedy, bo prawnik najęty przez Kaczyńskiego był anonimowy, a do tego, choć mijały kolejne miesiące, do obiegu nie przedostały się nawet zarysy nowego traktatu. Ale na wiosnę minionego roku okazało się, że nad takim dokumentem pracuje Instytut Ordo Iuris. Ten sam, który chciałby zbudować w Polsce państwo fundamentalistycznie katolickie. Instytut wspierają hołubione przez Viktora Orbana Kolegium Macieja Korwina i kreująca ultrakonserwatywną agendę trumpistów amerykańska Heritage Foundation. W ich wizji zjednoczona Europa miałaby cofnąć się w rozwoju do poziomu strefy wolnego handlu, pozbyć się swoich centralnych instytucji i globalnych aspiracji. Jesienią okazało się, że to także oficjalny cel administracji Donalda Trumpa. W nowej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego – podpisanej przez prezydenta doktrynie polityki zagranicznej – zapisano, że Ameryka pomoże Europie znowu stać się wielką, czyli rozbije Unię, a wesprą ją w tym zadaniu – te fragmenty utajniono – kraje takie jak Austria, Włochy, Węgry czy właśnie Polska. Jakby tego było mało, prezydent Nawrocki zaraz po publikacji ogłosił, że polską strategię bezpieczeństwa trzeba dopasować do najnowszej wersji strategii amerykańskiej. Zbieżność celów jest jasna.

Podobne założenia, jak w nowej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego USA, najważniejsi ludzie w PiS formułowali już przed dekadą

Zresztą wymierzone w Unię działania Ameryka podejmuje już od ponad roku, a populistyczne partie dostają od Waszyngtonu wsparcie w realu (administracja Trumpa poparła Nawrockiego oraz niemiecką skrajnie prawicową AfD) i na platformach społecznościowych. Ideolodzy wspierającego Trumpa ruchu Make America Great Again postrzegają Wspólnotę nie jako partnera, a jako gospodarczego rywala i ideologicznego przeciwnika. Tak samo od dawna ją postrzega i próbuje rozbić Rosja. Wiemy, że w 2016 roku mieszała wokół referendum w sprawie brexitu, wiemy, że miesza w Polsce.

•

Jak to się stało? 20 lat temu siedziałem w auli Uniwersytetu Humboldta w Berlinie i słuchałem przemówienia prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który wyjaśniał swój sceptycyzm wobec zbyt szybkiego zmieniania traktatów europejskich. Toczyła się wówczas dyskusja o tym, co zrobić z odrzuconą przez Francuzów i Holendrów Konstytucją Europejską, w efekcie powstał traktat lizboński. Ale jednocześnie zastrzegł, że nie wyklucza, iż kiedyś, gdy narody się bardziej zrosną, Europa stanie się federacją. O siłach antyeuropejskich w Polsce i innych krajach mówił wprost, że to margines.

Lech Kaczyński w końcu, po długich wahaniach, ratyfikował traktat lizboński. Nie był eurosceptykiem, wiedział, że nasze miejsce jest w Europie, widział, ile się w Polsce od wejścia do Unii zmieniło na lepsze.

Wrogiem zjednoczonej Europy nie był też jego brat, choć niechęć do Wspólnoty wykorzystywał w bieżącej polityce. Najbardziej uwierała go Komisja Europejska, która rzucała mu pod nogi coraz pokaźniejsze kłody, próbując wymusić na nim przynajmniej umiar w dewastowaniu praworządności. Dlatego tak kibicował Brytyjczykom, mając nadzieję, że ich rozwód ze Wspólnotą wywoła efekt domina i Unia, by uratować cokolwiek z idei zjednoczonej Europy, zredukuje się do strefy wolnego handlu, likwidując instytucje, które nadawały jej państwowy charakter.

Znamienne, że dekadę temu w PiS formułowano podobne założenia, jak obecnie w Białym Domu. Ale brexit zamiast rozkładu spowodował konsolidację. Jarosławowi Kaczyńskiemu została coraz bardziej radykalna wojna na słowa. W pewnym momencie pojechał za daleko, strasząc, że Unia będzie germanizować Polaków, a kraj zamieni w land Czwartej Rzeszy. Stracił kontrolę nad tą retoryką, którą w kraj niosły farmy rodzimych i zagranicznych botów i trolli.

Niespełna dekadę po brytyjskim referendum wiemy, że brexit, zamiast poprawić jakość życia – a przecież za pieniądze oszczędzone na brytyjskiej składce rząd w Londynie miał rozwiązywać piętrzące się problemy – przyczynił się do jej pogorszenia. Wyjście ze Wspólnoty sprowadziło na Wielką Brytanię gospodarczą stagnację oraz znacznie ograniczyło jej wpływ na świat, i to w czasie, gdy rozpada się dawny porządek na poszanowaniu norm, wspólnocie pewnych wartości i transatlantyckim sojuszu. Co gorsza, brytyjskim politykom, którzy mają świadomość, do czego doprowadzili, brakuje odwagi i talentu, by zacząć brexit odkręcać.

Skoro Wielką Brytanię, która budowała zamożność przez dziesiątki pokoleń, a jej znaczenie w świecie wyznaczały wpływy z czasów imperium oraz nuklearny arsenał, zerwanie z Europą zaprowadziło na skraj przepaści, to co polexit przyniósłby Polsce? Krajowi, który w globalnej lidze gra króciutko, dopiero poczuł smak zamożności, który graniczy z Rosją? Decyzja o polexicie zapisałby się w naszej historii tak jak podpisanie konfederacji targowickiej.

Obrona przed rzekomą utratą suwerenności zakończyłaby polskie marzenia o Zachodzie. Polsce po polexicie zostałby tylko rosyjski gorset. Politycy, którzy zamierzają korzystać z amerykańskiego czy rosyjskiego wsparcia, by wypychać Polskę z Unii, są jak popychadła Rosji, osiemnastowieczni magnaci oficjalnie proszący o interwencję carycę Katarzynę.

I to jest dobra wiadomość. Wszystko jest jasne, wiemy, kto jest kim, wiemy, co nas czeka, wiemy, co musimy zatrzymać. •

Bartosz T. Wieliński

eprasa.pl 35a35257f6

KULTURA OBYCZAJE

FOT. CHLOE DALTON (2); FISHER STUDIOS

DZIKIE SERCE

Widziałam, jak stoi na końcu ogrodu, nagle odbija się od ziemi i daje susa za murek. **Zrobiło mi się potwornie smutno.**

Z **CHLOE DALTON,** AUTORKĄ KSIĄŻKI „JAK WYCHOWAĆ ZAJĄCA"
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

AGNIESZKA JUCEWICZ: Jak wyglądało pani życie przed lutym 2021 roku, kiedy znalazła pani na drodze zajączka?
CHLOE DALTON*: Mieszkałam w małym apartamencie, w centrum Londynu. Nie miałam żadnego zwierzęcia. Wydaje mi się nawet, że regulamin budynku na to nie zezwalał, bo moi sąsiedzi też ich nie mieli.

Wtedy byłam już niezależną konsultantką do spraw polityki zagranicznej, ale wcześniej wiele lat przepracowałam dla rządu. Byłam, między innymi, doradczynią i autorką przemówień brytyjskiego polityka Williama Hague'a, byłego lidera Partii Konserwatywnej, który w pewnym momencie został Ministrem Spraw Zagranicznych.

Wyspecjalizowałam się w kryzysach wojennych, głównie na Bliskim Wschodzie. Szczególnie interesowało mnie, jak konflikty zbrojne wpływają na życie zwykłych rodzin, w tym kobiet i dzieci.

Przez pięć lat pracy w ministerstwie odwiedziłam ponad 50 krajów, podróżowałam bez przerwy. W 2015 roku odeszłam z pracy w rządzie i zajęłam się podobną działalnością tyle, że już poza jego strukturami. Doradzałam różnym osobom publicznym, które zajmowały się prawami człowieka, prawami kobiet oraz zapobieganiu konfliktom. Kiedy wybuchła pandemia wspierałam akurat Angelinę Jolie w jej działaniach humanitarnych.

Mój styl życia po odejściu z rządu się nie zmienił. Często wiadomość o wyjeździe na drugi koniec świata dostawałam w ostatniej chwili. Byłam całkowicie pochłonięta polityką międzynarodową. Przyroda, środowisko, zmiany klimatu – były dla mnie czymś odległym. Tematem dla specjalistów.

Pewnie miała pani co najmniej dwa telefony służbowe, bez przerwy otwarty kalendarz spotkań...
– Oczywiście! Byłam tą osobą, która wychodzi kilkakrotnie z przyjęcia, żeby odebrać ważny telefon. Spóźniałam się na rodzinne uroczystości, śluby. Albo wychodziłam z nich wcześniej.

Nie byłam z tego dumna, ale kochałam swoją pracę. I nie szukałam zmiany. Ludzie mówili mi, że na pewno jestem wypalona. Odpowiadałam, że być może nawet jestem, ale przecież świat płonie! A ja jestem potrzebna! Miałam silne poczucie sensu. Z drugiej strony, nigdy nie zdążyłam rozpakować do końca walizki, a najważniejsze było dla mnie to, żeby mieć w pełni naładowane telefony.

Pandemia to moje podróżowanie oczywiście przerwała, jednak dopóki nie trafiłam na zajączka myślami wciąż byłam w pracy. A w roku 2021 działo się sporo: począwszy od zamieszek na Kapitolu w Waszyngtonie, przez zwycięstwo Bidena w wyborach prezydenckich, przejęcie władzy przez Talibów w Afganistanie po fakt, że szczepionki na Covid – 19 były już dostępne, lecz nie we wszystkich krajach.

*Chloe Dalton

• brytyjska doradczyni polityczna, pisarka. Jej debiut **„Jak wychować zająca"** (w przekładzie Tomasza Bieronia, Wydawnictwo Literackie) został uznany przez magazyn „Time" i dziennik „The New York Times" za jedną ze 100 najważniejszych książek roku 2025, był również nominowany do Women's Prize i British Book Awards

Na początku pandemii przeniosła się pani do swojego letniego domu – zaadaptowanej stodoły w północnej Anglii. Dlaczego?
– Żeby być bliżej rodziców i siostry. Zamieszkałam w pięknej, wiejskiej scenerii, wśród pól. Przyznam jednak, że długo nie zwracałam na to uwagi. Całe dnie spędzałam przed komputerem i jak wiele osób nie mogłam się doczekać aż pandemia się skończy i wszystko „wróci do normy".

Kiedy zniesiono ograniczenia i pozwolono nam się przemieszczać, zaczęłam chodzić na spacery. Tamten zapamiętałam w szczegółach.

Luty 2021 był niezwykle zimny. Od wielu tygodni padał śnieg, ziemia była skuta lodem. Kiedy pogoda wreszcie się przełamała, postanowiłam się przejść. Szykowałam się do wyjścia, kiedy za oknem usłyszałam zamieszanie: jakiś pies szczekał, jakiś mężczyzna za nim wołał. Nie uszłam daleko, kiedy zauważyłam, że na środku drogi dojazdowej do mojego domu coś leży. Było brązowe, mniejsze od mojej dłoni. Po chwili dotarło do mnie, że patrzę na zajęcze, ledwie kilkudniowe, dziecko.

I co pani zrobiła?
– W pierwszym odruchu to, co wszyscy w XXI- wieku: wyjęłam telefon i pstryknęłam mu zdjęcie.

Zajączek miał zmierzwione futro, uszy położone na grzbiecie i szeroko otwarte czarne oczy. Przypuszczałam, że pies, którego słyszałam wcześniej, pogonił go, chwycił w pysk, a później z jakiś powodów upuścił. Nie byłam pewna, czy zwierzątko nie jest ranne, jednak postanowiłam je zostawić, licząc na to, że matka po nie przyjdzie.

Po kilku godzinach wracałam tą samą drogą i znalazłam go w tym samym miejscu, w niezmienionej pozycji. Zaczęłam się martwić, że przejedzie go samochód albo zeżre myszołów, że może matka jednak nie może go znaleźć, że coś mu dolega. Zastanawiałam się, co będzie dla niego najlepsze i postanowiłam, że podniosę go bardzo ostrożnie, owinę w trawę, żeby go nie dotykać gołymi rękami, zaniosę do domu, by się ogrzał, a po zmroku odniosę.

eprasa.pl 35a35257f6

Skąd pani wiedziała, że nie powinno się dotykać zajączka gołymi rękami?
– Kiedy byłam mała, wszystkie rodzinne wakacje spędzaliśmy na angielskiej wsi, niedaleko farmy owiec. Znajomy gospodarz wytłumaczył mi, że jeśli matka jagniątka umrze przy porodzie jest szansa, żeby inna owca je „zaadoptowała" pod warunkiem, że będzie pachniało jak jej dziecko. Miałam więc wdrukowane, że zapach nowo narodzonego zwierzęcia ma ogromne znaczenie dla jego przetrwania. I to wspomnienie we mnie ożyło, jak tylko znalazłam zajączka.

Wróciła z nim pani do domu i...?
– Zaczęłam dzwonić. Najpierw do znajomego, który kiedyś był leśniczym. Powiedział mi wprost: „Słuchaj, nawet jeśli jego matka żyje i nawet jeśli go nie dotknęłaś, istnieje spore ryzyko, że jak go odniesiesz na pole, to ona go odrzuci. Bo zajączek zdąży już przesiąknąć zapachem ludzkiego domu." Dodał też, żebym się przyszykowała, że najprawdopodobniej umrze – z głodu albo z szoku – ponieważ zające bardzo źle znoszą opiekę człowieka.

Odłożyłam słuchawkę, spojrzałam na to malutkie stworzenie, które siedziało przede mną na blacie bez ruchu, prawie nie mrugając i serce mi zamarło.

Co sobie pani pomyślała?
– Że popełniłam potworny błąd, że nie powinnam była interweniować. A chwilę później, że teraz muszę zrobić wszystko, żeby utrzymać go przy życiu. I znaleźć sposób, by mógł wrócić na wolność.

Duża odpowiedzialność i zerowe doświadczenie.
– Dokładnie! Wiedziałam tylko jedno, że muszę pamiętać o tym, że to jest dzikie zwierzę i szanować jego naturę.

Zające, w przeciwieństwie do królików, nigdy nie zostały udomowione. Są niezwykle wytrzymałe, a przy tym bardzo delikatne. W niewoli cierpią i często umierają.

Dziś wiedząc to, co o nich wiem, nie zrobiłabym tego.

Nie wzięłaby go pani do domu.
– Tamte okoliczności były szczególne. Istniała duża szansa, że zwierzę jest ranne, ale nie, nie powtórzyłabym tego. I kiedy tylko mam okazję, mówię ludziom, że jeśli zdarzy im się znaleźć zajęcze dziecko, to żeby go nie podnosili. Bo matka najprawdopodobniej wróci po zmroku, by je nakarmić.

Jeśli zajęcza mama ma kilkoro dzieci, zostawia je pojedynczo w różnych miejscach, w pewnej odległości od siebie, żeby zwiększyć ich szanse na przeżycie.

Postanowiła pani zawalczyć o życie zajączka. Do kogo zadzwoniła pani w następnej kolejności?
– Do siostry, do której dzwonię zawsze, kiedy tylko jestem w tarapatach. Powiedziałam jej: „Mam w domu zajęcze dziecko. Usłyszałam, że może umrzeć. Masz jakieś sugestie?".

Siostra, w przeciwieństwie do mnie, zna się na opiece nad zwierzętami. Ma nieduże gospodarstwo: owce, perliczki, pawia, psy, koty. Dała mi cenną radę, że zajączek najpewniej potrzebuje zastępczego mleka bez laktozy. A po chwili przywiozła mi wiadro mleka w proszku, którym karmiła osierocone jagniątka. Na oko, starczyłoby go dla jakiś dwustu owiec.

Tymczasem zajączek ważył niecałe 100 gramów.
– I moim zadaniem było teraz rozgryźć, jak dobrać odpowiednie proporcje mleka oraz, jak go nakarmić. Najpierw używałam do tego buteleczki po jakimś kosmetyku, potem siostra kupiła mi specjalną butelkę do karmienia małych zwierząt.

Początkowo byłam bardzo nieporadna i z perspektywy czasu widzę, jak dużą cierpliwością wykazał się zajączek. Jak bardzo był tolerancyjny dla moich niezgrabnych starań.

Powtarza się nam często: „jeśli kogoś kochasz, puść go wolno". Ale rzadko mamy okazję, żeby to zrobić i sprawdzić, co się stanie

Nigdy się nie wyrywał, nie opierał. Być może wciąż był przestraszony. Nie wiem też, co się dokładnie wydarzyło, zanim go zabrałam do domu. Ale szczerze mówiąc, myślałam, że nie udźwignę tego.

Co było najtrudniejsze?
– Myśl, że niechcący go zabiję, że rano znajdę jego martwe ciało na dywanie.

Czułam, że nie nadaję się do opieki nad dzikim zwierzątkiem i, że powinien się tym zająć ktoś bardziej kompetentny, na przykład właśnie moja siostra. Próbowałam ją nawet do tego przekonać, ale stanowczo odmówiła. Słusznie stwierdziła, że w jej domu jest za głośno, za dużo w nim zwierząt i, że nie są to odpowiednie warunki dla zajęczego noworodka. „Poradzisz sobie" – dodała.

Najpierw w poszukiwaniu informacji zwróciłam się oczywiście do internetu. Jak się pani domyśla nie znalazłam żadnej strony pod tytułem „Jak wychować dzikiego zająca". Większość porad dotyczyła udomowionych królików i była nieprzydatna.

Po kilku dniach przyszło mi do głowy, że mogę przecież skorzystać z biblioteki, gdzie zwykle szukałam informacji potrzebnych mi do pracy. Biblioteka Londyńska, do której należałam, w pandemii wysyłała książki do domu. W katalogu online zaznaczyłam niemal każdą pozycję, w której choćby pobieżnie wspomniano o zającach. Wiele z tych książek traktowało o malowaniu zajęcy, polowaniu na zające, gotowaniu zajęcy na różne sposby i nie były pomocne. Aż w końcu trafiłam na XVIII- wiecznego poetę, Williama Cowpera, i to od niego dowiedziałam się najwięcej.

Po tym, jak Cowper przeżył bolesny zawód miłosny i wyprowadził się na wieś, dzieci sąsiada obdarowały go parą zajęcy do towarzystwa. Przeżyły z poetą wiele lat, a on pisał o nich wiersze, eseje. Okazało się, że niektóre z jego utworów przerabialiśmy w szkole, na przykład „Epitafium dla zająca"- klasykę angielskiej literatury, jednak wówczas zupełnie nie zwróciłam na to uwagi.

W jednym z wierszy wymienił, czym karmił swoje zające, więc kiedy mój miał już jakiś miesiąc, zaczęłam sprawdzać po kolei wszystkie produkty z listy.

Co na niej było, poza płatkami owsianymi?
– Mnóstwo rzeczy: skórki chleba maczane w mleku, obierki z marchewki, mlecze, osty, różne owoce, warzywa. Ale zające Cowpera były udomowione, mieszkały w klatce. Mój zajączek był dziki, biegał po całym domu. Nigdy nie włożyłam go do klatki i większość tego, co polecał poeta, nie przypadło mu do gustu. Poza tymi płatkami, które uwielbiał.

W pewnym momencie stworzyłam dla niego nawet coś w rodzaju „sushi baru". Na malutkich miseczkach powykładałam różne składniki wymienione przez poetę, żeby zachęcić zajączka do jedzenia, ale szybko zrozumiałam, że nie jestem w stanie zmienić nawyków, które podpowiada mu instynkt. I, że on wie najlepiej, co mu służy.

Kiedy trochę podrósł, otworzyłam mu drzwi do ogrodu i tam już sam sobie wybierał, czym chce się żywić. W domu miał zawsze wysypane płatki na talerzyku, więc kiedy wracał do środka, podgryzał sobie kilka, kładł się i od razu zasypiał. Zające są bardzo powściągliwe w swoich zwyczajach żywieniowych. Nigdy się nie napychają.

W ogóle, ciekawe było to, że te różne opisy zajęcy, na które trafiałam w lekturach często miały się nijak do tego, co obserwowałam.

Na przykład?
– Praktycznie wszędzie, od Szekspira poczynając, w większości języków i kultur, zając uosabia tchórzostwo. Mówi się, że ktoś jest strachliwy, czy płochliwy jak zając. Po angielsku mamy takie wyrażenie, jak „harebrained"(dosłownie „zajęczy móżdżek"), które odnosi się do niedorzecznych, czy postrzelonych pomysłów. W bajkach, na przykład bajce Ezopa „Żółw i zając", zając jest przedstawiony jako zadufany w sobie głupek, który mimo swojej ewidentnej przewagi przegrywa wyścig z roztropnym żółwiem, itd.

Czytałam to, później patrzyłam na zajączka i widziałam, że z natury jest zupełnie inny. Owszem był spokojny, ostrożny, ale jednocześnie też ciekawski, odważny i pod wieloma względami bardzo odporny.

Przetrwanie zajęcy jest dość niezwykłe zważywszy na to, że nie mogą się schronić pod ziemią. Na powierzchni człowiek całkowicie zdominował krajobraz, tnąc go na małe pola, stawiając na nim zabudowania, wznosząc ogrodzenia, budując drogi. Wszystko to nie sprzyja zającom, a one wciąż tu są.

Może wydaje się nam, że są strachliwe, bo kiedy nas widzą od razu uciekają? Ale może uciekają dlatego, że od tysięcy lat na nie polujemy i wiedzą, że mają się nas bać? Ten zakorzeniony w nich strach to po prostu instynkt przetrwania.

Tym bardziej wydaje mi się niesamowite i piękne, że zajączek mi tak zaufał.

Może to zaufanie wzięło się stąd, że nie próbowała go pani oswoić? Szanowała jego dzikość?
– Wie pani, od początku liczyłam się z tym, że chowam go do wolności. Do tego, żeby mógł wrócić do „swoich". Wiedziałam, że któregoś dnia otworzę bramę do ogrodu na oścież i go wypuszczę. Myślałam, że to ja zdecyduję o tym, kiedy to nastąpi, bo ogród jest otoczony wysokim, kamiennym murkiem i wydawało mi się niemożliwe, żeby zając sam go pokonał. Kiedy osiągnął kilka miesięcy, czułam, że ten moment się zbliża.

I jak pani z tym było?
– Z perspektywy czasu widzę, że to przeciągałam. A z drugiej strony, na tamtym etapie nie pozwoliłam sobie na przywiązanie do zajączka, bo miałam świadomość, że zaraz odejdzie.

Jednocześnie bardzo się martwiłam: czy sobie poradzi, czy inne zające go zaakceptują, czy nie będzie bardziej podatny na zagrożenia przez to, że spędził te pierwsze kilka miesięcy w ludzkim domu, czy będzie potrafił się rozmnażać, czy jego futro będzie wystarczająco gęste, czy nie przejedzie go od razu samochód.

I twierdzi pani, że jeszcze wtedy nie czuła się pani z nim tak związana?
– Tak mi się wydawało...Wówczas nie wiedziałam też jeszcze, że to samiczka. Założyłam, bardzo stereotypowo, że to samczyk.

Ku mojemu zaskoczeniu zajęczyca sama zdecydowała, że już najwyższy czas wybić się na niezależność. Dosłownie. Całkiem przypadkiem byłam przy tym. Widziałam, jak stoi na końcu ogrodu, po czym nagle odbija się od ziemi i daje susa na murek. Postała tam przez chwilę patrząc w dal na pola, po czym zeskoczyła na drugą stronę i pobiegła.

1 RP

eprasa.pl 35a35257f6

Zrobiło mi się wtedy potwornie smutno.

Straciła coś pani.
– Tak! I nie chodziło nawet o to, że myślałam, że straciłam to zwierzę, ale o to, że to niezwykłe doświadczenie, możliwość obserwowania jej, dostosowania swoich zwyczajów do niej, pozostawanie na wsi, by móc się nią opiekować, dobiegło już końca.

Ostatecznie okazało się, że to wszystko co robiłam dla zajęczycy, wszystkie te drobne poświęcenia, jak karmienie jej o dziwnych porach, czy dbanie o to, żeby w domu było jak najciszej, sprawiały mi ogromną przyjemność.

Ten moment, w którym zobaczyła pani jak zajęczyca przeskakuje przez murek skojarzył mi się z pierwszym krokiem dziecka, który dla rodziców też jest takim symbolicznym początkiem niezależności.
– Nie pierwszy raz spotykam się z tym skojarzeniem i całkowicie rozumiem, dlaczego się ono nasuwa, jednak osobiście unikam takich porównań.

Nigdy nie traktowałam zajęczycy, jak własnego dziecka. Dla mnie ona zawsze była kimś w rodzaju dzikiego gościa. Poza tym, w tamtym momencie, w wieku czterech miesięcy miała już atletyczną sylwetkę. Była niezwykle zwinna, sprawna. Potrafiła biegać bardzo szybko, obracać się w powietrzu. Nie przypominało to „pierwszego kroku", raczej był to skok w nieznane – pełnego życia, energicznego młodego zwierzęcia.

Czułam się wtedy tak, jakby wszystkie elementy układanki trafiły na swoje miejsce. Dzikie zwierzę pobiegło do siebie, a ja miałam się nie dowiedzieć, co się z nią dalej stało. Ale miałam na to zgodę, bo ona nigdy nie była moja, rozumie pani? Nie należała do mnie.

Nie jest to częste podejście. Dziś wiele osób traktuje zwierzęta jak członków rodziny, jak własne dzieci, a czasem wręcz jak własność. Często projektujemy na nie swoje uczucia, myśli, stany.
– Jako dziecko miałam zwierzęta domowe. Nadawałam im imiona, lubiłam nosić je na rękach, przytulać się do nich – tak, jak to robi wiele dzieci. Zwierzęta te często stanowiły centrum mojego małego świata, jednak z tym było inaczej.

Mam świadomość, że na moje podejście do zajęczycy mogły wpłynąć pewne aspekty mojej osobowości. Nie wiem tylko, jak to dobrze wytłumaczyć.

Proszę spróbować.
– Nigdy nie lubiłam czuć, że ludzie są dla mnie mili albo spędzają ze mną czas tylko dlatego, że muszą, a nie dlatego, że naprawdę tego chcą.

Z tego powodu, na przykład, jako dziecko nie znosiłam urodzin. Nie chciałam, żeby ktokolwiek czuł się zobowiązany, żeby okazać mi tego dnia miłość tylko dlatego, że to jest TEN dzień. Był w tym dla mnie jakiś przymus.

W głębi duszy chyba zawsze pielęgnowałam wyobrażenie, że ludzie powinni mieć swobodę wyrażania siebie, że powinni robić coś wtedy, kiedy im na tym zależy, wiązać się z innymi, bo tak wybrali, a nie, bo czują się do tego jakoś zobligowani.

Rozumiem, że nie chciała pani zmuszać zajęczycy, by panią pokochała.
– Ale też chroniłam jej wolność przed zakusami innych. Czułam, że jest to mój obowiązek i moja odpowiedzialność.

Większość osób wokół mnie zakładała jednak, że zajęczyca jest zwierzątkiem domowym. Oczekiwali, że nadam jej imię i dziwili się, że tego nie robię, bo dla mnie byłby to znak, że chcę ją jakoś zawłaszczyć. Chcieli ją koniecznie zobaczyć, wziąć na ręce.

Pytali: „czy mogę przyjść?", „czy moją córka mogłaby ją poznać?". Próbowałam im wtedy delikatnie wytłumaczyć, że oczywiście zapraszam, ale zajęczyca pewnie od razu ucieknie, że nie jest zwierzęciem, które można brać na ręce, że sama jej nie dotykam. A jeśli poczuje się niepewnie, wybiegnie do ogrodu, schowa się w krzakach i tyle.

Mam takie zabawne zdjęcie, na którym widać jak członkowie mojej rodziny stoją w rządku na zewnątrz domu przy jednym z okien i zaglądają do środka, żeby popatrzeć na śpiącego zająca.

Miała szczęście, że trafiła akurat na panią. Łatwo mi sobie wyobrazić, że znajduje ją ktoś inny, zakłada jej konto na Instagramie czy Tik-toku i robi z niej „gwiazdę".
– Po prostu miałam silne przeświadczenie, że udomowienie jej byłoby okrutne.

Wie pani, kiedy przeskoczyła ten murek i pobiegała w pole myślałam, że widzę ją po raz ostatni. Nie miałam pojęcia, że będzie regularnie wracać i traktować mój dom jak swój własny, że będzie w nim spać całymi dniami, bo zające drzemią w ciągu dnia, jeśli czują się bezpiecznie, że będzie wychowywać w moim ogrodzie swoje potomstwo.

Powtarza się nam często: „jeśli kogoś kochasz, puść go wolno". Ale rzadko mamy okazję, żeby to zrobić i sprawdzić, co się stanie.

Rzadko też mamy okazję się przekonać, że jak to zrobimy, to ten ktoś wróci.
– Nie liczyłam na to, jednak ona to właśnie zrobiła. Raz nawet zdecydowała się urodzić swoje dzieci w moim gabinecie. Pisałam tę książkę patrząc na zajęcze noworodki ukryte przez matkę tuż pod moim biurkiem. Widziałam, jak przychodzi je karmić, jak dorastają.

Myślę też, że walczą w nas różne instynkty. Z jednej strony chcemy być niezależni, stąd może tak przemawia do nas wolność dzikich zwierząt. A z drugiej, podlegamy licznym zobowiązaniom. Chcemy być oparciem dla ludzi, których kochamy, jednocześnie mieć jakieś osiągnięcia, pracę, by móc utrzymać siebie i bliskich, itd. Jesteśmy poddani dużej presji.

A przy tym wszystkim według najnowszych szacunków dzikie zwierzęta stanowią jedynie 4 proc. żywych istot na Ziemi.

Nie wiedziałam.
– Poraża mnie ta informacja, bo to oznacza, że do tego stopnia zepchnęliśmy te zwierzęta, które reprezentują nieskrępowaną wolność istnienia na margines, że grozi im całkowite wyginięcie.

Wygląda na to, że nie bardzo wiemy, jak to zatrzymać, choć przecież sami też cierpimy, kiedy jesteśmy pozbawieni kontaktu z przyrodą.

Twierdzi pani, że zajęczyca była dla pani darem. W jakim sensie?
– Możliwość obserwowania jej z tak bliska odmieniła moje życie. Z rzeczy najbardziej powierzchownych – zamieszkałam na wsi.

A z tych głębszych?
– Wyostrzyły mi się zmysły. Zrobiłam się spokojniejsza, a moje potrzeby się uprościły. Doświadczenie to pozwoliło mi też zrozumieć i zaakceptować, że narodziny, rozpad, śmierć, odradzanie się to po prostu elementy cyklu życia. Łatwiej mi się przez to godzić z różnymi przeciwnościami.

> Nasza egzystencja jest trudna, rodzi dużo samotności, cierpienie. Zwierzęta, przyjaciele, bliscy są w niej ogromną pociechą, a ich brak potrafi być bardzo bolesny

To jej zaufanie, poczucie bezpieczeństwa w mojej obecności, było dla mnie ogromnym wyróżnieniem. Nie wiem, co sobie myślała, ale zakładam, że gdybym kiedykolwiek wsadziła ją do klatki, a potem wypuściła, nie wróciłaby już.

Pomyślałam sobie teraz, jak często mamy skłonność do zniewalania nie tylko zwierząt, ale w ogóle innych, bliskich nam osób. Chcemy, żeby byli „jacyś", żeby pasowali do naszych wyobrażeń. Wkładamy ich do „klatek" naszych przekonań. Dlatego pani historia jest dla mnie jedną z najpiękniejszych opowieści o miłości, bo taką miłość rzadko się spotyka: widzieć kogoś takim, jakim jest, dbać o niego i nie oczekiwać wiele w zamian.
– To chyba Carl Sagan powiedział kiedyś: „dla małych stworzeń, takich jak my, ogrom wszechświata jest znośny tylko dzięki miłości", czy coś w tym rodzaju. W każdym razie, miał na myśli to, że nasza egzystencja jest trudna, rodzi dużo samotności, cierpienie. Zwierzęta, przyjaciele, bliscy są w niej ogromną pociechą, a ich brak potrafi być bardzo bolesny.

Niemniej jednak, zawsze miałam poczucie, niezależnie od tego jaka to relacja, że dużo bardziej wolę, żeby ktoś spędził ze mną pięć minut z własnej woli niż tydzień dlatego, że społeczeństwo od niego tego wymaga, że to jego praca i ktoś mu za to płaci, albo z powodu jakiś innych oczekiwań.

Spotkanie zajęczy sprawiło również, że dziś mogę prowadzić takie rozmowy, jak nasza. Spotykam zupełnie obcych ludzi i od razu schodzi na najbardziej prywatne tematy: na to, jak się czujemy, co jest dla nas naprawdę ważne, na przyjaźń, miłość. To zwierzę, jej historia od razu tworzy mosty między ludźmi.

Dzięki niej odnalazłam też własny głos. W mojej karierze doradczyni politycznej zawsze pisałam dla innych. Byłam tą niewidzialną pomocną dłonią, która pomaga im się lepiej wyrazić. Dziś robię to dla siebie i to jest chyba najgłębsza zmiana, jaka zaszła w moim życiu. Odkryłam, że potrafię napisać coś, co inni mogą chcieć przeczytać i, że moje priorytety leżą gdzie indziej.

Kończę właśnie kolejną książkę, która wzięła się z moich rozważań o tym, dlaczego zajęczyca nie była i nie mogła być zwierzątkiem domowym, gdzie przebiega granica między zwierzętami, które przyjmujemy pod swój dach, a tymi, które opierają się udomowieniu, jaka w ogóle była droga do udomowienia zwierząt, które kiedyś przecież też były dzikie, itd.

Wie pani, co jeszcze mnie cieszy w tej zmianie, którą zajęczyca wniosła w moje życie? Polityka polega na tym, że człowiek zanurza się w jakieś niepewnej, chaotycznej rzeczywistości i próbuje znaleźć w miarę rozsądne rozwiązania. Przyjść z konkretnym planem. Pisanie jest zupełnie inne. Człowiek raczej się zastanawia nad różnymi kwestiami, na które często nie ma jednoznacznych odpowiedzi i najlepsze, co może w tej sytuacji zrobić, to powiedzieć: „wydaje mi się", „myślę, że...", „czuję, że...".

Albo: „może jest jednocześnie tak i tak"?
– Właśnie! Jeśli chodzi o nasze podejście do tego co nieokiełznane, czy do przyrody w ogóle, mnie jako pisarkę, ale też jako człowieka, interesuje i to, co w nas najlepsze i to, co w nas najgorsze. Bo te dwa aspekty często w nas współistnieją.

Nasza miłość do zwierząt też taka jest. Złożona. Z jednej strony pełna jest pięknych historii o przywiązaniu, poświęceniu, przyjaźni. Wiemy, jak ważną rolę może odegrać w życiu dzieci czy osób starszych, ale wiadomo też, że miewa i tę drugą twarz. Może być opowieścią o podporządkowaniu, zawłaszczeniu, dominacji. Mnie interesują oba te wymiary: i światło, i cień.

Jako ludzie często lubimy być w centrum uwagi. W swojej opowieści o zajęczycy usuwa się pani na drugi plan: obserwuje, odkrywa, zaciekawia się. Bardzo to jest odświeżające.
– Można powiedzieć, że zając nie robi wiele: je, śpi, czyści swoje futro, biegnie, sam albo z innymi zającami. Ale dla mnie w tych zachowaniach odbijał się cały świat. Krył się w nich też cały wachlarz emocji, które były dla mnie nieprzeniknione. Nie wiedziałam, co zajęczyca myśli, co czuje. Wydaje mi się, że często próbujemy te emocje jakoś zrozumieć. Wejść z nimi w dialog. I to akurat w nas, ludziach, jest dla mnie jakoś piękne.

Co dokładnie?
– To, że nie możemy przestać empatyzować. Staramy się nawiązać z innymi stworzeniami kontakt. Ten nasz głód więzi jest dla mnie czymś bardzo cennym, nawet jeśli nie zawsze nam to wychodzi.

Czy zajęczyca wciąż żyje?
– Zniknęła prawie rok temu i muszę się pogodzić z tym, że najprawdopodobniej nadszedł jej koniec. Ale jej dzieci i dzieci jej dzieci wciąż przychodzą do mojego ogrodu. Bramę do niego zostawiam zawsze otwartą, więc traktują ten kawałek ziemi jak przedłużenie swojego terenu. Wczoraj widziałam pięć zajączków.

Myślała pani kiedyś o tym, co by było, gdyby jednak nie zabrała pani zajęczycy do domu?
– Wielokrotnie. Na pewno wiele osób zna to uczucie, kiedy z perspektywy czasu wydaje się, że najważniejsze dla nas rzeczy mogły się nie wydarzyć; że PRAWIE nie spotkaliśmy tej osoby, z którą ostatecznie spędziliśmy całe życie; PRAWIE nie zdecydowaliśmy się wziąć tej pracy, która okazała się naszym powołaniem; PRAWIE nie pojechaliśmy w tę podróż, która zmieniła naszą trajektorię.

Po jakimś czasie, te znaczące rzeczy wydają się być szczęśliwym zbiegiem okoliczności, niemalże cudem, bo tyle innych scenariuszy wchodziło w grę.

Z zajęczycą było podobnie. Przecież mogłam wracać inną drogą, mogłam jej nie zauważyć. Gdyby nie pandemia, pewnie zawiozłabym ją do jakiegoś azylu dla dzikich zwierząt.

I co wtedy?
– Być może wciąż tkwiłabym w polityce tyle, że coraz gorzej radziłabym sobie z psychologicznymi konsekwencjami otaczającej nas rzeczywistości, w której narasta poczucie, że jakikolwiek rozsądek i przyzwoitość wyparowały z tego świata, przynajmniej na poziomie rządzących?

A z drugiej strony, czasem sobie myślę, że kiedy trafiłam na zajączka, coś już we mnie kiełkowało i czekało, żeby móc się rozwinąć. Potrzebowałam tylko tej jednej przysłowiowej kropli. Los chciał, że była nią zajęczyca, ale może równie dobrze mógłby to być ktoś inny albo coś innego. Coś, co nada mojemu życiu nowy sens i kierunek. ●

eprasa.pl 35a35257f6

Szpilman powiedział o mnie: „Niewiele umie, ale niech się uczy”

Z **IRENĄ SANTOR**
ROZMAWIA **JAREK SZUBRYCHT**

ZAPAMIĘTAĆ TEN CZAS, GDY BUDZIŁO SIĘ W NAS NIEWIADOME

eprasa.pl 35a35257f6

JAREK SZUBRYCHT: O czym marzy dziewczyna, gdy dorastać zaczyna? Śpiewanie było jedynym scenariuszem?
IRENA SANTOR: Tak. Byłam co prawda w szkole zdobienia szkła, ale to nie moja bajka. Szczęśliwie trafiłam do Mazowsza i zaczęłam śpiewać muzykę ludową. Szczerze mówiąc: wtedy dopiero ją poznałam, tak od podszewki, chociaż w dzieciństwie śpiewało się ludowe piosenki. Tak przepadłam w tej stylistyce, że kiedy po ośmiu latach pożegnałam się z Mazowszem, trudno mi było przejść do innego repertuaru.

Czekała pani na propozycje czy sama szukała możliwości?
– Jestem dzieckiem szczęścia. Zaproponowano mi próbne nagranie w radiu. Władysław Szpilman, wtedy guru muzyki rozrywkowej, orzekł: „Niewiele umie, ale niech się uczy". Musiałam szybciutko się pozbierać i pracować nad sobą na akord.

Ucząc się zawodu, jednocześnie już go uprawiałam. Śpiewałam z orkiestrą symfoniczną i wszystkimi innymi zespołami, które wtedy pracowały w radiu, od pogranicza jazzu po zespół ludowy. Od każdego z nich uczyłam się innej stylistyki. Praca z orkiestrą symfoniczną była radością, ale też odpowiedzialnością najwyższego rzędu. Na żywym organizmie uczyłam się nowej dla mnie muzyki. Chodziłam na próby, starałam się zorientować, o czym muzycy rozmawiają, dlaczego coś brzmi w taki, a nie inny sposób, dlaczego ta fraza tu ma przecinek, a dopiero tam kropkę. Czego się nauczyłam, to moje. Kładę jednak nacisk na to, że trafiłam na ludzi, którzy mieli dobrą wolę.

Śpiewała pani różny repertuar. Najpierw muzykę ludową, później ówczesny pop, nazywany wówczas oficjalnie „muzyką lekką", ale też pop już wtedy przedwojenny, na płycie „Piosenki stare jak świat". Były też kolędy, był Moniuszko. Wszystko z równą chęcią?
– Muzykę ludową wyssałam z mlekiem matki. Naprawdę jestem wieśniaczką, z przekonania. Tam są moje korzenie – w zbożu, kartoflisku, lnie, w tym wszystkim, co rosło w mojej wsi.

Moniuszko to dalszy ciąg tego świata. Jego komunikaty są równie łatwo przyswajalne jak muzyka ludowa. Mam do niego sentyment. Kiedy Lucjan Kaszycki i Jasiek Zalewski napisali dla mnie piosenkę „Idzie drogą jesień", pomyślałam: „Jezu, przecież to jak ze śpiewnika Moniuszki!". Namawiałam ich więc, żeby mi napisali całą taką płytę, i oni to zrobili, absolutne cudo. „Malowanki polskie" nie były szczególnie popularne, ale bardzo je lubiłam. Szkoda, że nikt tego nie zna... Chociaż nie, to nie jest prawda. Mietek Szcześniak przed wielu, wielu laty przyjechał na mój koncert, żeby zaśpiewać trzy piosenki z tej właśnie płyty. Odkrył „Malowanki polskie" i docenił.

Dobrze zaśpiewał?
– On jest bestią, wszystko umie. Nie tylko jest wybitnym wokalistą, lecz także ma duszę wyzwolonego muzyka.

Wszystko równie łatwo pani przychodziło?
– Innego posługiwania się dźwiękiem, związanego z konwencją jazzową, uczyłam się od artystów związanych z radiem. Kogo ja tam nie spotykałam?! Włodzimierza Nahornego, Andrzeja Trzaskowskiego, Jana Ptaszyna Wróblewskiego... Wszyscy wywierali na mnie jakiś muzyczny wpływ. Trzaskowskiego się bałam, bo był bardzo wymagający. Do niego trzeba było przychodzić dobrze przygotowanym, wszystko musiało być intonacyjnie idealne. Nahorny dla odmiany pozwalał na błędy, przy-

FOT. PAP/MARIAN SOKOŁOWSKI

▲ **Irena Santor na Rynku Starego Miasta. Warszawa, 1973r.**
W czasach niedoboru warto było mieć znajomości w Modzie Polskiej: „Pani Irenko, szyjemy suknię dla jakiejś ambasadorowej, ze świetnego kuponiku i na pewno trochę zostanie"

FOT. EDWARD HARTWIG/NAC

◀ **Koledzy z Mazowsza czasem zostawali za granicą, ale mnie to nie pociągało. Ładny był ten świat, często ładniejszy niż u nas – te wszystkie światła, tyle ludzi na ulicach, inny rodzaj życia, swoboda. Lubiłam spotykać Polaków na całym świecie, to mi zawsze sprawiało radość, ale chciałam wracać do domu. Czułam, że tu jest moje miejsce. Może dlatego, że urodziłam się na wsi i moje korzenie osadziły się w tej glebie.**
Irena Santor (po lewej) solistka „Mazowsza" z kolegami z zespołu „Śląsk" w Karolinie, 1955 r..

◀ **Na stronie po lewej: Irena Santor, Teatr Syrena w Warszawie, 1970 r. „Chodziłam regularnie do filharmonii i opery. Mój mąż, który był skrzypkiem, uczył mnie wrażliwości na melodię, na frazę. Jemu zawdzięczam umiejętność słuchania muzyki. „Podobało ci się?" – pytał po koncercie. „A dlaczego?"**

Irena Santor

• pierwsza dama polskiej piosenki, wykonawczyni takich łączących pokolenia przebojów, jak: „Embarras", „Powrócisz tu", „Tych lat nie odda nikt" i „Już nie ma dzikich plaż". Karierę zaczynała w 1951 roku od występów w Mazowszu, a pożegnalną, jubileuszową trasę koncertową skończyła raptem kilka miesięcy temu. Na początku grudnia, w sam raz na 91. urodziny artystki, ukaże się jej nowa płyta. Album **„Zakochana w śnie"** zawiera utwory odnalezione w archiwum Polskiego Radia, nagrane ponad 50 lat temu z zespołem Jana Ptaszyna Wróblewskiego.

eprasa.pl 35a35257f6

krywał swoim pięknym akordem. Chcę tutaj zaznaczyć, że nigdy nie zostałam wokalistką jazzową.

Czy nauka nowych rzeczy przychodziła mi łatwo? Nie. Czy robiłam to chętnie? Tak. Napędzała mnie ciekawość. Chodziłam regularnie do filharmonii i opery, znałam śpiewaków i instrumentalistów. Mój mąż, który był skrzypkiem, uczył mnie wrażliwości na melodię, na frazę. Jemu zawdzięczam umiejętność słuchania muzyki. „Podobało ci się?" – pytał po koncercie. „A dlaczego?". Musiałam umieć to zrozumieć i nazwać. Uczyłam się zawodu z nasłuchu i podglądu. Dlatego nie bardzo mogę młodszym kolegom służyć za przykład. To była szkoła jednorazowego użytku.

Jak doszło do pani współpracy z Janem Ptaszynem Wróblewskim?
– Do radia przychodziły stosy fortepianówek, czyli propozycji od kompozytorów. Przysyłali już gotowe piosenki, nuty z tekstami, z nadzieją, że ktoś to nagra. Przychodziło się do uroczej pani Zambrzyckiej prowadzącej sekretariat Szpilmana i buszowało w tych fortepianówkach. I tak się złożyło, że Ptaszynowi i mnie spodobała się ta sama piosenka. On ją aranżował, ja chciałam zaśpiewać. Nie spotykaliśmy się nawet, nie umawialiśmy się na herbatki, żeby ustalić, jak to zrobimy. Kłanialiśmy się sobie na korytarzu, to wszystko.

Skoro nawet nie rozmawialiście, Ptaszyn brał pod uwagę pani preferencje i możliwości?
– Aranżował to na siebie. Jego zespół grał w określonej konwencji, więc jeśli chciałam jakąś piosenkę zaśpiewać, musiałam się do tej konwencji nagiąć. Nagrywałam swoją partię i jeśli to zostało przyjęte, chodziło na antenie albo i nie, po czym trafiło na półkę.

W 2023 roku, kiedy Ptaszyn razem z Nahornym odbierał doktorat honoris causa Akademii Muzycznej w Gdańsku, zostałam zaproszona na tę uroczystość. Laudator profesor Piotr Kusiewicz, chcąc zrobić Ptaszynowi przyjemność, puścił znalezioną w archiwum piosenkę „Zakochana w śnie". Słucham... To moje? Ja tego nie pamiętam. Kiedy utwór wybrzmiał, wyrwał mi się okrzyk: „Słuchajcie, to bardzo dobre!". Niewiele później okazało się, że z piosenek, które nagrałam z nim i jego zespołem, uzbierała się cała płyta.

Tylko dlaczego musieliśmy na płytę „Zakochana w śnie" czekać aż pół wieku?
– Nagrania leżały w archiwum i dopiero Adam Domagała z Polskiego Radia je znalazł. Na tych półkach jest wiele innych wspaniałości, przed panem Domagałą jeszcze dużo pracy.

Trudno to zrozumieć z dzisiejszej perspektywy, kiedy jesteśmy zalewani nadprodukcją muzyki. Z kolei tamte praktyki, sprzed półwiecza, wydają mi się dotknięte grzechem marnotrawstwa. Utalentowani ludzie nagrywali fantastyczne rzeczy, które zamiast do publiczności trafiały pod klucz.
– Tak, to był grzech zaniedbania i tu należy wrzucić kamyczek do ogródka Polskiego Radia, które zawsze miało bogate archiwa, ale nie wiedziało, co z nimi zrobić. Przecież od tego jest, ono ma misję, powinno, musi... ale jest leniwe. Może teraz w Polskim Radiu wezmą się do galopu? Lepiej późno niż wcale.

Jazz panią interesował, śpiewała pani z jazzmanami. Niewiele później przyszedł czas rocka. Ta estetyka nigdy pani nie pociągała?
– Rock osiągał swoją dominującą pozycję bardzo agresywnie, to była nawałnica. Nie miałam do niej dobrego stosunku. Nie widziałam w rocku wielkiej wartości. Być może dlatego, że w tej pierwszej fali niewielu było muzyków i autorów tekstów, którzy precyzyjnie realizowali swoje artystyczne myśli. Na ogół to była sieczka. Jednak powoli zaczynałam rozumieć, że rock też może być artystyczny i pełen wyrazu, że treść ma znaczenie.

Kiedy usłyszałam „Niewiele ci mogę dać" Perfectu, dotarło do mnie, że to piękna piosenka o miłości. W głosie Grzegorza Markowskiego i jego sposobie artykułowania dźwięku było coś ciekawego i oryginalnego. To był śpiew pełen wyrazu, męskiej, chropawej czułości.

Zaczęłam słuchać rocka, ale nigdy nie chciałam go śpiewać. Nie mam do tego gatunku głosu, padłabym przy tym. Ostatnio byłam na koncercie zespołu Lady Pank, poszłam z ciekawości. Jeśli rockowiec Panasewicz po czterdziestu paru latach tak śpiewa, to chyba ma struny głosowe z rzemienia. Wspaniałe było to, co usłyszałam, pełne głębi. Do tego Jan Borysewicz, naprawdę dobry kompozytor. Mają teraz w repertuarze nową piosenkę, którą sama chciałabym zaśpiewać, gdybym była w formie.

Kiedy Polska była krajem zamkniętym, pani jeździła z koncertami po całym świecie, najpierw z Mazowszem, potem solo. Nie kusiło pani nigdy, żeby tam gdzieś zostać, rozpocząć nowe, bardziej wygodne życie?
– Ciągle o tym rozmyślam. Koledzy z Mazowsza czasem zostawali za granicą, ale mnie to nie pociągało. Ładny był ten świat, często ładniejszy niż u nas – te wszystkie światła, tyle ludzi na ulicach, inny rodzaj życia, swoboda. Lubiłam spotykać Polaków na całym świecie, to mi zawsze sprawiało radość, ale chciałam wracać do domu. Czułam, że tu jest moje miejsce. Może dlatego, że urodziłam się na wsi i moje korzenie osadziły się w tej glebie.

Zatem nie musiała pani wykazywać się talentem aktorskim, żeby interpretować „Powrócisz tu"?
– Ta piosenka jest moja, śpiewam ją z przekonaniem. Niekoniecznie dlatego, że chcę wszystkich namawiać do powrotu do Polski. Nie! Bądźcie szczęśliwi, gdziekolwiek jesteście. Żyjcie, gdzie chcecie. Jeśli możecie, to mówcie po polsku, szanujcie polską kulturę, miejcie z nami kontakt, żebyśmy umieli się porozumieć w każdej ważnej sprawie. Przyjeżdżajcie do Ciechocinka i innych kurortów... Niektórzy potem wracają, wnosząc do naszego do życia elementy innych kultur, innego rozumienia świata, i to jest cenne.

Ktoś wrócił z emigracji pod wpływem impulsu, który wypłynął z „Powrócisz tu"?
– Dostałam sporo takich listów. Nie we wszystkie wierzę, ale nawet jeśli nikły procent tych opowieści jest prawdziwy, to mam poczucie, że... może popełniłam błąd? Może uznali, że ich namawiałam i teraz żałują? Może nie powinnam?

Nagrywając takie utwory, które dziś są pomnikami, jak chociażby „Embarras", czuła pani ich wagę?
– Ta piosenka niesie w sobie tyle informacji – poetyckich, nastrojowych, wrażeniowych – że należało je tylko odczytać i przekazać dalej. Nic więcej. Dostawałam listy, w których ludzie pisali, że poznali się, słuchając „Embarras", że ta piosenka grana była, kiedy się pobierali, albo że dzięki niej są szczęśliwym małżeństwem już od wielu lat. To największa nagroda. Nikt mi lepiej nie zapłaci. Warto budzić się rano z nadzieją, że się spotka taką piosenkę.

A to nie zdarza się codziennie.
– Autorzy „Embarras" Wasowski i Przybora produkowali – że tak się brzydko wyrażę – piosenki, które pomagały żyć każdemu z nas. Byli geniuszami. Umieli odczytywać to, co jest ludziom potrzebne duchowo.

Szpilman zaproponował, żebym zaśpiewała „Embarras" na pierwszym festiwalu w Sopocie. Zastrzegł jednak: „Jak na próbie pani to źle zaśpiewa, to odbiorę. Bo to bardzo ważna piosenka, napisana przez wspaniałego kompozytora". Kiedy jeden kompozytor, też wspaniały przecież, mówił tak o drugim, miało to swoją wagę.

FOT. LARISSA BALDOVIN

Zaczęłam słuchać rocka, ale nigdy nie chciałam go śpiewać. Nie mam do tego gatunku głosu, padłabym przy tym

Od razu wiedziała pani, że to utwór o sile zdolnej przetrwać pokolenia?
– Nie. „Embarras" był walczykiem. Barbara Krafftówna w „Kabarecie Starszych Panów" tak to śpiewała. Tymczasem ja, wtedy w gabinecie Szpilmana, ośmieliłam się powiedzieć: „Proszę pana, chciałabym, żeby to było takie szerokie". Zdziwił się. „Tak? Dobrze. Poślemy to do aranżera z taką informacją". Był nim Tadeusz Dobrzański, kompozytor z Krakowa. To ważne, bo aranżer jest czwartym filarem dzieła, obok kompozytora, autora tekstu i wykonawcy. Pan Tadeusz właściwie odczytał z „Embarass" wszystkie informacje zawarte w utworze. Skoro już dostałam taki materiał, jak inaczej miałam go zaśpiewać? Tylko tak.

Po raz pierwszy żegnała się pani ze sceną w 1991 roku. Dlaczego? Przecież rodziły się nowe możliwości, a pani była w świetnej formie.
– Przez lata musiałam dużo pracować, żeby zarobić na bułkę z masłem, i po prostu się zmęczyłam. Jestem osobą rzetelną i nie pozwoliłabym sobie wyjść na scenę, nie będąc w formie. Zrezygnowałam więc... na pięć lat. Musiałam odpocząć i od siebie, i od tego sposobu pracy. W PRL-u przecież nie było estrady w takim pojęciu, w jakim ona teraz istnieje. Artyści otoczeni są opieką, mają swoje wymagania. Ja nie mogłam się doprosić o lusterko. Nie marzyłam nawet o tym, żeby mieć w garderobie czajnik, nawet na grzałkę nie zawsze mogłam liczyć.

Była pani gwiazdą pokazywaną w telewizji, graną w radiu i jeździła pani na koncerty z grzałką w torebce?
– Tak. To były bardzo siermiężne czasy. Przyjeżdżaliśmy na koncert do jakiegoś miłego miasta, a tam w domu kultury często zimno, ciemno, wielokrotnie niepozamiatane. A jeśli zamiatano, to pół godziny przed koncertem, potem jeszcze ktoś mokrą szmatą przejeżdżał po scenie i kiedy zaczynał się występ, to wszystko zaczynało parować, unosząc drobinki kurzu. To była śmierć dla gardła. Nie mówię nawet o stronie technicznej, o nagłośnieniu, mikrofonach, ale gdybym nie miała tej grzałki i jeszcze swojego blaszanego kubka, nie byłoby kawy. A bez kawy nie ma koncertu.

Duży problem był też ze strojami. Szło się do Mody Polskiej po sukienkę. Krawcowe rozkładały ręce: „Nie mamy". Warto tam było mieć zaprzyjaźnioną panią Zosię albo Krysię, która czasem podpowiedziała: „Pani Irenko, szyjemy tutaj suknię dla jakiejś pani, która jest żoną dyplomaty, ze świetnego kuponiku i na pewno trochę zostanie". Dobra wola ludzi objawiała się w najbardziej niezwykłych momentach. Pani Zosia szyła mi tę sukienkę z materiału, który został po pani ambasadorowej, nie dlatego, że musiała to robić, ale dlatego, że jej zależało, żebym dobrze wyglądała na scenie.

Dzisiaj się takich relacji nie docenia, dzisiaj każdy jest osobny. Jeśli ktoś znajdzie rozwiązanie problemu, nie powie nikomu, bo nie chce, żeby ktokolwiek inny z tego korzystał. Nie mam już z tym światem, niestety, wiele wspólnego. Poza samym faktem, że w nim żyję – i oby jak najdłużej, bo mnie to interesuje.

Życie panią interesuje?
– Bardzo. Istnienie.

W jakiej formie go pani doświadcza?
– Chcę doświadczać wszystkiego naraz. Nie mogę pracować, bo już się do tego nie nadaję. Przyszedł czas, kiedy powiedziałam: „Było miło, ale było, dziękuję". Czegoś w życiu doświadczyłam, dobrego i złego, więc już teraz wiem, co jest najważniejsze.

Proszę podzielić się z nami tą wiedzą.
– Szczęśniak śpiewa: „Na ziemi jest o niebo lepiej" i to jest właśnie to. Gdzie byłoby mi lepiej? Istnienie jest wartością samą w sobie. Dzięki temu, że żyję, mogę się z panem spotkać i głupoty panu opowiadać, mogę patrzeć na te drzewka, mogę wąchać, zjeść, coś poczuć, coś usłyszeć. Wzrok mam zły, ale jestem jeszcze w stanie coś zobaczyć. Myślę, że ludziom, którzy mało w życiu doświadczyli, jest gorzej. Mają sokoli wzrok, węch znakomity, wszystkie zmysły sprawne, ale często mówią, że są nieszczęśliwi. Na litość boską! Ludzie nie doceniają faktu, że istnieją. Choć nikomu tego nie życzę, dopiero kiedy jest się na granicy śmierci i się z tego człowiek wywinie, wtedy wie.

To lekcja wyniesiona ze zmagań z chorobą nowotworową?
– Z natury jestem optymistką, zawsze potrafiłam się cieszyć, jak to się mówi, z byle czego. Ale pokory rzeczywiście nauczyła mnie choroba. Doświadczyłam jej i zrozumiałam, co jest ważne.

Na tej pani płycie nagranej z Ptaszynem znalazła się piosenka „Zapamiętać".
– „Zapamiętać ten czas, gdy budziło się w nas niewiadome/ Zapamiętać, jak dni zmieniał się kształt" [tu pani Irena śpiewa mi jej fragment]. O co pan chciał zapytać?

Nie jestem pewien, z jakim przesłaniem przychodzi do nas pani w tej piosence. Lepiej jest pamiętać czy nie pamiętać?
– Wszystko dobre zapamiętać, wszystko złe możliwie zapomnieć. ●

1 RP

eprasa.pl 35a35257f6

ADAM MICHNIK POLECA

W TYM KOŁCHOZIE *Ukraina* MIESZKAĆ NIE CHCE

Za Piotra I członkowie moskiewskiej klasy wyższej wciskali swe ciała w zachodnie żakiety, kichali od pudru z peruk. Tylko wódkę jeszcze pili i smagali chłopów knutem po staremu.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

• **„Bolszewik", obraz Borisa Kustodijewa (1878-1927), rok 1920**

Jarosław Bratkiewicz*

Pod koniec lutego 1917 roku przewodniczący Dumy Michaił Rodzianko depeszował w tonie alarmistycznym do cara Mikołaja II, przebywającego na froncie, że w Petersburgu zaogniają się protesty przeciw caratowi: „Wybija ostatnia godzina, rozstrzygająca o losie ojczyzny i dynastii". Car zbył tę depeszę sarkastycznym komentarzem: „Ten grubas Rodzianko znów wypisuje do mnie różne bzdury".

W tym samym z grubsza czasie Lenin nauczał: „Kto uznaje walkę klas, ten nie może nie uznawać wojen domowych".

•

Wojny domowe splatają się w jedność z rewolucjami społecznymi niczym dwie orbitujące wokół siebie gwiazdy (zjawisko nierzadkie w kosmosie). Rewolucje, chętnie przyrównywane do erupcji wulkanów, wcale nie wybuchają ni stąd ni zowąd, lecz są kulminacją procesu powolnych i przez to mało zauważalnych przeobrażeń socjoekonomicznych i politycznych.

Napędzał je, charakterystyczny dla ery nowożytnej, proces unowocześnienia w Europie, wraz z wyodrębnianiem się miast z ich własną strukturą socjoekonomiczną. Ta zaś kontrastowała z przedwiecznym sposobem funkcjonowania interioru wiejskiego, który legł u podłoża tysiącletnich cywilizacji agrarnych, poczynając od starożytnego Egiptu, Mezopotamii i Chin.

Rewolucja bolszewicka trwała przez dekady. Zelżała dopiero po śmierci Stalina

Miasta w Europie Zachodniej łożyskowały kapitalizm i napędzały uprzemysłowienie jako kluczowe właściwości modernizacji, wypierającej truchło ówczesnej ekonomiki wiejskiej z jej zsieciowaniem personalnego panowania i podporządkowania.

Ale i modernizacja rodziła różnice w obrębie tej samej wspólnoty językowo-etnicznej: odmienność w pojmowaniu świata i roli jednostki ludzkiej, kontrast przebojowości i wykształcenia jednostki wobec obskurantyzmu i inercyjnej podległości mas.

Dryf ku manifestowaniu przez dwie oddalające się społeczności, które ongiś stanowiły jednię narodowościową, wzajemnej obcości i odrębności separował je tym silniej. Z dawnej wspólnoty ostawał się tylko wspólny język, a cała sfera semiotyki, pospólność zna-

eprasa.pl 35a35257f6

ków i symboli pruła się i rozjeżdżała w przeciwnych kierunkach.

•

W Rosji powyższy proces rozpętał Piotr I, który - uświadomiwszy sobie zapóźnienie cywilizacyjne Rusi Moskiewskiej i klęski, jakie z tego tytułu dotąd ponosiła w starciach z państwami europejskimi - za cel sobie stawiał modernizowanie Rosji, w trzech bodaj aspektach: militarnym, administracyjnym i kulturalnym.

Była to kolejna rewolucja odgórna w Rosji, po tym jak moskiewska odnoga dynastii Rurykowiczów feudalną dotąd Ruś przeistoczyła w agrobiurokratyczną despocję, na wzór Złotej Ordy. Piotr z kolei podważył moskiewski agrobiurokratyzm („azjatyzm", „chińszczyznę", jak go wyszydzali rosyjscy okcydentaliści), upodabniając stosunki społeczno-polityczne do feudalizmu. W 1785 roku Katarzyna II uszlachciła dworianstwo, dawną „klasę służebną".

Perypetie historyczno-ustrojowe Rosji odbiegały zasadniczo od wzorców zachodnioeuropejskich. Podobnie zresztą jak dzieje Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Rewolucyjne reformy Piotra I i jego następców, zwłaszcza Piotra III i Katarzyny II, rozszczelniły imperium petersburskie na styku elit dworianskich i pospólstwa. Reformy te zburzyły harmonijny ład moskiewski, w którym zniewolone przez carat, tyrające na roli i w prymitywnym wyrobnictwie masy ludowe, traktowały dworian jako „klasę służebną", którą tenże carat przytroczył do tronu pańszczyźnianą powinnością służby urzędniczej i wojskowej.

Zrównanie w poddańczości względem cara zapewniało zaharowanemu pospólstwu pewien komfort socjokulturowy, który prysł, kiedy Piotr I i jego sukcesorzy wydźwignęli dworian do roli dziedziców, przekazując im na własność areały uprawne i pańszczyźniany dozór nad chłopem, który dotąd należał wyłącznie do samodzierżcy. Lud wiejski uznał to za nieprawość, podejrzewając, że awansując dworianstwo, car-ojczulek musiał był dać wolność i ziemię masom mużyckim, tylko dworianie to zataili.

•

W wieku XVIII rozgorzał więc w Rosji konflikt socjokulturowy, który na co dzień tlił się dogłębną wrogością między chłopami a stanem dworianskim, okresowo eskalując do stanu wojny domowej. A za przejawy takowej uznać należy powstania chłopskie, w rodzaju rebelii pod wodzą Jemieljana Pugaczowa.

Już u zarania Rosji mużyckie mrowie rzucono na kolana ociosanym topornie bizantynizmem, z jego kultem cezariańskim i powszechnym poddaństwem, a kopyta konnicy mongolskiej udeptały to do realiów zbiorowej niewoli pospólstwa. Z kolei dworian car Rusi Moskiewskiej upańszczyźnił nakazem służby w interesie korony (czapki Monomacha). Wykształceniem, ubiorem i obyciem dworianie epoki moskiewskiej niezbyt różnili się od prostego ludu.

Dopiero gry Piotr I zaczął przymuszać dworian do nauki i ukulturalniania się na ład europejski w zamian za przywileje szlacheckie, przez kolejne 200 lat, aż do 1917 roku, dworianstwo zaczęło się szybko wyosabniać jako nobilitet, wciskało swe ciała w zachodnie żakiety i kuloty, kichało od pudru z peruk, gdakało po francusku. Tylko jeszcze wódkę piło oraz smagało chłopów knutem w sposób staromoskiewski.

Łapczywie egzekwując prawa właścicieli ziem i poddanych im chłopów, których sprzedawali i kupowali niczym czarnoskórych niewolników w Ameryce, dworianie przeistaczali się w oczach mużyckich w oprawców i dusigroszy, którzy zaprzedali dusze innowierczym „fałszywym prorokom", a ubiorem i manierami upodabniali się do hufców antychrysta.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

• **Chłopi rosyjscy, zdjęcie z końca XIX wieku**

Wykształceniem, ubiorem i obyciem moskiewscy dworianie niezbyt różnili się od prostego ludu

W efekcie, jak pisał Jerzy Plechanow, stan „szlachecki" ewoluował „w kierunku Zachodu, podczas gdy położenie społeczne »pospólstwa« zmierzało w kierunku wręcz przeciwnym - w kierunku Wschodu. (...) I tu właśnie kryła się najgłębsza społeczna przyczyna wytworzenia się (...) przepaści między ludem a mniej lub bardziej oświeconą socjetą. (...)

Reforma Piotra, która zbliżyła do Zachodu stan wyższy i oddaliła od Zachodu stan niższy, spotęgowała przez to nieufność ludu do wszystkiego, co docierało stamtąd do Rosji. Była to nieufność do cudzoziemca pomnożona przez nieufność do wyzyskiwacza".

Odtąd w Rosji współistniały dwie separujące się od siebie kultury, skazane wszelako na codzienne interakcje: w cerkwi, w polu, w koszarach. I zarazem gardzące sobą i nienawidzące się: ludowa, eurazjatycka, moskiewska versus arystokratyczna, proeuropejska, petersburska.

Podminowane cywilizacyjnie imperium, w którym tliło się zarzewie kolejnych buntów ludowych („bestialskich i bezmyślnych", wedle słów Puszkina), aż prosiło się o to, żeby radykałowie z różnych sodalicji światoburczych testowali na jego gruncie swoje patenty na rewolucję.

Spisek dworianskich dekabrystów, kierując się iście szlacheckim duchem wolnościowym, przegrał starcie z caratem przy całkowitej obojętności tłumu; podobnie się stało z nihilizującymi narodowolcami. Dopiero Lenin i bolszewicy skutecznie poswatali wielki ludowy żywioł buntarski [buntowniczy] z miejskim zamachem stanu na wzór dekabrystowski.

•

Rosja początków XX wieku pod względem społeczno-ekonomicznym pstrzyła się niczym rozsypanka, tyle że obramowana stalową obręczą samodzierżawia. Wedle słów filozofa Nikołaja Bierdiajewa średniowiecze koegzystowało w imperium rosyjskim z nowoczesnością. Bo na olbrzymich przestrzeniach, z lichymi drogami i kiepską łącznością, chłopstwo bytowało jak za dziada pradziada (nie mówiąc już o ludach Syberii, wegetujących w prehistorii) i tylko niczym pojedyncze wyspy industrialnej nowoczesności wyjawiały się Petersburg, Moskwa, Jekaterynburg, Tuła, Donbas.

Klasa robotnicza w Rosji stanowiła ledwie 1 procent ogółu ludności, liczba przemysłowych kapitalistów sytuowała się na poziomie ułamków promila. Mieszczaństwo w Rosji, podobnie jak w dawnej Rzeczypospolitej, było nieliczne i słabe, żadną więc miarą nie równało się zachodnioeuropejskiej burżuazji.

Atoli jako zaprzysięgły doktryner Włodzimierz Lenin dokładał starań, żeby pokrętnością dialektyki wykuglować w swych pismach walkę klasową robotników z burżuazją jako główną determinantę życia społeczno-politycznego w ówczesnej Rosji.

W latach 1917-18 rewolucyjne walki w Petersburgu i innych miastach, dzięki agitacji i propagandzie bolszewików, przesłoniły bezprecedensową w swej skali rabację chłopską w głębi Rosji, gdzie ludowa kultura eurazjatycka, moskiewska, zmagała się na śmierć i życie z kulturą petersburską. W zrewolucjonizowanych miastach zresztą też hulał duch antyelitarny i rozbrzmiewał zew do porachunków: „precz z bogaczami i inteligencją!".

W Petersburgu podczas szturmu Pałacu Zimowego, usakralizowanego jako „wielka socjalistyczna rewolucja październikowa", zginęło sześć osób; na polach wojny domowej w interiorze rosyjskim śmierć poniosło ok. 2 milionów ludzi, a terror zgładził kolejny milion; notabene niektórzy badacze, w tym rosyjscy, sumują liczbę ofiar jako znacznie wyższą.

•

W konflikcie cywilnym stroną opowiadająca się za nowoczesną, europejską Rosją byli białogwardziści, Armia Ochotnicza. Inspirowała ich nie tyle imperialna Wszechrosja, ile Republika Rosyjska, istniejąca kilka miesięcy w 1917 roku od obalenia monarchii w lutym do październikowego przewrotu bolszewickiego; Biali dążyli do przywrócenia Konstytuanty, rozpędzonej przez bolszewików.

Biała Gwardia rozlokowała się na rozległych obrzeżach kraju: głównie agrarnych, słabo zaludnionych i uprzemysłowionych, z marną infrastrukturą komunikacyjną. Powstały cztery ośrodki polityczno-wojskowe jej koncentracji: Syberia, Południe (tereny między Morzem Czarnym a Kaspijskim), Północ (obszar wokół Murmańska i Archangielska) i Północny Zachód (strefa przyległa do Estonii).

Bolszewicy zaś kontrolowali centralny europejski zrąb Rosji, gdzie znajdowały się największe ośrodki przemysłowe i mieszkała większość ludności rosyjskiej. Zmilitaryzowali podległy obszar i wprowadzili tam drakońską dyscyplinę, nad którą stróżowała miotła „czerwonego terroru" (i latający na niej „żelazny" Feliks Dzierżyński).

W efekcie Armia Czerwona zasilana była na bieżąco uzbrojeniem i amunicją oraz rezerwami ludzkimi. I choć stanowiła pod względem morale czerwonoarmistów i kompetencji kadry dowódczej bieda-armię, uzbrojony motłoch, to terror wprowadzony w jej szeregach przez Trockiego pozwalał - przy przewadze liczebnej i lepszym uzbrojeniu - stawiać czoła Białej Armii.

Biali wystawili znacznie mniejsze niż Czerwoni siły zbrojne, składające się z ochotniczych oddziałów skompletowanych głównie z oficerów i podchorążych. Zasilali je rezerwiści ze środowisk dworianskich i inteligenckich, a także kozackich, ale Kozacy byli krnąbrni i skorzy do nieregulaminowej junakierii.

W 1919 roku Biała Armia podjęła ofensywy na Moskwę i Petersburg, tyle że słabo skoordynowane. A nade wszystko, mimo poczynionego postępu, Biali wytracili niebawem impet wskutek niedoboru rezerw ludzkich i zbrojeniowych, a także szerzącej się probolszewickiej zdrady we własnych szeregach.

Na początku 1920 roku Czerwoni przejęli inicjatywę strategiczną i tylko gdy wojna polsko-sowiecka zmobilizowała wszystkie po-

***Jarosław Bratkiewicz**

• - ur. w 1955 r., politolog, były dyplomata, publicysta. Absolwent MGIMO. Działał w podziemnej „Solidarności". Od 1992 r. w MSZ, w latach 1996-2001 ambasador na Łotwie, 2010-15 - dyrektor polityczny ministerstwa. Tekst napisany w ramach jego cyklu „Wojny domowe: dwie i pół". Tytuł - „Wyborcza".

eprasa.pl 35a35257f6

ważne siły bolszewickie na zachodzie Rosji, dało to Białym kilka miesięcy wytchnienia. Jednak los Białej Armii przesądziła jej klęska na Krymie pod koniec 1920 roku.

●

Rewolucja i wojna domowa w Rosji rozkiełznała też etniczny ferwor, i narodowości o historycznych korzeniach, jak Polacy, Finowie, Bałtowie, Gruzini, zbrojnie się separowały od Rosji jako niepodległe państwa. W tym kręgu znaleźli się też Ukraińcy, jednak ich wielowiekowa segmentacja, zwłaszcza odosobnienie Ukrainy Zachodniej podległej wpływom europejskim, powodowała, że łatwo ją kawałkowały i rozszarpywały siły skonfliktowane: rozmaici ukraińscy narodowcy, bolszewicy, białogwardziści, anarchiści, wreszcie interwencja zewnętrzna, głównie polska. Wojna domowa najbardziej się chyba zbrutalizowała na Ukrainie.

Z wojny domowej wyłonił się Związek Radziecki, z nadania Lenina, wyniańczony wszelako przez Stalina. Który w ścisłym kręgu bolszewickim uchodził za krajowca, niechętnie popatrującego na bolszewików z emigracji, nierzadko żydowskiego pochodzenia. Oni też, obok liczniejszej o wiele kategorii niedobitków Rosji petersburskiej: dworian, inteligencji, zamożnych chłopów itd., stali się w latach 30. i następnych ofiarą czystek i masowych egzekucji. Rewolucja bolszewicka trwała w najlepsze i zelżała dopiero po śmierci Stalina.

Jednym z socjokonstruktywistycznych posunięć bolszewii, prócz kasacji własności prywatnej i wprowadzenia „dyktatury proletariatu", czyli rządów autokratycznych, było wykreowanie sowieckich republik narodowych, które jako państwa nominalnie niepodległe weszły w skład ZSRR.

Rozwiązaniu takiemu przeciwstawił się Stalin, opowiadający się za unitarnym imperium sowieckim, ale obsztorcował go Lenin, który w związkowej formie państwa sowieckiego widział prefigurację Światowej Republiki Sowietów. Z kolei Stalin przy wytyczaniu granic republik sowieckich zadbał o to, aby żadna z nich nie miała monoetnicznego charakteru, lecz by zasiedlały ją także mniejszości narodowe, zwłaszcza Rosjanie.

Powstanie republik narodowych zenergetyzowało proces narodotwórczy wśród Ukraińców, a także Białorusinów, w czasach carskich traktowanych jako grupy gwarowe na peryferiach rosyjskiej ekumeny. Lenin, Stalin i Chruszczow po kolei modelowali kształt terytorialny sowieckiej Ukrainy. W efekcie we wschodniej i południowej części Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej znalazł się pokaźny odsetek ludności rosyjskiej. A na Białorusi żywioł rosyjskojęzyczny zaczął wręcz dominować. Wszystko to miało wspierać mit o nierozdzielności trzech gałęzi „pnia ruskiego".

Czyniąc użytek z tego mitu, Aleksander Sołżenicyn w czasie, gdy upadał ZSRR, oponował przeciw „okrutnemu rozbratowi" Rosji, Ukrainy i Białorusi i apelował o trójjednię wschodniosłowiańską. 30 lat później w swej elukubracji na temat Rosjan i Ukraińców Władimir Putin utrzymywał, że łączy ich „wspólnota narodu, który w istocie zawsze czuł się zjednoczony. (...) Stanowimy jeden naród".

●

Paradoks - 100 lat temu rewolucja i wojna domowa w Rosji pobudziła aspiracje wyzwoleńcze Polaków, Finów, Bałtów, Ukraińców, Gruzinów. A przez kolejne przypływy i fluktuacje rewolucji rosyjskiej nawarstwiały się na niej kumulacje nowego imperializmu rosyjskiego, który ukostiumowano po sowiecku. Zresztą na długo przed bolszewizmem, już w 1839 roku, markiz de Custine podpatrzył w Rosji, że imperialne racje caratu motywują się właśnie jaźnią rewolucyjną.

Toczący się obecnie konflikt między Ukrainą a Rosją bywa postrzegany na Kremlu jako wojna domowa, która pruje ekumenę zwaną russkij mir. Aliści nie tak się rzeczy mają. Rewolucja sowietyzacyjna kapcaniała przez kolejne dekady, a protezy sowieckiego mesjanizmu i imperialnej ambicji coraz bardziej zawodziły. A zapaścią swą sowietyzm, niczym w 1917 roku, zwolnił z potrzasku siły narodotwórcze na rubieżach imperium, w tym zwłaszcza na Ukrainie.

Na koniec dygresja. Od zarania ZSRR problem mieszkaniowy w miastach miały załatwić komunałki, czyli komunalne mieszkania wielorodzinne, gdzie w niebywałej ciasnocie lokatorzy często handryczyli się, podsłuchiwali i donosili na siebie, podkradali sobie żywność we wspólnej kuchni i w ogóle warcholili.

Znane porzekadło mówi, że ZSRR nie był więzieniem narodów, lecz komunałką narodów. Z niej właśnie Ukraina wyprowadza się na dobre. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Jurij Andruchowycz*

XVI

W Święta w Ukrainie dzieją się rzeczy
potajemne i wieczne. Powiedzmy, że księżyc
okazuje się zbędny, wigilijny wieczór
nie przechodzi w noc, nad którą już senne

wiszą cherubiny, lecz w taką noc jak morze,
po którym, kiedy już góry przebyli,
we trzech wiosłują wędrowni królowie,
by ledwo zdążyć na czas do Maryi.

To nie oznacza, że wszystko daremne,
przepowiednie i znaki nadal są wypukłe.
Oprócz tego, że zimno i że ciemno,
cud wciąż się spełnia – powiedzmy, że w Dukli.

Podobnie jak zjawienie się komety,
gwiazdy, co ich prowadziła i pasła
pastuszków, jagnięta, wszystkie rzeczy –
spełniają się: Józef, jaskinia, jasła

i spełnia się kolęda, i siano, i świeczka.
Lecz tylko pośród marionetek w skrzyni,
do której dostęp jest przez wieczko,
bo naprawdę nie ma żadnej jaskini,

a tylko ja jestem gotów przynieść dary.
Choć dziurawe w kieszeniach, bure niebo.
Tu dybią na mnie witryny i bramy.
Trzeba wracać, może wnet skona Herod.

***Jurij Andruchowycz** - ur. w 1960 r., czołowy ukraiński poeta, prozaik, eseista i tłumacz. Wiersz za: Andruchowycz, „Listy do Ukrainy", przeł. Tomasz Różycki, Wydawnictwo a5, Kraków 2025.

Jestem rozczarowany

Sobą, światem, życiem, ideami, książkami, tysiącem innych ludzi i rzeczy

Jarosław Mikołajewski

Rozczarowanie światem nie polega na tym, że zdradza nas jakaś idea, jedna czy druga. Zdradza nas całe życie. Wszystko, co budowało nasz świat, kiedy byliśmy w nim naprawdę, duszą i ciałem.

Kiedy po to, by wyrazić pogląd, nie dystansowaliśmy się do niego, do siebie, tylko cali byliśmy tym poglądem, opinią o świecie, a język naturalny był naszym językiem, poezją źródeł, które odkrywaliśmy w sobie co krok, żyjąc życiem, mówiąc mową, patrząc patrzeniem i spełnionym widzeniem.

Dlaczego dziś, na przełomie roku 2025 i 2026, mówię o rozczarowaniu – łatwo to chyba zrozumieć, słuchając wypowiedzi prezydenta potężnego kraju o mordowanych ludziach innej społeczności, tolerując obecność na tej samej arenie ustroju i współistnienia (bo to arena jest dzisiaj światem, a świat areną) potwora przemocy i gwałtu, trwając w zadziwieniu tym, jak złodzieje minionych okazji wyrzucają dziś innym próbę porządkowania po czasie ich podłych harców...

Stawiam wielokropek, bo temu przecież nie koniec. Rozczarowanie światem to również – przede wszystkim – utrata ludzi i nawarstwiająca się świadomość, że prawda śmierci szydzi z naszej potrzeby trwałości, prawda choroby – z radości bycia silnym na miarę wyobrażonych radości, dość wypoczętym, by doświadczać świeżo i mocno.

Ale i to jeszcze nie dość, skoro czytanie ulega czytelnictwu, książka rankingom, próba odpowiedzi próbie pytania, krótkość – długości, bezbrzeżność – graniczności. Ale najgorszym symptomem i najgorszą racją rozczarowania światem jest śmierć poezji. „Jak to: śmierć poezji!?", zakrzykną ci, którzy poezję utożsamiają z wierszem lub książką poetycką. „Ano tak", odpowiadam, i już tłumaczę o co mi chodzi.

Kiedy powstawał świat, czyli kiedy oczy i czucie obrastały w obraz domu, który byliśmy w stanie uznać za nasz, powstawała także poezja. Pierwsze nazwanie, pierwsza forma. „Mama", „tata", „oko", potem „mniam" i „boli".

I nieśliśmy w sobie światło tej poezji aż do chwili, gdy zauważyliśmy, że z poziomu bezpośredniego nazywania prawdy musimy czasem (tak właśnie: okazjonalnie) przemieszczać się na poziom sztuczny – tam, gdzie gubi się pewność, że to, co powiedziane, nie zabija sensu.

Ale wciąż na tamtym poziomie – prajęzyka – kształtowały się w nas marzenia o przyjaźni, miłości, porozumieniu. A kiedy tylko zmuszeni byliśmy przejść z naturalnej mowy na poziom skolaudowanych formuł, gubiła się przyjaźń ze sobą samym i światem.

Aż do chwili, w której – jak ja dzisiaj – odczuwamy, że nic nie jest już wprost, najszczersze, najczystsze. Ani instynkt, by zawsze stawać po stronie krzywdzonych, ani potrzeba wyrażenia tęsknot poprzez przytulenie, wyznanie.

Nawet samobójstwo nie jest czystym aktem najdenniejszej rozpaczy, skoro podlega ocenie i towarzyskim dyskusjom w rodzaju „tchórzostwo czy odwaga?".

Tak właśnie: jestem rozczarowany. Sobą, światem, życiem, ideami, książkami, tysiącem innych ludzi i rzeczy.

Lecz żyją we mnie chwile, w których moje życie spotyka się z przeżyciem. Chwile nienazwane, niepoddane intelektualnej powinności, czy kulturowym nawykom. Chwile czystej medytacji, zasłuchania, zaczytania, zatracenia w rozmowie, zapatrzenia, zadumania. Nie ratują one świata na zewnątrz, ale na chwilę, której nawet nie potrafimy zmierzyć, ratują świat w nas.

Jaki jest potem los tych uratowanych światów – tego nikt sobie nawet nie umie wyobrazić. Budują piękne światy? Degenerują w chimery?

Pisanie felietonu jednak nie jest tą chwilą. Jest chwilą buntu, zawodu, jęku, zasmucenia. Któremu właśnie – jak tęsknocie za prachwilą poezji – teraz daję wyraz.

Trudno. Jest trudno. ●

eprasa.pl 35a35257f6

ALE HISTORIA

Zawsze PRZY NIM BYŁA

Kiedyś weszła do łazienki, Charles siedział w wannie.

„O, Boże!" – krzyknęła zaskoczona.

„Ależ moja droga, gdy jesteśmy sami, możesz mi mówić po imieniu" – powiedział poważnie.

Dorota Ronge-Juszczyk

1 RP

eprasa.pl 35a35257f6

Bo to nie prawda, że de Gaulle nie miał poczucia humoru. Lubił się śmiać, lecz w polityce rzadko miał z czego. Toteż gdy codziennie po południu pili w salonie herbatkę – Yvonne z nieodłączną robótką w ręce, Charles z kartami do pasjansa – unikali rozmów o polityce. Zresztą on przez całe życie powtarzał, że kobiety na polityce się nie znają, więc lepiej, żeby milczały.

Ona się nie zna na polityce? Ona? Po tym wszystkim, co z nim przeszła?

Choć w 1921 roku wychodziła wcale nie za polityka, tylko za żołnierza.

Poznali się na balu w Calais. Był od niej starszy o dziesięć lat i wyższy o 40 centymetrów, „ale przecież, kiedy założy szpilki, to będzie tylko 35 – pomyślała. – Wprawdzie ma nieco odstające uszy i duży nos, lecz jego usta są tak zmysłowe, a spojrzenie tak przenikliwe...”.

Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera.

TEN ALBO ŻADEN

Urodził się w 1890 roku w Lille w zubożałej szlacheckiej rodzinie. Ojciec Henri de Gaulle utrzymywał żonę i pięcioro dzieci z pensji profesora jezuickich szkół. Nie opowiadał im bajek, tylko uczył historii i miłości do Francji. Chłopcy bawili się czasem w wojnę, Charles zawsze stał wtedy na czele armii francuskiej, która musiała zwyciężyć. Dużo czytał i pisał, lubił poezję; Goethego recytował z pamięci po francusku i w oryginale. „Po co? Po prostu brak mu zdrowego rozsądku” – denerwował się Henry.

Uspokoił się, gdy syn wstąpił do szkoły wojskowej Saint-Cyr. Nazywali go tam Karolem Wielkim. Świetnie się uczył, a kiedy w 1914 roku wybuchła wojna, walczył pod Verdun, był ciężko ranny. Oficjalnie uznano go za zmarłego i pośmiertnie odznaczono Legią Honorową, ocknął się w niemieckim szpitalu, skąd na prawie trzy lata trafił do niemieckiego obozu. Pięć razy próbował uciec. „Jestem pogrzebany za życia” – powiedział po powrocie do domu w 1918 roku. Miał niedosyt wojaczki i zaciągnął się do 5. Pułku Strzelców Polskich, który był częścią Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera. W latach 1919-1921 z Francuską Misją Wojskową był w Polsce. Za udział w wojnie z bolszewikami otrzymał Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari.

Dwudziestoletnia Yvonne, osoba religijna, była córką Jacques’a Vendroux, bogatego przemysłowca, armatora i szanowanego mera Calais. W czasie wojny utrzymywał szpital, a jego żona zajmowała się rannymi. Yvonne znała języki, potrafiła konwersować, grać na pianinie i doskonale gotować. Nie była wydelikaconą panienką, raczej odważną i zdecydowaną – uśmiechała się tylko do ludzi, którzy byli inteligentni i dobrze wychowani.

Po balu w Calais młodzi spotkali się jeszcze w muzeum w Paryżu, w obecności rodziny, aż kapitan de Gaulle zaprosił mademoiselle Vendroux do Wersalu na bal organizowany przez szkołę Saint-Cyr. W domu zadbano, by wyglądała olśniewająco.

„Spełniłaś wszystkie moje oczekiwania... taka słodka, inteligentna i spontaniczna, taka pewna siebie...i taka śliczna” – kapitan był tak zakochany, że kiedy kończyła mu się dwutygodniowa przepustka, oświadczył się, a ona powiedziała rodzicom, że „ten albo żaden.”

Charles de Gaulle nie był obojętny na wdzięki kobiet – opowie po latach jego syn Philippe, lecz nade wszystko cenił ich inteligencję. Sam generał przyznał kiedyś w gronie męskim, że w młodości, kiedy wychodził na przepustkę w Paryżu, jego drogi często krzyżowały się z drogami Philippe’a Pétaina, znanego kobieciarza. Zdarzyło się nawet, że z sypialni pewnej damy de Gaulle musiał uciekać przez okno ze spodniami w garści.

W Polsce nie tylko smakował pączki u Bliklego, bywał też na salonach. Wysoki, z ujmującym uśmiechem, recytowanymi po francusku wierszami czarował polskie hrabiny i w tajnym karneciku upamiętnił ich nazwiska: Czetwertyńska, Korzeniowska, Strumiłło.

DELIKATNY, CIERPLIWY. I TAKI MĄDRY!

Po ślubie w 1921 roku Yvonne i Charles zamieszkali w Paryżu w małym mieszkanku bez bieżącej wody. Nie przerażało jej życie z wojskowym ani konieczność zaciskania pasa, żeby wyżyć z jego żołdu. On oszczędzał, jeżdżąc drugą klasą metra, ale tylko, gdy nie był w mundurze. Ona zapisywała wszystkie wydatki. Wspierali ich finansowo rodzice Vendroux, a gdy urodziły się dzieci – najpierw syn (Charles uparł się, by być przy porodzie), potem dwie córki – opłacali gosposię, choć Yvonne i tak sama gotowała, gdyż jej mąż zasługiwał na wszystko, co najlepsze. Postanowiła być doskonałą panią domu i ze wszystkim radzić sobie sama, mąż nie miał cierpliwości do domowych spraw. Najważniejsze, że są razem, że „on jest taki ostrożny, delikatny, cierpliwy. I taki mądry!”.

Lubiła słuchać, kiedy coś opowiadał, na ogół dotyczyło to wojskowości, albo czytał jej swoje artykuły: „Przygotowanie do wojny oznacza przygotowanie dowódców. (...) Przyszłość całego narodu, całej cywilizacji zależą od cech jego charakteru, od jego wiedzy i intelektu”.

On z pewnością będzie kiedyś wybitnym dowódcą, więc ona zrobi wszystko, by mógł spokojnie pracować, pisać, analizować, rozmyślać. „Moja siostra ustawiła się na drugim planie – wspominał jej ukochany brat Jacques – na pierwszym był mąż, z którego była dumna i od początku uważała za wielkiego człowieka przeznaczonego do wielkich czynów”.

Yvonne dziwiła się, że w sztabie generalnym nie słuchali Charles’a, gdy mówił o znaczeniu czołgów na polu bitwy w „przyszłym konflikcie”. W Wyższej Szkole Wojskowej uważali go za pyszałka. Doceniali jego inteligencję i wiedzę, ale pouczali, że „dobre rezultaty osiągnie, jeśli będzie przyjmować do wiadomości uwagi nauczycieli”. Dlaczego miałby słuchać cudzych uwag, skoro wie, że ma rację? – oburzała się Yvonne.

NIE WYSTARCZY GO KOCHAĆ...

Zawsze była przy nim. Gdziekolwiek go wysłano, do Metzu, Trewiru czy Libanu, pakowała dzieci i bez słowa sprzeciwu podążała za mężem. Pocieszała, gdy popadł w konflikt ze swym dowódcą spod Verdun Philippe’em Pétainem, a potem niemal ze wszystkimi, kiedy wydał książkę „Ku armii zawodowej”, co było wbrew francuskiej doktrynie wojskowej. „Jego nie wystarczy kochać, trzeba go jeszcze rozumieć” – powtarzała najbliższym.

Pisał do niej codziennie, zawsze, ilekroć musiał wyjechać sam. Nikt poza Yvonne nie wiedział, jak bardzo ten zasadniczy i poważny mężczyzna łagodnieje, kiedy są tylko we dwoje, z jaką czułością się do niej zwraca, do jakiej tkliwości jest zdolny albo jak potrafi zajmować się dziećmi, zwłaszcza Anne. Śpiewa dla niej, tańczy, dużo opowiada i rozmawia, „szanowna pani, jaka piękna sukienka”. Urodzona w 1928 roku dziewczynka miała zespół Downa. Yvonne próbowała się z tym pogodzić... skoro Bóg tak chciał. „Będzie zawsze i wszędzie z nami. Otoczymy ją miłością, największą, do jakiej jesteśmy zdolni” – Charles rozumiał, że obie do końca życia trzeba będzie otaczać szczególną opieką.

Podobnie jak córkę Elisabeth. Gdy się urodziła, ze wzruszenia napisał dla niej wiersz. Najbardziej surowy i wymagający był wobec Philippe’a. Yvonne musiała czasami zwracać mu uwagę, by nie faworyzował tak dziewczynek, bo syn może się czuć pokrzywdzony.

Charles de Gaulle kochał swoją rodzinę, lecz wszyscy mieli rywalkę, którą trudno było pokonać – Francję.

MUSZĘ RATOWAĆ FRANCJĘ!

W czerwcu 1940 roku pokonały ją Niemcy, z czym nigdy się nie pogodził. „Walka trwa – pisał z frontu. – Całuję Cię, moja najdroższa żonko, całym mym kochającym sercem. Trzeba ocalić Francję. I tylko to jest teraz ważne”. Nie powiadamiając jej, wyjechał do Londynu, skąd 18 czerwca 1940 wygłosił w BBC słynny apel do rodaków, by kontynuowali walkę o wyzwolenie ojczyzny. Sąd rządu Vichy go za to zdegradował i skazał na karę śmierci.

Niemal w ostatniej chwili z Francji zdołała uciec również Yvonne z dziećmi. W Anglii z gazety się dowiedziała, że „niejaki de Gaulle, francuski generał, wygłosił apel o niezaprzestanie walk”. Więc jest tutaj – odetchnęła. Odnalazła go z pomocą brytyjskiej policji. Ucieszył się, że ich widzi, ale nie pytał, jak tu dotarli, co się z nimi działo, tylko chłodnym głosem oświadczył, że ktoś musi wziąć odpowiedzialność za honor Francji i że właśnie założył Komitet Wolnej Francji.

Pomyślała, że jej mąż oszalał. Sam wśród Anglików, którzy od wieków byli ich wrogami, chce ratować Francję?

Wynajęli dom, Charles dużo pracował, Elisabeth była na pensji, Philippe w szkole marynarki wojennej, Yvonne została z Anne i jej opiekunką. Gotowała, sprzątała, stała w kolejkach po żywność na kartki, szyła, dziergała i rozmyślała, czy nie powinna wstąpić do Wolnych Francuzów jak tyle innych kobiet. Londyńczycy nazywali je „pannami de Gaulle”.

A jeśli Charles z którąś z nich... Nie, to niemożliwe. On nigdy nie złamałby przysięgi małżeńskiej.

ŻADNA BURZA NIE TRWA WIECZNIE

Często wyjeżdżał do Afryki, nie mówiąc po co, bo wszystko było tajne. Z gazety się dowiedziała, że do jej męża strzelało w Dakarze francuskie wojsko, wciąż wierne rządowi Vichy. Martwiła się, że kiedyś go zabiją. Atakowała go też brytyjska prasa. „Nie możemy ryzykować wolności dla garstki ludzi” – dziennikarze upominali rząd Winstona Churchilla, który finansował Komitet Wolnej Francji. Garstka ludzi? Były ich już dziesiątki tysięcy, każdego dnia przychodzili nowi. Zgłaszali się nawet rodacy z okupowanego kraju słuchający potajemnie BBC.

wByła z niego dumna. Churchill chciał, by Anglicy poznali wodza Wolnych Francuzów i jego rodzinę, więc małżonkowie zapozowali do sesji zdjęciowej. Nie mieli na to ochoty, ale też wyboru. Ona w skromnej sukience gotowała, grała na pianinie, on w mundurze patrzył na nią czule. Brytyjczycy wpadli w zachwyt. Do Komitetu Wolnej Francji zaczęły napływać dary: wartościowe przedmioty, klejnoty, pieniądze i słowa wsparcia. A sąsiedzi przestali ją postrzegać jako żonę tego aroganckiego, męczącego generała, który zatruwa życie Churchillowi i żyje na koszt Anglików.

Oboje byli coraz bardziej zmęczeni, on bywał agresywny, dla niej były to lata samotności opromienianej listami z Afryki. Jeździł tam, by zjednać sobie wojsko z zamorskich terytoriów Francji: „Moja najdroższa, kochana żoneczko, chcę Cię zapewnić o swojej głębokiej miłości. (...) Całuję Cię z całego serca, moja najdroższa, moja przyjaciółko, dobra i dzielna towarzyszko w wędrówce przez zawieruchę życia. (...) Kocham Cię i podczas tej trudnej misji, która została mi powierzona, często myślę o Tobie”.

CZŁOWIEK, KTÓRY WKURZAŁ ROOSEVELTA

Potrzebował jej wsparcia, rozmowy, wysłuchania i w Anglii, i w Algierii, dokąd przeniósł swój sztab. Przez cztery lata walki o Francję widziała, jak zmagał się też z aliantami, którzy chcieli go wyeliminować z gry o pokój. Prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin D. Roosevelt go nie znosił, lekceważył, nazywał chorym z pychy dyktatorem i kapryśną Lady de Gaulle. Zamierzał po wojnie pozbawić Francję statusu mocarstwa i poddać amerykańskiej administracji wojskowej. Amerykańskie gazety pisały, że przywódca Wolnych Francuzów nie ma poparcia wśród rodaków i przyjął od Stalina sto milionów franków na fałszywą propagandę. Roosevelt usiłował narzucić Wolnym Francuzom nowego, posłusznego mu dowódcę, ale żołnierze de Gaulle’a na to nie pozwolili. Generała nie zaproszono do Teheranu i Jałty i nie poinformowano o dacie lądowania wojsk alianckich w Normandii. Armia Wolnych Francuzów liczyła już wtedy ponad milion żołnierzy.

W sierpniu 1944 roku Paryż został wyzwolony przez wojska alianckie, żołnierzy francuskiego ruchu oporu i Wolnych Francuzów. Wkrótce powołano Tymczasowy Rząd Republiki Francuskiej z Charles’em de Gaulle’em na czele.

Rząd zaczął od wprowadzenia ubezpieczenia społecznego dla wszystkich i przyznania kobietom prawa głosu w wyborach.

Kraj był zrujnowany. La Boisserie – ich dom w Colombey-les-Deux-Eglises – również. Yvonne sama zajęła się jego remontem, mąż remontował Francję. Wynajęli dom i za wszystko skrupulatnie płacili. Do dyspozycji mieli cadillaca, prezent od gen. Eisenhowera, i czterdzieści tysięcy franków na prowadzenie domu. Gospodarowała oszczędnie, zbierała rachunki i pilnowała, by oddzielać wydatki prywatne od państwowych.

MIĘDZY RODZINĄ I POLITYKĄ

Przestali być anonimową rodziną, czyhali na nich dziennikarze i przeciwnicy polityczni. Była żoną człowieka, od którego naród oczekiwał natychmiast powojennego cudu, a tymczasem szalała inflacja, wszystkiego brakowało, panował głód.

Albert Camus pisał: „niemota de Gaulle”, a ministrowie w rządzie ulepionym z różnych ugrupowań bez przerwy się kłócili. Partie pilnowały swoich interesów,

◀ **Charles de Gaulle, przywódca Wolnych Francuzów, z żoną Yvonne w Londynie w 1942 roku**
FOT. GAMMA-KEYSTONE VIA GETTY IMAGES

eprasa.pl 35a35257f6

nie dbając o dobro Francji, i najchętniej teraz, gdy kraj był już wolny, pozbyłyby się Charles'a jak Brytyjczycy Churchilla. Ale jej mąż nie zamierzał odchodzić. Najpierw musi przywrócić Francji wielkość.

Jakie spokojne i przyjemne życie mogliby wieść, gdyby wreszcie zostawił tę politykę. Dzieci założyły własne rodziny, z synową i zięciem łączyły ich przyjazne relacje, czekali na wnuki. Będzie tyle radości – marzyła Yvonne.

Przedtem jednak musieli znieść ogrom bólu, gdyż zmarła Anne. „Teraz nasza mała jest jak inni. Normalna" – powiedział Charles. Płakali we dwoje i tylko, gdy byli sami. Zapożyczyli się, kupili budynek, założyli fundację jej imienia i otworzyli ośrodek dla niepełnosprawnych dziewczynek, który działa do dzisiaj.

MARSZ PRZEZ PUSTYNIĘ

W 1946 roku Charles de Gaulle miał dosyć partyjnych awantur, pretensji komunistów i zrzekł się władzy. A potem, po gorzkich i upokarzających latach, w trakcie których organizował nowe siły polityczne, wygrywał i przegrywał, był znienawidzony i uwielbiany, w 1955 roku ostatecznie odszedł z polityki.

„Wreszcie zmądrzał" – cieszyła się Yvonne. Wrócili do La Brasserie, gdzie pisał kolejny tom pamiętników. „Muszę się wytłumaczyć przed narodem francuskim, ponieważ to, co czyniłem, nie dla wszystkich jest zrozumiałe" – tłumaczył. Pierwszy tom z dedykacją: „Mojej żonie, bez której to wszystko nie byłoby możliwe", w niecały miesiąc sprzedał się w niemal stu tysiącach egzemplarzy. Honorarium przekazali na Fundację im. Anne de Gaulle. „Nie zarabia się na Historii Francji" – oświadczył autor. Yvonne nie protestowała, choć po kryjomu wyprzedawała ocalałe z wojny rodzinne klejnoty, by dołożyć do domowych wydatków. Żyli przecież tylko z wojskowego żołdu.

Jednak „marsz przez pustynię", jak zwolennicy generała nazywali okres, kiedy nie był on u władzy, nie trwał długo. W 1958 roku Francja i Algieria płonęły i gorączkowo szukano kogoś, kto ugasi ten pożar. „Ciągle ktoś przyjeżdża do La Brasserie i zawraca mu głowę" – zżymała się Yvonne. A on miał już prawie siedemdziesiąt lat, wiele różnych dolegliwości i potrzebował spokoju. „Nie ulegaj tym namowom" – prosiła. Zaczął wrzeszczeć, żeby się od niego odczepiła: „W Algierii bezkarnie podrzyna się gardła naszym żołnierzom. Władza w agonii, a Francja na łasce nieprzewidywalnych awanturników. Jestem wystarczająco dorosły, żeby wiedzieć, co mam robić".

W grudniu 1958 Charles de Gaulle został wybrany na prezydenta V Republiki. „Adieu spokojne życie rodzinne". Yvonne spakowała walizki.

PIERWSZA DAMA

„W Pałacu Elizejskim wszyscy są u siebie oprócz nas" – narzekała. Za dużo korytarzy, przeciągów i ludzi. Żadnej prywatności, a jakie koszty! Osiemset tysięcy nowych franków! Sprawdzała każdy wydatek, a wizyty dzieci z pięciorgiem wnucząt de Gaulle'owie finansowali z własnej kieszeni. Płacili również za wodę i prąd.

Pierwsza dama kontrolowała nie tylko rachunki, także listy zapraszanych gości. Jeśli ktoś miał wątpliwą sytuację moralną, mogła go nawet z tej listy wykreślić. Weźmy Brigitte Bardot. Czy taką osobę wypada przyjmować w Pałacu Elizejskim? – martwiła się, lecz nie miała odwagi jej usunąć. Byłby skandal. Bardotka pojawiła się w marynarce uszytej na wzór żołnierskiego munduru, zasznurowana po szyję. „Wspaniale! Oto żołnierz!" – prezydent był szczerze rozbawiony.

• Prezydent Francji Charles de Gaulle z żoną Yvonne podczas oficjalnej wizyty w Wielkiej Brytanii, Londyn 6 kwietnia 1960 roku

FOT. CENTRAL PRESS / AFP

Pierwsza dama kontrolowała nie tylko rachunki, także listy zapraszanych gości. Jeśli ktoś miał wątpliwą sytuację moralną, mogła go z tej listy wykreślić. Weźmy Brigitte Bardot. Czy taką osobę wypada przyjmować w Pałacu Elizejskim?

„Odczuwam dumę, że jestem żoną prezydenta, ale nieraz wolałabym być zwykłą gospodynią domową – zwierzała się rodzinie. – Czasami zabieram jego buty do łazienki i tam sama je czyszczę, aby udowodnić sobie, że wciąż jestem zwykłą kobietą".

Yvonne de Gaulle nigdy nie udzieliła żadnego wywiadu, nikt nie znał jej głosu, a i tak była bohaterką niezliczonych artykułów prasowych, także w satyrycznym tygodniku „Le Canard Enchainé", co bardzo małżonków bolało. By oszczędzić jej przykrości, Charles niekiedy ukrywał przed nią gazety, gdzie pokpiwali z jej kapelusików i niezbyt efektownych strojów, nazywali Cioteczką Iwonką, francuską królową Wiktorią i strażniczką narodowej moralności. No cóż! Gdy zapanowała moda na mini, pytała ministra komunikacji, czy we Francji nie można by tego zakazać.

Jean Mauriac, sekretarz de Gaulle'a, pisał, że Yvonne bardzo dobrze znała prywatne życie ludzi z otoczenia prezydenta i nie wykluczone, że miała wpływ na niektóre nominacje i decyzje, gdyż Charles bardzo jej ufał. Ale w 1967 roku mimo jej sprzeciwu zgodził się na legalizację pigułki antykoncepcyjnej.

PREZYDENT NA CELOWNIKU

Charles de Gaulle przeżył dziesięć zamachów na swoje życie. Najbardziej niebezpieczny był ten z 1962 roku, kiedy ostrzelano prezydencką limuzynę w drodze do La Boisserie. Dzięki przytomności kierowcy uszli z życiem, ale myśl, że Yvonne mogłaby zginąć tylko dlatego, że jego ktoś nienawidzi, była dla Charles'a nie do zniesienia. Zamachowiec, niepogodzony z utratą Algierii francuski pułkownik Jean-Marie Bastien-Thiry, nie został ułaskawiony. Zaś Yvonne pomyślała, że przecież umarliby razem. Razem i tylko to się liczyło.

W Pałacu Elizejskim spędzili jedenaście lat, podczas których on walczył o odnowę Francji i jej pozycję w świecie, wydarzył się dramat algierski, bunt generałów i terrorystyczne ataki Organizacji Tajnej Armii (OAS), ginęli ludzie, Francja utraciła kolonie, zbudowała bombę atomową, on po raz drugi został prezydentem i wycofał wojska francuskie z NATO. Razem przeżyli anarchię maja 1968 roku i rok później – przegrane referendum o reformę senatu.

Francuzi już go nie potrzebowali. 28 kwietnia 1969 Charles de Gaulle złożył rezygnację. Tego samego dnia razem z żoną wrócił do La Boisserie. Zmarł tam nagle 9 listopada 1970 roku.

Francja jest wdową – powiedział w telewizji prezydent George Pompidou. Gaulliści płakali. Wrogowie milczeli.

ŻADNYCH RELIKWII

Nie życzył sobie pogrzebu państwowego i obecności osób publicznych, a także przemówień, orderów, awansów i fanfar. Prosił o ciszę. Prostą trumnę – prasa pisała, że jak dla ubogich – z jego ciałem ponieśli mieszkańcy Colombey. Towarzyszyła mu rodzina, przyjaciele i przybyli z całego świata żołnierze Wolnej Francji. Poza murami cmentarza zgromadziło się około czterdziestu tysięcy osób, które ominęły blokady na drogach, przeszły polami, spały w samochodach.

Świat pożegnał go mszą – z udziałem monarchów, szefów państw – w katedrze Notre Dame w Paryżu. Mieszkańcy stolicy – manifestacją pod Łukiem Triumfalnym. „Musimy postępować tak, jak gdyby ojciec wciąż z nami był. Życie musi toczyć się dalej" – powiedziała Yvonne po pogrzebie do dzieci. Jeśli płakała, to w samotności.

Oni się naprawdę kochali – potwierdzają wszyscy, którzy byli blisko prezydenckiej pary i obserwowali ich relacje. Nigdy nie doszukano się śladów małżeńskiej niewierności, choć czasami szeptano o „niewinnych flirtach" generała.

De Gaulle'owie lubili być we dwoje, razem spacerować, podróżować, rozmawiać. On bez okazji dawał jej prezenty, przynosił kwiaty. Ona się troszczyła, przesadnie według niego, by się nie przeziębił, by brał lekarstwa, by zjadł, tylko nie za tłusto, by trochę odpoczął, by tyle nie palił, by po dwudziestej nikt mu nie zawracał głowy.

„Matka z pewnością nas kochała, dbała o nas, martwiła się, troszczyła, ale największą miłością mojej matki był ojciec" – wspominał Philippe.

Musiała zrobić porządek z jego rzeczami. Przede wszystkim – żadnych relikwii! Kazała spalić jego ubrania, łóżko, pościel i osobiste przedmioty. Była spokojna. Rzadko przyjmowała gości, najchętniej dzieci i wnuki.

Kiedyś poprosiła Philippe'a, by zawiózł ją do Paryża, do domu sióstr Służebniczek Poczęcia NMP, gdzie ku zaskoczeniu i rozpaczy rodziny postanowiła zamieszkać. W pokoiku o wymiarach cztery metry na dwa i pół, ze skromnym wyposażeniem. Niczego więcej nie potrzebowała. Poza Charles'em.

Odeszła ósmego listopada 1979 roku. Następnego dnia jej imię pojawiło się na pierwszych stronach gazet. Ale nikt już sobie z niej nie żartował. ●

Bibliografia: Genevieve Moll, „Yvonne de Gaulle", 2004, Philippe de Gaulle i Michel Tauriac, „De Gaulle. Mój Ojciec", 2008, Jocelyne Sauvard, „Yvonne et Charles", 2018, Henry Gidel, „Les de Gaulle. Elle et lui", 2018.

1 RP

eprasa.pl 35a35257f6

NASI CHŁOPCY ZABICI DWA RAZY

Powiedziałem sobie, że słowa nie pisnę, dopóki na własne oczy nie zobaczę wystawy „Nasi chłopcy”. Zobaczyłem.

Jarosław Kurski

• **Fragment wystawy „Nasi chłopcy. Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy” w Muzeum Gdańska**
FOT. MARTYNA NIEĆKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

Słyszę zastrzeżenia od mądrych ludzi, ludzi dobrej woli, którzy uważają, że wystawa „Nasi chłopcy – mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy” owszem, ważna jest, dobra, potrzebna, tylko tytuł – i tu grymas jakiś – tytuł nie ten! Tak, „tytuł niepotrzebny”, „tytuł jątrzący”, „tytuł szkodliwy”, bo „dzielący”, bo „dający argumenty drugiej stronie” itd., itp.

No więc poszedłem, żeby skonfrontować ów tytuł z treścią ekspozycji. Jeszcze tylko do 10 maja można oglądać wystawę w gdańskim Ratuszu. Notabene po wszystkich pseudopatriotycznych awanturach narodowców, pisowców i wszelkiej maści obrońców narodowej godności Polaków wystawa jakby podziemna się zrobiła, jakby zakonspirowana jakaś i trzeba wiedzieć, gdzie ta ekspozycja jest, by do niej trafić. Przez Długi Targ przelewają się tysiące turystów, z których niejeden by zajrzał, ale banera żadnego, informacji jakiejś nie uświadczysz. Czy w obawie przed wandalizmem? Jeśli tak, to niedobrze. Nie należy ulegać logice pałki, racy i kastetu.

Przyjechałem, zwiedziłem i z góry przepraszam, jeśli kogoś urażę. Ale jeśli ktoś tę ekspozycję obejrzał, przeżył i przemyślał, i nadal trwa w przeświadczeniu, że „wystawa dobra, ale tytuł niedobry”, to znaczy, że z wystawy niewiele zrozumiał, że zasadniczy przekaz go ominął, że w najlepszej wierze może, ale jednak tkwi w całkowicie anachronicznym wyobrażeniu polskości. Takim wyobrażeniu wywiedzionym z XIX-wiecznego Kamionka z prawobrzeżnej Warszawy, na którym to Kamionku urodził się Roman Dmowski, ojciec polskiego nacjonalizmu.

Ta wystawa jest krzykiem o tragizmie wojny, o dramacie ludzi, których porwał niechciany los. Ta wystawa zauważa co najmniej 75 tys. Polaków zabitych w dwójnasób. Zabitych w obcym mundurze od alianckiej, a niekiedy wręcz polskiej kuli oraz zabitych przez wytarcie, wyparcie, zapomnienie. Zabitych symbolicznie wstydem i strachem własnych rodzin. Ta wystawa wyciąga ich z Szeolu – biblijnej krainy, która nie jest ani rajem, ani piekłem, ale otchłanią nicości i zapomnienia.

•

Ożywają piękne, młode twarze rekrutów wyrwanych z rodzinnych gniazd. Czy w mundurze Wehrmachtu, czy w mundurze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie wyrażają ten sam tragizm i zbrodniczy bezsens wojny.

Tak, to byli nasi chłopcy, tak jak „nasi” byli dla Alzatczyków i tak jak „nasi” byli dla Luksemburczyków, o których to żołnierzach w hitlerowskiej armii powstała analogiczna wystawa zatytułowana „Ons Jongen”. Nasi chłopcy szantażem, przemocą administracyjną, siłą lub podstępem wcieleni do Wehrmachtu.

Ale jeśli treść wystawy dobra, a tytuł zły, bo „nie nasi to chłopcy”, to w takim razie czyi oni byli? I gdzie granica między naszymi a nie naszymi chłopcami miałaby przebiegać?

Czy tam, gdzie wytyczyło je Muzeum Powstania Warszawskiego, łacno dołączając do nagonki na twórców gdańskiej wystawy? MPW zamieściło post na Facebooku ze zdjęciem nastoletnich chłopców powstańczej poczty polowej z podpisem „Nasi chłopcy!”, tym samym wyrzucając poza nawias narodowej wspólnoty około 450 tys. wcielonych do Wehrmachtu śląskich, pomorskich, kaszubskich, kociewskich, wielkopolskich, warmińskich i mazurskich Polaków. A jeśli oni nie-Polacy, to i ziemie przez nich zamieszkane wtedy też jakoś niepolskie. Aż strach bierze, do jakich rewizjonistycznych wniosków prowadzi ta logika. Ufam, że MPW wycofa kiedyś ten drwiący wpis.

•

Skoro rozumiemy, że wojenna rzeczywistość mieszkańców polskich ziem wcielonych do Rzeszy jest bardziej złożona niż mieszkańców umownej Warszawy czy Krakowa w Generalnym Gubernatorstwie, to gdzie zatem leży granica owej „naszości” chłopców naszych?

Czy 85 tys. Polaków w niemieckich mundurach, którzy zdezerterowali i zasilili formacje Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy walczyli pod gen. Andersem, to nasi są jeszcze, czy już nie nasi są? Wszak bez dezerterów z Wehrmachtu polska armia na Zachodzie byłaby – uwaga! – mniej więcej o jedną trzecią mniejsza i pewnie o połowę słabsza, bo byli to znakomicie wyszkoleni, znający i rozumiejący wroga żołnierze.

Dlatego polski rząd na uchodźstwie uznał ich za pełnoprawnych obywateli polskich, a za służbę w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie nadał im prawa kombatanckie. Odmówił natomiast takich praw dobrowolnie kolaborującym z Niemcami członkom Brygady Świętokrzyskiej, których to premier Morawiecki wynosi pod niebiosa, czyni swoimi bohaterami i składa pod ich pomnikiem wieńce.

Szukajmy dalej owej granicy „naszości”. Edmund Taborski, grenadier pochodzący ze Swornegaci, będąc na żołnierskim urlopie, po nawiązaniu kontaktu z partyzantką, zdecydował się wraz ze szwagrem na ucieczkę. Po donosie obaj zostali aresztowani w leśnej ziemiance, w której się ukrywali. Rodzinę Edmunda hitlerowcy wywieźli do obozu w Potulicach, łącznie z kilkuletnim rodzeństwem. Obaj żołnierze zostali skazani na śmierć przez zgilotynowanie. Wyrok wykonano.

Ów żołnierz Wehrmachtu tak pisał w liście pożegnalnym do swojej rodziny (pisownia oryginalna): „Kochani Rodzice!!! Wpierwszych słowach mego listu Pozdrawiam was temi słowami Niech Będzie Pochwalony Jezus Hrystus. A wy mnie odpowiecie na wieki wieków Amen. Zwracam się jeszcze do was w tym ostatnim liście. (...) Jeszcze przed moją śmiercią żem się szczeże wyspowiadał i pana Jezusa żem jeszcze Przyją i także ksiąc był przy mnie do ostatniej chwili. (...) Przebaczta mnie Kochani Rodzice że wam takiego kłopotu narobił. (...) Pozdrawiam was wszystkich w domu z całego serca. (...) Natem kończę moje słowa i idę i nie martwcie się o mnie, to jest moje wszystko, zostańcie z Bogiem wszyscy razem w domu... (...) i różaniec jest muj w kopercie włożony”.

Grenadier Edmund Taborski ze Swornegaci „nasz” ci on czy nie „nasz”? Co o tym sądzi Muzeum Powstania Warszawskiego? Co sądzi lider partii chłopskiej wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz, który wystawy nie widział, ale się patriotycznie wzdymał i oburzał, że wystawa „nie służy polskiej polityce pamięci”. O armii pisowskich moralistów od patriotyzmu mówiących językiem Moczara nie wspomnę.

•

Jest na wystawie przedwojenne zdjęcie dwóch braci. Starszy Alojzy Bruski z Piechowic był polskim zawodowym wojskowym. Pozuje w galowym mundurze w rogatywce z 11 lat młodszym chłopcem – bratem Ambrożym – którego obejmuje ramieniem. Alojzy brał udział w wojnie obronnej 1939 roku, walczył w partyzantce, po wojnie współtworzył podziemie niepodległościowe. W latach stalinowskich został za to rozstrzelany przez komunistów.

Młodszy brat Ambroży Bruski wszedł w pełnoletność w 1943 roku i został powołany do niemieckiej marynarki wojennej. Po roku służby zginął u wybrzeży Jugosławii. Pierwszy brat – Alojzy – ma status upamiętnianego w regionie narodowego bohatera. Drugiego brata – Ambrożego – nikt nie pamięta i nie wspomina.

Zapomniany przez wszystkich i pogrzebany po dwakroć Ambroży, gdyby tylko urodził się o jedenaście lat wcześniej, tak jak jego czczony dzisiaj brat Alojzy, mógłby podążyć taką samą jak on drogą. Jego „winą” była więc metryka późnego urodzenia. Czy to wystarczający powód, by wyrzucać go z pamięci i z polskości?

Są na wystawie przykłady chłopców, którzy odebrali karty poborowe, by ratować rodzinę przed wysłaniem do obozu w Stutthof. Są i inne motywacje i sytuacje graniczne, z którymi nikt z protestujących przeciw wystawie patriotów nie musiał się konfrontować. Cóż, wiemy o sobie tyle, na ile nas sprawdzono. Nie oceniajmy więc innych, wiedząc o samych sobie tak niewiele.

•

Siostra mojej matki, Klara, zawdzięcza życie Franciszkowi Baranowskiemu, który w 1942 roku wyratował ją na Podolu z rąk ukraińskich nacjonalistów. Franciszek, wybawiciel, ożenił się ze swoją ocaloną.

Sam urodził się w Essen w rodzinie mieszanej – z matki Niemki z Pomorza, Agnieszki/Agnes Justke i z ojca Polaka z podwarszawskiego Piaseczna, Michała Baranowskiego. Rodzina przed wojną przeniosła się do Chełmna nad Wisłą.

Franciszek, by wywinąć się od służby w Wehrmachcie, uciekł z wcielonego do Rzeszy Pomorza do Generalnego Gubernatorstwa, gdzie nikt go nie znał, a i on nie znał nikogo. Pracował na Zachodniej Ukrainie w gospodarstwie rolnym w Dźwiniaczu, tzw. Liegenschaft, współpracując jednocześnie z Armią Krajową. Po niemiecku mówił jak po polsku i wymiennie używał swoich dwóch ojczystych języków.

O ile jednak Franciszek Baranowski wdał się w ojca i czuł się Polakiem, o tyle dwaj jego młodsi bracia: dwudziestodwuletni Paweł i osiemnastoletni Alfons, mieszkali jeszcze z matką i raczej czuli się Niemcami. Piszę raczej, bo właściwie nie wiem, jaka była prawda. I już się nie dowiem, bo nie ma kogo zapytać. Nie miałem szansy poznać swego wujka Franciszka. Zmarł młodo w latach pięćdziesiątych. Jego bracia nie poszli na ochotnika do wojska. Nie zgłaszali się do Wehrmachtu. To Wehrmacht zgłosił się po nich. Odebrali więc swoje karty poborowe. I tak oto dwóch moich „wujków” z Wehrmachtu – Paul/Paweł Baranowski i Alphonsus/Alfons Baranowski – z wygrawerowanymi na klamrach żołnierskich pasów „Gott mit uns”, ufnych w opiekę Opatrzności (obaj podobnie jak ich matka byli gorliwymi katolikami), wzięli udział w operacji „Barbarossa”, walcząc na froncie wschodnim pod komendą feldmarszałka Friedricha Wilhelma Ernsta Paulusa. Obaj, Paul i Alphonsus, zginęli, nie wiadomo gdzie i kiedy, wyrąbując na wschodzie Lebensraum, życiową przestrzeń dla narodu niemieckiego. Ich matka Agnes Justke do końca swego długiego życia czekała w modlitwie na jakąkolwiek o nich wiadomość.

Historia tyleż tragiczna, co na Pomorzu – banalna.

Mąż Agnes, Polak Michał Baranowski z Piaseczna, który był pocztowcem, też w tej strasznej wojnie zginął. Został zabity podczas ostrzału warszawskiej Pragi przez rosyjską artylerię w sierpniu 1944 r.

Zastanawiam się teraz, czy Michał Baranowski, ojciec Paula i Alphonsusa, choć akurat ich historia nie została opisana na gdańskiej wystawie, nie zapytałby w rozpaczy: Dlaczego zabili moich chłopców? ●

Wystawa „Nasi chłopcy – mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy” do obejrzenia w Ratuszu Głównego Miasta do 10 maja 2026, ul. Długa 46/47, Gdańsk.

eprasa.pl 35a35257f6

FOT. DOMENA PUBLICZNA

• Wielki książę Litwy Witold na obrazie Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem" z 1878 roku został przedstawiony jako główna postać, ważniejsza niż król Władysław Jagiełło

POD GRUNWALDEM
LITWINI WCALE NIE UCIEKLI

Kilka lat temu zastanawialiśmy się w gronie historyków, kto dla Litwinów jest najbardziej negatywną postacią?
Wyszło nam, że tercet: Lenin, Stalin i Piłsudski

Z **PROF. ALVYDASEM NIKŽENTAITISEM** ROZMAWIA **CEZARY KORYCKI**

CEZARY KORYCKI: Od dzieciństwa jestem tak samo oczarowany, jak i rozczarowany Litwą...
ALVYDAS NIKŽENTAITIS: A to dlaczego?

Bo widzi pan, byłem w Wilnie na koloniach w schyłkowym czasie ZSRS, jechaliśmy na Litwę niczym do mitycznego miejsca naszej historii. Tymczasem wizyta na wspaniałej Baszcie Giedymina skończyła się kłótnią naszego polskiego nauczyciela z litewskim przewodnikiem. Poszło o chrzest Litwy i stosunek do Władysława Jagiełły.
– Wspomina pan sytuację sprzed 35 lat, a to chyba już dawno. Fakt, że mamy bardzo asymetryczne spojrzenie na nasze relacje. Dla Polaków historia naszych relacji to średniowiecze może troszkę czasy Rzeczypospolitej Obojga Narodów, ale już zupełnie nie pamięta się o powstaniach narodowowyzwoleńczych, gdy walczyliśmy razem o wolność i niepodległość od rosyjskiego caratu.

Z kolei Litwini patrzą na Polskę głównie przez pryzmat konfliktu o granice po odzyskaniu niepodległości w roku 1918, gdy Polska i Polacy stanowili zagrożenie, jako ci, którzy chcieli zagarnąć litewskie terytorium. Wtedy właśnie wśród Litwinów narodziło się przeświadczenie: nie można im wierzyć, Polacy zawsze będą chcieli nas, Litwinów, okłamać i wykorzystać.

Czyli mamy rozbieżności... W latach 70. była polsko-niemiecka komisja podręcznikowa, czy jeszcze przydałaby się polsko-litewska?
– Kiedyś było dużo sporów, ale dzisiaj, po 30 latach, wiele spraw mamy już wyjaśnionych i uzgodnionych, zwłaszcza na poziomie akademickim. Mój dobry kolega, pracujący w Muzeum Historii Polski prof. Michał Kopczyński, już po wielu latach naszej przyjacielskiej znajomości wyznał mi, że gdy dziś zajrzał do swoich starszych referatów, to kilka z pewnością chciałby poprawić, zwłaszcza w odniesieniu do roli i odrębności Wielkiego Księstwa Litewskiego w czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. To dowód na to, jak my, historycy, znajdujemy wspólny język w rozbieżnościach dotyczących naszych dziejów. Początek tego zbliżenia zaczął się od wielkich nazwisk polskiej historiografii, prof. Juliusza Bardacha, prof. Henryka Wisnera czy pracującego w ramach wspomnianej komisji polsko-niemieckiej mojego przyjaciela i wybitnego mediewisty profesora Mariana Biskupa.

Tylko pamiętajmy, że na Litwie już po odzyskaniu niepodległości w latach 90. to wcale nie kwestie średniowieczne wywoływały największe emocje – tak samo w społeczeństwie, jak i wśród polityków.

Czyli lata dwudzieste i bunt Żeligowskiego?
– No właśnie też nie.

Unia z Polską jako utrata niepodległości?
– Nie! Najważniejszą dyskusję w litewskim parlamencie wywołały sprawa i znaczenie Konstytucji 3 maja. W 2008 roku odbyła się debata, która rozbudziła większe emocje niż choćby sprawy bieżącej polityki, a dotyczyła ona uznania dnia 3 maja za święto państwowe. Czyli dla Litwinów stała się w jakiś sposób ważna ta data i to wydarzenie, które nas z Polakami łączy, a nie dzieli! Bo przecież to była bardzo ważna rzecz, której dokonaliśmy razem przed rozbiorami. I chyba ostatnie takie wspólne dokonanie. Ostatecznie dzień Konstytucji 3 maja jest zaliczany w Litwie do

1 RP

eprasa.pl 35a35257f6

„dni upamiętnianych", czyli nie jest on dniem wolnym od pracy.

Jeżeli pyta pan o rozbieżności, to nie chodzi dziś o same fakty historyczne, ale ich interpretację i późniejszy odbiór. Tak przecież było i jest w wypadku naszych wspólnych bitew.

Wasz Žalgiris, to jest nasz Grunwald, czyli bitwa, w której Polacy – według powszechnej naszej opinii – pokonali Krzyżaków?

— Rozumiem ten powszechny pogląd panujący w Polsce i wśród Polaków, ale w takim razie zachęcam was do odwiedzenia otwartego całkiem niedawno Muzeum Bitwy pod Grunwaldem. Gdy zespół tej placówki jeszcze przed inauguracją pracował nad wystawą, lubiłem się droczyć z jego członkami, pytając, czy w końcu mają zamiar uwzględnić to, co w odniesieniu do historii bitwy wykazał szwedzki historyk Sven Ekdahl. Muszę powiedzieć, że długo się opierali, a sprawa jest dość istotna.

Otóż szwedzki historyk znalazł krzyżackie dokumenty i odkłamał to, co przed wiekami napisał o przebiegu bitwy Jan Długosz. Przypomnę, że polski kronikarz, niedarzący zbytnią sympatią Litwinów i relacjonujący przebieg bitwy już kilka dekad później, wspominał o naszej rzekomej ucieczce. Według Długosza i obowiązującej później polskiej wersji dopiero gdy Litwini uciekli, polskie rycerstwo rozprawiło się z Krzyżakami. Ten wątek podchwycił Henryk Sienkiewicz i na stałe utrwalił w świadomości Polaków. Dopiero wspomniany profesor Ekdahl, badając średniowieczne zapisy zakonu, trafił na relację, w której bracia przestrzegali przed zgubną strategią litewskiej jazdy. Krzyżacy opisywali ją jako taktykę stosowaną w czasie bitwy. Później, gdy odwiedziłem kolegów z muzeum grunwaldzkiego, okazało się, że nastąpiła aktualizacja.

Ale oczywiście nie zmienia to jeszcze istniejącego w Polsce przekonania, że tylko wy wygraliście bitwę pod Grunwaldem, ani też funkcjonującego na Litwie przeświadczenia, że bitwę wygrali Litwini. W dwudziestoleciu międzywojennym była nawet taka zabawna sytuacja we wzajemnych relacjach dyplomatycznych Czechosłowacji i Litwy. Otóż na spotkaniu litewskiego attaché wojskowego w Pradze podarowano naszej delegacji jeden z mniej znanych obrazów Jana Matejki, podkreślając, że to obraz słynnego czeskiego malarza, który uwiecznił zwycięstwo Litwinów i Czechów nad Krzyżakami.

Dziś oczywiście sprawa bitwy, choćby w nauczaniu szkolnym, nie budzi już takich emocji i raczej chyba mamy świadomość tego, że było to nasze wspólne wielkie zwycięstwo.

Wspomniany Matejko, przedstawiając Grunwald, umieścił w miejscu centralnym nie naszego króla Władysława Jagiełłę, ale księcia Witolda.

– Mit o Witoldzie jest pierwszym ważnym mitem w tożsamości Litwinów, fundującym budowę nowoczesnego narodu politycznego Litwy. Postać księcia i kwestia bitwy to jednocześnie najstarsza sprawa dzieląca Polaków i Litwinów. Już w 1564 roku była na ten temat pierwsza debata pomiędzy szlachtą z Litwy i Polski, szukano jakiejś wspólnej wersji, tak żeby mieć się do czego odwołać. Tylko że wtedy już formował się ten wielki mit Witolda, który trwał od XV wieku, zakorzenił się w wieku XVI i co najważniejsze – połączył zarówno Litwinów, jak i Rusinów, bo Witold przecież walczył nie tylko z Krzyżakami, ale przecież głównie z Tatarami.

Później, już na początku XX wieku, mit ten przekształcił się w mit antypolski, a Wielki Książę stał się symbolem niezależności Wilna od Polski. Nawiązywano z kolei do innego mitu, jakoby do koronacji Witolda nie doszło w wyniku intrygi Polaków. W roku 1930, w pięćsetną rocznicę jego śmierci, pojawił się pomysł budowy wielkiego pomnika. Odniesienia do średniowiecznych władców Litwy były później, w przedwojennej Litwie, bardzo żywe. Rocznica koronacji Witolda to w międzywojennej Litwie jedyne państwowe święto niereligijne

Najważniejszą dyskusję w litewskim parlamencie wywołały sprawa i znaczenie Konstytucji 3 maja. W 2008 roku odbyła się debata, która rozbudziła większe emocje niż choćby sprawy bieżącej polityki, a dotyczyła ona uznania dnia 3 maja za święto państwowe. Czyli dla Litwinów stała się w jakiś sposób ważna ta data i to wydarzenie, które nas z Polakami łączy, a nie dzieli!

poza 16 lutego, czyli Dniem Odrodzenia Państwa Litewskiego. Dziś, już po odzyskaniu przez Litwę niepodległości w latach 90., to właśnie 6 lipca, czyli Dzień Koronacji Króla Litwy Mendoga, a nie nieudana próba koronacji Witolda, jest najważniejszym świętem. Według mnie stanowi to ważny sygnał, który dowodzi, że antypolskość przestała być podstawą tożsamości obecnego państwa litewskiego, tak jak to było w okresie międzywojennym.

Witold i Władysław byli braćmi stryjecznymi, ale chyba w tej historii jest coś niczym ze starożytnych mitów o bracie złym i dobrym. Oczywiście już wiemy, kto jest wcieleniem zła i nieszczęść dla Litwinów?

– Jagiełło na Litwie niesie ze sobą bagaż rozmaitych interpretacji. W latach 30. odbył się nawet symboliczny sąd nad królem i został on bodajże skazany na śmierć. Był to czas odrodzenia nacjonalistycznych uczuć na Litwie i często antypolskich poglądów historycznych. Dominowała negatywna ocena tej postaci, lecz już pod koniec lat 30. ta narracja zaczęła się zmieniać. Większy rozgłos zyskała wtedy interpretacja bardzo poważanego na Litwie historyka Zenonasa Ivinskisa, która była pierwszą próbą rewizji. Stopniowo negatywny stereotyp Jagiełły odgrywał coraz mniejszą rolę.

Dla mnie symbolicznym momentem było to, gdy jeden z najbardziej znanych ówczesnych litewskich historyków, Alfredas Bumblauskas, nadał swojej córce imię Jogaila. Wcześniej wśród imion nadawanych litewskim dzieciom to akurat było nieobecne, zapomniano o nim lub je pomijano. Zresztą miałem zabawną sytuację, gdyż zadzwonił do mnie pewien młody litewski parlamentarzysta i zapytał: „Panie profesorze, urodził mi się syn i chciałem mu dać imię Jogaila, co pan o tym sądzi?". Ja mówię: „A proszę bardzo, przecież nie będę pana za to krytykował"... Bardzo się z tego ucieszył, ale w końcu nie wiem, jakie imię nadał synowi.

Dziś zarówno wśród litewskich historyków, jak i społeczeństwa stosunek do Jagiełły wydaje się neutralny, a czasem przechodzi w pozytywny.

W Polsce jest jedno imię, którego dzieciom się nie nadaje. To oczywiście Adolf. A jakiego imienia nie nada swojemu dziecku Litwin? Pytając zaś wprost: kto jest dla was najbardziej negatywną postacią historyczną?

– Jeszcze kilka lat temu zastanawialiśmy się nad tym w gronie historyków i powiedziałbym, że zdecydowanie tercet: Lenin, Stalin i Piłsudski.

Naprawdę?

– Skąd to zdziwienie? Negatywne uczucia do bohatera polskiej niepodległości były na Litwie bardzo mocne i trwałe. Dopiero w 2017 roku zorganizowaliśmy w Wilnie konferencję naukową na temat Józefa Piłsudskiego, która była w ogóle pierwszą taką konferencją w historii niepodległej Litwy. Jeszcze przed jej rozpoczęciem chcieliśmy sprawdzić nastroje społeczeństwa litewskiego i w naszej Bibliotece Narodowej zorganizowaliśmy wykład o Piłsudskim, który wygłosił gość z Polski, Adam Michnik. Impreza była bardzo udana.

A gdy przed samą konferencją zastanawialiśmy się z Tomasem Venclovą, co my chcemy tym wydarzeniem osiągnąć, to nasz wybitny poeta stwierdził, że wielkim osiągnięciem będzie, gdy w końcu Litwini przestaną porównywać Piłsudskiego do Hitlera i Stalina.

Muszę przyznać, że ta konferencja była jedną z najważniejszych w moim życiu, bo nagle się okazało, że pewne stereotypy upadają. Delegacja żmudzka z profesorem Vytautasem Landsbergisem złożyła kwiaty na grobie matki Józefa Piłsudskiego na cmentarzu Na Rossie, w litewskiej telewizji pokazano film dokumentalny o Piłsudskim i chyba po raz pierwszy ta postać na Litwie została pokazana w pozytywnym świetle. Zaczęto mówić o tym, że przecież taka ważna dla Polski postać urodziła się u nas, pojawiły się w końcu znaki wiodące do majątku Zalavas, gdzie żyła rodzina Piłsudskich.

Powszechnie uznano za skandal, że to miejsce było dość zaniedbane, podkreślano, że Litwa musi coś z tym zrobić. Zatem ten istniejący przez dekady stereotyp przestał działać. Piłsudski bezpowrotnie wypadł z listy negatywnych postaci w historii, nie ma już tam żadnego Polaka, jest tylko rosyjski Niemiec i Gruzin, przywódcy państwa sowieckiego.

Gdy Polska odzyskiwała niepodległość, wiodącą ideą stała się ta nawiązująca do Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Tylko jak było z uniami, które mieliśmy z Litwą, na przykład hołubioną u nas unią lubelską?

– Unia lubelska nie może być do końca pozytywnie oceniana przez Litwinów, gdyż właśnie przez nią musieliśmy oddać ogromny teren Ukrainy. I trzeba przyznać, że później wy sobie z tą Ukrainą nie potrafiliście poradzić, zaniedbaliście ją. I to jest ogromna historyczna odpowiedzialność, jaka nadal wisi na Polakach, także w kwestii pozwolenia na to, by Ukraina była zniewolona przez Rosję. Ta historia trwa do dziś i wojna jest tego świadectwem. Zatem dopóki Ukraina nie obroni się przed agresją, nie wygra tej wojny, będziemy wam to przypominać, że wszystko zaczęło się od unii lubelskiej!

A na poważnie, to oczywiście ta unia tak naprawdę była korzystna dla Litwy, bo to Litwa potrzebowała wtedy wsparcia ze strony Polski. Jeżeli mówimy o rozmaitych wyborach, jakie miała Litwa, geopolitycznych strategiach państwa litewskiego, to dość istotna jest koncepcja Jerzego Giedroycia i paryskiej „Kultury", a zatem zmodyfikowana koncepcja Piłsudskiego, czyli format państwa takiego, jak Rzeczpospolita Obojga Narodów, ale w nowoczesnej formule federacyjnej.

Można powiedzieć, że dziś nawet dla litewskich polityków taka formuła staje się aktualna, bo przecież jesteśmy politycznymi sojusznikami. Wcześniej mieliśmy czasy, kiedy stosunki polsko-litewskie nie były zbyt dobre i to my, historycy, mieliśmy to odpowiedzialne zadanie, aby inspirować polityków. Koncepcja Giedroycia była w relacjach z Polską bardzo użyteczna. Bo Rzeczpospolita Obojga Narodów to nasze wspólne dziedzictwo, które nie tylko nas łączy, ale jest też podstawą do myślenia o przyszłości. Zresztą sam Piłsudski mówił, że wszystko, co najlepsze w Polsce, pochodzi z Kresów. Miał w tym dużo racji, bo właśnie z tej różnorodności brała się nasza wspólna siła.

A co, jeżeli powiem, że ten mariaż z Litwą był dla Polski brzemieniem, bo wtedy, zamiast otworzyć się na Zachód, być bliżej morza, a także zachodnich modeli rozwojowych, skierowaliśmy się na Wschód, gdzie ciągle pojawiały się nowe problemy.

– Mogę odpowiedzieć, opierając się na słowach mojego akademickiego nauczyciela, prof. Edvardasa Gudavičiusa: jeżeli nie byłoby unii lubelskiej, to już po kilku stuleciach w Wilnie dominującym językiem byłby rosyjski.

Jeżeli mówimy o Polsce, to patrząc z perspektywy historycznej, unia ta przyspieszyła konfrontację z Moskwą, ale przecież takiej konfrontacji nie można było uniknąć. Musicie się również zastanowić nad tym, skąd brał się polski bałagan, dlaczego Polska popadała w kłopoty. Śmiejemy się, że gdy tylko Polska znajdowała się w opresji, to zawsze musiał pojawić się człowiek z Litwy, żeby wam pomóc, jak nie Władysław Jagiełło, to Józef Piłsudski. Jest takie powiedzenie na Litwie, że znowu trzeba wysłać do Polski kogoś od nas, żeby pomógł Polakom przywrócić porządek. Wracając do pytania o zwrot na Zachód, to trzeba poruszyć inną kwestię: czy Polska w swojej historii byłaby tak wspaniałym państwem, gdyby nie unia z Litwą? Czy Królestwo Polskie miałoby tak duże znaczenie w Europie? ●

Rozmowa pochodzi z książki Cezarego Koryckiego **„Protokół rozbieżności. Historia Polaki bez histerii"** (Wydawnictwo Literackie).

Prof. Alvydas Nikžentaitis

• litewski mediewista, specjalizuje się w tematyce pamięci historycznej, stosunków Wielkiego Księstwa Litewskiego z zakonem krzyżackim, historią Żmudzi, stosunków litewsko-niemieckich i historii społecznej Litwy średniowiecznej. Dyrektor Instytutu Historii Litwy, członek rady Muzeum Historii Polski.

eprasa.pl 35a35257f6

weekendówka 186

SŁODKIEGO ROKU

Zaczęło się, jakżeby inaczej, od miłości. Katarzyna Medycejska (1519-1589), królowa Francji i małżonka Henryka II, chciała obdarować ukochanego szczególnym prezentem. Miało nim być ciastko o wymyślnym kształcie. Zadanie zleciła kucharzom, których do Francji zabrała z ojczystej Italii – Pantanellemu i Popeliniemu. Efektem ich działań miało być najpierw ciasto parzone (pâte à choux), z którego powstały pierwsze ptysie.

Ale to tylko legenda. Oba nazwiska kuchmistrzów pojawiają się w notatkach francuskiego XIX-wiecznego cukiernika Pierre'a Lacama i najprawdopodobniej „powstały" od wypieków, których rzekomo obaj Włosi mieli być twórcami – ciasta pate oraz ciasteczek popelins, które to funkcjonowały we francuskiej kuchni już wcześniej. Zresztą, wiedząc, jak mroczną postacią w historii była sama Katarzyna Medycejska oraz pamiętając, że Henryk nie darzył jej zbyt wielkim uczuciem (jego miłością była Diana de Poitiers) trudno nam też uwierzyć w ów podarunek od serca.

Ptysie zawdzięczamy bardziej dwóm francuskim mistrzom cukiernictwa, już jak najbardziej autentycznym – Jeanowi Avice (miał też wymyślić magdalenki), który gotował dla samego Talleyranda oraz Antoine Carême'owi, który Talleyrandowi też kucharzył, a ponadto carowi Aleksandrowi I, brytyjskiemu księciu regentowi Jerzemu IV oraz Marii Antoninie.

Avice opracował przepis na słodkie bułeczki z ciasta parzonego, zaś Carême rozwinął recepturę jeszcze bardziej tworząc deser, który dziś znamy jako ptysie.

A skąd te ptysie? Otóż ciastko po francusku nazywane jest petit-choux, czyli kapustka, z racji podobieństwa do główki kapusty właśnie. A to wymawiane z francuska „pti szu" daje nam właśnie ptysia. Inna sprawa, że w Wielkopolsce na ptysie mówi się „wietrzniki", co z kolei wzięło się od niemieckiego Windbeutel. Do niemieckiego tropu przyznają się też Czesi, którzy z uznaniem pałaszują větrníki.

Światowy Dzień Ptysia, Cream Puff Day - bo rzecz jasna jest i taki, co stało się pretekstem do tematu dzisiejszej „Weekendówki" - obchodziliśmy wczoraj, 2 stycznia. Ale jeśli uczciliście go pieczeniem ptysiów, to może jeszcze coś na dziś zostało. A jeśli jeszcze go nie celebrowaliście, to sobota nadaje się do tego wybornie. Smacznego!

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl

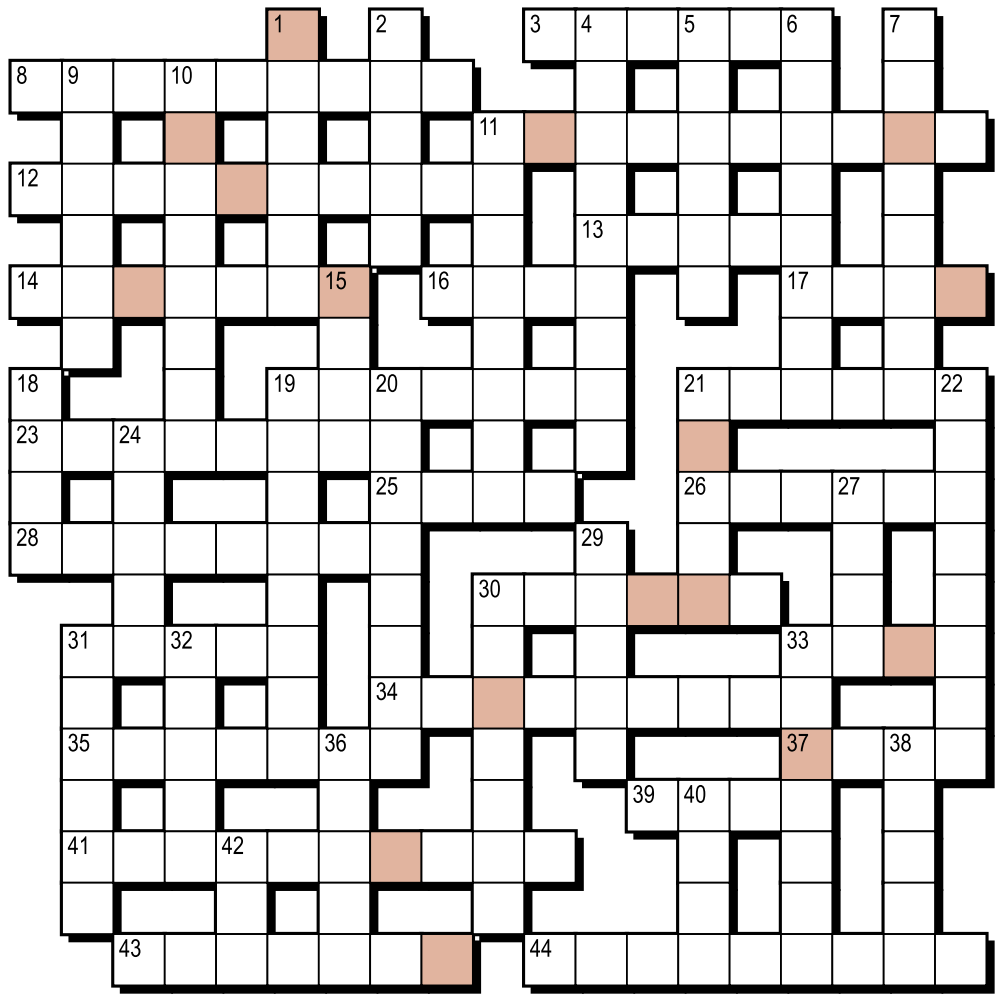

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 185 z 27.12:

Poziomo:
5) papier 8) tasowanie 9) Wielki Szu 10) brydżysta 12) robry 13) rycerze 16) pikieta 17) makao 19) jedenastka 22) czerwień 24) karo 25) karty 28) kolor 29) trefnisie 30) wino 31) strit 32) skat 33) tysiąc 34) króle 35) stawka.

Pionowo:
1) zagranie 2) rozdanie 3) damy 4) lewy 5) preferans 6) pokerek 7) rozgrywka 11) sprawdzenie 14) Chiny 15) dżokery 17) magik 18) trefl 20) tarocistka 21) oczko 23) wartości 24) kanasta 26) atut 27) Talia 30) wist 31) stół

Hasło: PARTYJKA W KIERKI

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
3) przesłodzony napój, np. herbata
8) ciasto z okruchów cukierniczych (ze słówkiem „jad")
11) słodsza niż pomarańcza
12) duuuże pudełko z pralinkami
13) „Słodka ...", piosenka Grażyny Świtały
14) ciastka w kształcie wstążki, smażone w tłuszczu i posypywane cukrem pudrem
16) robić do kogoś słodkie ..., czyli przymilać się
17) weselny – piętrowy
19) ... klonowy, gęsty i słodki (zdrobniale)
21) surowe, utarte z cukrem – to kogel-mogel
23) deserek na bazie kawy, serka mascarpone i likieru amaretto
25) słodka ..., czyli grzeczny, niewinny wyraz twarzy
26) blok słodkiej masy z karmelu, sezamu, orzechów
28) brązowe cukierki z cukru palonego
30) przysmak Kubusia Puchatka (zdrobniale)
31) Bounty lub Milky Way
33) z miodu i orzechów – w baklawie, makowa – w strucli
34) tabliczka z orzechami (albo do wypicia w filiżance)
35) lody włoskie w formie półkuli złożonej z warstw o różnych smakach, wypełnionej bitą śmietaną z bakaliami
37) ... miodowa, gęsta i słodka ciecz zbierana przez pszczoły; spadź
39) słodki, słodko-kwaśny albo słodkawy
41) „Słodkie ...", serial o tytule oryginalnym „Pretty Little Liars"
42) ryż z mlekiem na słodko lub naleśniki z nutellą
44) ... Wedlowska, miks cukierków

Pionowo:
1) wiedeński lub baskijski, z cukierni
2) podłużne ciastko z parzonego ciasta, z bitą śmietaną lub kremem
4) słodkie twardzielki
5) drożdżowiec albo z jabłkami i cynamonem
6) cukier ...
7) krówka, kukułka lub toffi
9) waniliowy lub migdałowy, w buteleczce – do kremów, ciast
10) nektar i ..., w menu bogów na Olimpie
11) „Z cukru był król, z piernika paź, królewna z ..."
15) cukierek śmietankowy (do wypatrzenia w kwiaciarni)
18) „Słodki ... młodości", film z Paulem Newmanem
19) 21 poziomo (idylla)
20) wypieki... na twarzy
21) dolce vita, czyli słodkie ...
22) słodzony napój gazowany
24) ... z kremem, dobra znajoma ptysia
27) kwiecista, wabi motyle, pszczoły
29) owoc na wiórki
30) polska marka słodyczy
31) miodu – w powiedzeniu z łyżką dziegciu
32) niełatwo się jej pozbyć, gdy się namiętnie objada słodyczami
33) ciastko w formie pary herbatników przełożonych słodką masą
36) „Charlie i fabryka czekolady" albo „Słodkiego miłego życia"
38) homogenizowany, np. o smaku waniliowym
40) często sąsiaduje ze Snickersem
42) przecier owocowy z dodatkiem cukru i piany z białek

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414082

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl 35a35257f6